

PORZUCENI

PRZYPRAWIAJĄCY O DRESZCZE KRYMINAŁ,
KTÓRY MIESZA W GŁOWIE I NIE POZWAŁA ODGADNAĆ,
CO JEST PRAWDĄ, A CO FAŁSZEM



MACIEJ

KAZMIERCZAK

MACIEJ
KAZMIERCZAK

PORZUCENI



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*
Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Beata Kozieł*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:

© Lukáš Vaňátko on Unsplash

© by Maciej Kaźmierczak

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2022

ISBN 978-83-287-2391-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

My mamy światopogląd,
a Zwierzęta światoczucie, wiesz?

Olga Tokarczuk,
*Prowadź swój pług
przez kości umarłych*

Spis treści

14 października

1

2

3

4

5

6

7

8

9

15 października

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

16 października

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

17 października

38

39

40

41

42

43

44

45

46

18 października

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

19 października

82

Rok później

14 października

Widok psa nurkującego w stercie jesiennych liści wyjątkowo ją bawił. Malwina Król wprost nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Teraz spuściła trzyletnią akiteę ze smyczy i obserwowała, jak w szaleńczym pędzie robi slalom między drzewami.

– Fibi! – zawołała ją, gdy suczka pobiegła do wyźła, którego prowadził na smyczy mężczyzna w brązowym płaszczu. Kojarzyła go, kilka razy już natknęła się na niego w parku, ale nigdy nie rozmawiali.

Wyżeł szukał czegoś, zatapiając nos w wilgotnym dywanie liści, a jego pan szedł za nim posłusznie jak podczas polowania.

Malwina wstała z ławki i wolnym krokiem weszła między drzewa, żeby nie stracić Fibi z oczu. Tam było nieco cieplej i mniej wietrznie niż przy ścieżce, ale za to o wiele mroczniej i mgliście, na tyle że Fibi zniknęła jej z oczu. Malwina zawołała ją jeszcze raz, ale suczka nie chciała do niej wrócić.

Niewiele widziała. Odwróciła się i spostrzegła, że mgła jakby zamknęła ją między drzewami. Park w wielu miejscach przypominał gęsty las. Poczowała się samotna i zagubiona.

Odetchnęła głęboko. Nie chciała wpadać w panikę. Wiedziała przecież, że wystarczy kilkadziesiąt kroków w którąkolwiek stronę, żeby wyjść na okalającą zagajnik ścieżkę. Doskonale знаła okolicę, więc tym bardziej nie powinna panikować.

Czuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Przyspieszyła kroku, a po chwili już niemal biegła w kierunku, w którym poszedł tamten mężczyzna. Obawiała się, że suczka dałaby mu się uprowadzić, gdyby tylko chciał to zrobić. Była młoda, ufna i skora do zabawy z każdym.

– Fibi! – zawołała głośniej, czując, jak drży. Nie z zimna, ale dlatego, że przeszył ją paraliżujący dreszcz strachu.

W końcu z mgły wyłoniła się sylwetka mężczyzny, który obserwował, jak jego pies kopie w ziemi. Fibi stała kilka kroków dalej i przyglądała się

wyżłowi z zaciekawieniem. Merdała ogonem, choć wyżeł dziwnie powarkiwiał, jakby denerwowało go to, co znalazł w ziemi.

– Ach, tu jesteś, Fibi... – powiedziała cicho, dając o sobie znać, bo mężczyzna zdawał się zamyślony. Nie chciała go przestraszyć.

Miał jakieś trzydzieści pięć lat, krzaczaste brwi, ciemny kilkudniowy zarost. Przyglądał się poczynaniom psa, mrużył oczy i zabawnie wykrzywił usta.

Malwina wpięła smycz w obrozę Fibi i już miała odejść, gdy mężczyzna w płaszczu odezwał się zachrypniętym głosem:

– Dawno się tak dziwnie nie zachowywał.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, choć nie do końca wiedziała, co konkretnie ma na myśli, bo samo kopanie dziwne przecież nie było. Spojrzał na nią, oczekując odpowiedzi, dlatego chrząknęła i odpowiedziała pytaniem:

– Na co mógł trafić?

Przeniósł z powrotem wzrok na psa i splótł ramiona na piersi. Czekał. Nie rozumiała, czemu pozwalał psu kopać. Wyżeł był już oblepiony mokrą ziemią, do pyska przykleiły mu się liście.

– Okropnie się ubrudzi – stwierdziła. Szkoda jej było psa. Miał krótką sierść, mógł od chłodu i wilgoci łatwo się przeziębic. Jego właściciel zdawał się jednak tym nie przejmować.

Malwina westchnęła przeciągle. Zorientowała się, że nie ma już po co tam stać. Wyżeł był zajęty kopaniem, a Fibi przestała merdać ogonem i straciła nadzieję na zdobycie zainteresowania psa. W momencie, w którym dziewczyna pociągnęła za smycz i chciała wyjść z zagajnika, wyżeł nagle zaszczeakał na swojego pana. Mężczyzna podszedł więc i przyjrzał się temu, co pies znalazł. Zaciekawiona Malwina też się zbliżyła. Otworzyła szerzej oczy, widząc wystającą z ziemi kudłatą łapę. Zadrżała po raz kolejny, tym razem jednak z obrzydzenia, bowiem tuż obok łapy dało się dostrzec czaszkę w zaawansowanym stopniu rozkładu.

– Chodź tutaj! – zawołał mężczyzna, odciągając gwałtownie psa, bo ten zaczął znów kopać, tym razem metr dalej. Odsunęli się, a Malwina podeszła jeszcze bliżej i stanęła nad dołem. Fibi wrywała jej się, wyraźnie nie chciała iść za nią.

Malwina przełknęła z trudem ślinę, czując, jak wypita niedawno kawa podchodzi jej do gardła. Tętno przyspieszyło, a kończyny zaczęły drżeć.

Obok czarnej łapy i przeplecionej białą sierścią czaszki spoczywało jeszcze inne truchło, o wiele świeższe. To zapewne ono musiało przyciągnąć wyżła.

– Mój Boże... – jęknęła. – Okropne. – Miała na myśli zarówno widok, jak i zapach, który dawał się teraz wyczuć.

Musiała się cofnąć. Nie mogła tego znieść. Chciała spojrzeć na mężczyznę i spytać go, co teraz. Okazało się jednak, że ten wycofał się z zagajnika i zniknął we mgle. Fibi zaczęła się wyrywać, też chciała uciec. Malwina natomiast oparła się o pień drzewa, bo nagle nie mogła złapać tchu.

Usiadła na ławce. Czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Było duszno i zimno, chciała szybko wrócić do domu, ale nie była w stanie. Zdołała jedynie wyjść z zagajnika. Wiedziała, że trzeba wezwać policję, ale nie umiałaby teraz przytomnie opowiedzieć, co się właściwie stało. Dlatego musiała odczekać jeszcze chwilę.

Ściągnęła szalik i rozpięła płaszcz. Po chwili przemogła się i jeszcze raz podeszła do dołu. Chciała sprawdzić, czy przypadkiem ten okropny widok nie był tylko przywidzeniem. Po kilku niepewnych krokach obraz, który cały czas miała przed oczami, okazał się jednak prawdziwy. Był abstrakcyjny, ale nie dało się go wyprzeć. Nie wierzyła, że ktoś mógł zakopać zwierzę w samym środku parku, ale te truchła mówiły same za siebie.

Niedaleko znajdował się plac zabaw, rząd ogródków działkowych, cały czas ktoś się tu kręcił, po jednej stronie parku ciągnęła się ruchliwa ulica, po drugiej było osiedle.

Jak to się stało? Jak wielkim zwyrodnialcem trzeba być, żeby coś takiego zrobić?

Chciała uspokoić drgające mięśnie nóg. Ukucnęła i zaczęła głaskać niespokojnie Fibi, która wyczuwała jej strach i też coraz bardziej się niepokoiła.

W oddali mignęła jakaś kobieta. Malwina chciała poprosić o pomoc, ale nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Próbowwała sobie wmówić, że rozkładające się szczątki zwierząt to nic takiego, że to nie ciało człowieka, a jedynie kilka psów. To jednak w żaden sposób jej nie pomagało.

– Jak on mógł nas z tym zostawić... – powiedziała do Fibi, gdy nagle na pobliskiej ławce zobaczyła faceta w brązowym płaszczu.

– Zadzwoń na policję – powiedział mężczyzna, gdy Malwina stanęła tuż obok. – Będą za jakieś piętnaście minut – dodał, głaszcząc swojego psa.

Ten usiadł przed swoim panem. Wodził wzrokiem za Fibi, która chodziła wokół nóg Malwiny.

– Myślałam, że pan sobie poszedł – wydukała, siadając obok na ławce.

– Tomasz jestem. – Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale Malwina, która drżała z zimna i niepokoju, nie zdobyła się na podanie mu ręki. – Trzeba dopilnować, żeby ktoś się tym zajął.

– Malwina – odparła po kilku sekundach, ale mężczyzna już cofnął dłoń. Najpierw jednak przyjrzał się dokładnie jej pokrytej piegami twarzy, grubym brwiom nad niebieskimi oczami i rudym kręconym włosom opadającym w nieładzie na ramiona. – Cieszę się, że pan tak myśli – zdołała dodać, żeby nieco rozładować napięcie, pokazać się od trochę lepszej strony i odeprzeć atak paniki, który ją dusił.

– Tomasz – poprawił ją. Najwyraźniej bardzo nie chciał, żeby ktoś zwracał się do niego per pan.

– Chociaż sama też dałabym radę zadzwonić na policję.

– Naprawdę? – spytał z ironią. Nie oczekiwał jednak odpowiedzi.

Mijały kolejne minuty. Fibi nie dawała się spokojnie głaskać, zamiast tego trącała łapą wyżła. Niecierpliwiła się.

– Jeszcze tylko chwila – obiecała, widząc, jak do parku nad Jasieniem wjeżdża w końcu radiowóz. Nadjechali od strony Tymienieckiego. Minęli zardzewiałe barierki i powoli ruszyli ścieżką. Rozwiali ostatnie mleczne smugi ciągnące po ziemi od strony pobliskiego stawu i rozgonili stado wron, których część zleciała się w okolice dołu.

Chciała się odezwać do Tomasza, ale nie wiedziała, co właściwie mogłaby powiedzieć. Spoglądała na niego, zaciekawiona. Zastygł w jednej pozie i czekał, jakby zatopiony we śnie, który przerwać mogło dopiero pojawienie się radiowozu. Tomasz machnął do funkcjonariuszy, dając znać, że to on do nich dzwonił.

Wstał i czekał na moment, w którym pokaże im odnalezione szczątki zwierząt, tym samym przekazując odpowiedzialność w ręce policji. Malwina miała ochotę wskoczyć pod koc, zrobić sobie gorącą herbatę i siedzieć tak aż do momentu, w którym obraz rozkładających się szczątków zniknie jej sprzed oczu, ale nie mogła sobie na to pozwolić, bo niedługo musiała pojawić się w pracy. Nie miała czasu, mogła co najwyżej chwilę odetchnąć.

Para policjantów w końcu do nich podeszła. Malwina już się otrząsnęła i miała siłę wstać.

– Dzień dobry, posterunkowy Paweł Sosnowski – przedstawił się, a stojąca krok za nim policjantka nawet na nich nie spojrzała. Oboje mieli miny, jakby wezwano ich do kogoś sikającego pod drzewem. Z pewnością mało ich obchodził powód, dla którego się tutaj znaleźli. – Pan dzwonił?

Tomasz szybko wyjaśnił, w czym rzecz, i zaprowadził ich między drzewa. Poszli niechętnie. Stanęli nad wykopanym w ziemi dołem, kobieta ukucnęła przy czaszce psa. Spojrzeli po sobie, po czym jak na komendę pokręcili głowami z dezaprobatą. Malwina nie zrozumiała tego gestu. Obserwowała ich z perspektywy kilkunastu metrów. Fibi miała ochotę pójść za wyżłem, z którym Tomasz się nie rozstawał nawet na krok. Malwina w końcu jej na to pozwoliła, tym razem jednak bez odpinania smyczy.

– I co teraz? – spytała, gdy stanęła kilka kroków za nimi.

– Trzeba wezwać weterynarza – odparł posterunkowy.

– I technika, bo z tego, co widać, śmierć tych zwierząt mogła nastąpić w wyniku przestępstwa – odezwała się po raz pierwszy policjantka. Jej formalny ton zwiastował porządne zajęcie się sprawą.

– Więc co robimy? – spytał policjant, spoglądając na swoją partnerkę. Ta wyprostowała się, spojrzała na niego, po czym wzruszyła ramionami.

Chwilę później spisali zeznania Malwiny i Tomasza, więc oboje mogli wreszcie wrócić do domów. Malwina chwilę obserwowała swojego towarzysza w niedoli, nim zniknął za zakrętem. Sama ruszyła w stronę swojego bloku i już po kilku minutach była w mieszkaniu. Gdy zjadła śniadanie i przebrała się, usłyszała ryk kilku syren policyjnych.

Trzy osoby próbowały przedrzeć się przez taśmę policyjną. Ktoś dojrzał, co znajduje się w dole między drzewami, i gapiom puściły nerwy.

– Wpuście nas tam! – wołała jakaś kobieta, a policjanci ledwo dawali sobie radę z powstrzymaniem jej. – Mamy prawo wiedzieć, co się stało!

– Proszę się cofnąć! – warknął aspirant Jakub Bednarski, ale tamci nie odpuszczali.

– Dlaczego nie chcecie nas wpuścić?! – zawołał niski mężczyzna, którego tusza uniemożliwiła wywiniecie się policjantowi.

– Nie ma tam niczego, co powinno budzić państwa ciekawość! – krzyknęła podkomisarz Szolc pochylona nad rozkopaną ziemią.

– Ale... – zaczęła kobieta, lecz potknęła się i straciła równowagę. Zrobiła dwa kroki do tyłu i upadłaby, gdyby nie udało jej się oprzeć o drzewo.

Zajście zainteresowało spacerowiczów, dlatego wokół zagajnika zebrał się jeszcze większy tłum niż przed pięcioma minutami. Policyjne taśmy, parawan i kilka wozów policyjnych na sygnale zawsze wzbudzały ciekawość. Jedni tylko patrzyli, inni sądzili, że mogą żądać dopuszczenia do sprawy, jakby byli prawdziwymi śledczymi.

Bednarski słyszał nadjeżdżające radiowozy, lecz śledczych nigdzie nie było widać. Na razie na miejscu pojawił się on, podkomisarz Kamila Szolc, dwóch policjantów, którzy wezwali wsparcie, i prokurator. Palił papierosa tuż przy taśmie, ale po drugiej stronie zagajnika. Wcześniej był tu jeszcze weterynarz, ale gdy wraz z technikiem zaczął odsłaniać ziemię wcześniej naruszoną przez psa, okazało się, że będzie potrzebny biegły lekarz.

Aspirant wrócił w okolice parawanu zasłaniającego tylko jeden z dołów. Reszta wciąż straszyla swoją zawartością.

Technik przez ostatnią godzinę odkrył ciała pięciu psów. Jedno było dość świeże, weterynarz ocenił, że zwierzę zabito nie więcej niż tydzień temu. Miało skręcony kark, ale to nie było jeszcze do końca pewne. Wydobyto spod

ziemi rozczłonkowany tułów, choć weterynarz sądził, że oddzielone od kręgosłupa kości to wynik raczej nieuważnego kopania niż przyczyna śmierci. Podobnie oddzielona została głowa, ale w tym przypadku weterynarz zauważył jeszcze przedśmiertne naruszenie kości.

– To wygląda, jakby ktoś wykręcał psu głowę tak długo, że trzymała się już wyłącznie dzięki skórze – wyjaśnił, gdy na miejscu pojawiła się podkomisarz, która poprosiła o wyjaśnienie. – Najświeższe ciało zostało okaleczone w podobny sposób, choć tutaj stawiałbym na uduszenie, bo nie naruszono aż tak mocno kręgosłupa. Oba ciała zakopano blisko siebie, jakby ktoś zapomniał o tym starszym i próbował na jego miejscu pochować nowe. Zdążyliśmy odkryć jeszcze dwa. Jedno spoczywało bardzo blisko dwóch poprzednich, a kolejne półtora metra dalej.

– Czemu akurat tam zaczęliście kopać? – zainteresowała się Szolc.

– Pies również tam coś wyczuł i naruszył ziemię.

– Właściwie co z tą parą, której pies tu węszył?

– To już musi pani pytać tamtych. – Wskazał na posterunkowego i jego partnerkę. – Jak przyjechałem, to tylko oni na mnie czekali.

– Nie powinni ich puszczać – burknęła cicho. Nie chciała się wdawać w dyskusję, bo i tak już było za późno. Nie miała ochoty na słowne przepychanki, w dodatku zaczęło mżyć, a podkomisarz miała na sobie tylko cienki jesienny płaszcz.

– Same małe rasy? – spytał Bednarski.

– Tak. Ten ostatni to beagle, najświeższe ciało należało do czarnego sznaucera miniatury. Jest też jakiś mieszaniec. Obok trzeciego ciała natknęliśmy się na ogon kolejnego zwierzęcia, ale jeszcze go nie odkopaliśmy. – Weterynarz kontynuował oprowadzanie śledczych. – Poleciałem dobrze je ominąć, dlatego dół jest głęboki. Najlepiej byłoby kopać tak, żeby podważyć ciało i go nie naruszać. Dzięki temu moglibyśmy zbadać je dokładnie na miejscu. Nic by nam wtedy nie umknęło. Dałoby się je spokojnie wyciągnąć spod ziemi. Poza tym wszędzie mogło być coś jeszcze, ziemia w wielu miejscach wygląda na spulchnioną. Należało więc szukać także głębiej. Szybko trafiliśmy na coś zgoła innego. Dlatego potrzebne było wsparcie.

Wskazał najgłębszy fragment wykopu, tuż pod łapą ostatniego odkrytego zwierzęcia. Można było tam coś dostrzec. Coś, co sprawiło, że prokurator palił już trzeciego papierosa. Szolc tymczasem pochyliła się nad dołem i zauważyła

zarys ubrudzonej ziemią bladej skóry. Ludzkiej skóry. To był fragment ramienia albo nogi. Kończyna była wątpa i mała. Z pewnością należała do dziecka.

Droga do domu dziecka, w którym pracowała, wiodła przez park, ale w nieco inną stronę. Malwina postanowiła jednak trochę zjechać i przystanąć obok zagajnika. Rozciągnięto już taśmę policyjną, między drzewami oprócz policjantów kręciło się kilku ubranych na biało mężczyzn. Pojawił się jeden nowy radiowóz i jakieś duże czarne auto. Przyglądała się przez chwilę, a potem razem z Fibi, z którą się nie rozstawała, ruszyła w swoją stronę.

Dom dziecka był schowany między blokami. Dotarła tu z lekkim opóźnieniem, od strony tylnego wejścia. Zamarła, gdy zobaczyła migocące w okolicach bramy koguty radiowozów. To było już za wiele na dziś. W końcu przełamała się i przyspieszyła kroku. Od tej strony nie miała możliwości dostać się od razu do głównego wejścia, dlatego musiała przejść przez cały budynek.

– Co się stało? – zawołała, gdy tylko przekroczyła próg, chociaż nie widziała nikogo w pobliżu. Szybko wytarła łapy Fibi i zamknęła ją w pokoiku socjalnym, w którym zwykle spędzała czas, kiedy jej pani pracowała.

Malwina skierowała się do głównego wejścia, nie chciała na razie wchodzić między dzieci. Wiedziała, że powinna pójść do nich jak najszybciej, żeby część z nich wyprawić, ale najpierw musiała się dowiedzieć, o co chodzi.

Po drodze spotkała wychowawcę, który akurat miał dyżur, ale zapytany, tylko wzruszył ramionami. Dopiero na zewnątrz trafiła na resztę pracowników, zarówno tych z pierwszej, jak i drugiej zmiany. Wśród nich dostrzegła policjantów.

– O co chodzi? – spytała Karolinę, jedną z wychowawczyń. Na jej twarzy dostrzegła łzy.

– Marcin zniknął – odparła cicho.

– Jak to? – Malwina nie rozumiała.

– Gandalf uciekł. W jednej chwili biegał po podwórzu, a nagle znalazł się za bramą. Dorota mówi, że przecisnął się przez jakąś szczelinę w siatce.

– Przecież Gandalf to duży pies, nawet w furtce się nie mieści. – Próbowała zażartować, żeby jakoś rozładować napięcie, ale to nic nie pomogło.

– Marcin stał przy oknie, był ubrany, ale nie miał iść do szkoły, bo wczoraj źle się czuł – dołączyła do wyjaśnień Dorota. – On... Powiedział, że pójdzie po psa. A ja... Nie powinnam mu pozwolić... – Zaszlochała głośno.

Marcin był jednym z podopiecznych Doroty. Miał dziewięć lat, raczej spokojne usposobienie, chudą sylwetkę i wadę wzroku, z której powodu czasem się gubił. Nie mieli funduszy, żeby ciągle zmieniać mu okulary.

– Nikt nie mógł wiedzieć... – Inna wychowawczyni starała się ją pocieszyć. – Myślałaś, że zdąży złapać psa.

– Ale... – Malwina nadal nic nie rozumiała. – Po prostu po niego poszedł? Karolina skinęła głową.

– I co dalej?

– To było godzinę temu – odparła Dorota, a jeden z policjantów zaczął coś notować, jakby Dorota dopiero teraz podjęła wcześniej przerwany wątek. Możliwe, że do tej pory wszyscy szukali chłopca, bo mieli nadzieję, że błąka się gdzieś po okolicy.

– A co pani zrobiła, gdy chłopak nie wracał? – spytał stojący obok policjant.

– Gdy tylko zobaczyłam, że Marcin przeskakuje przez bramę i biegnie za Gandalfem, od razu się ubrałam i wyszłam za nim. Rozglądałam się, ale już ich nie widziałam. Minęło kilka minut, potem zaczęłam szukać na pobliskich ulicach, ale nigdzie ich nie było.

– Która to była godzina?

– Chyba dochodziła dziewiąta.

– Czyli w tym momencie nie ma go już ponad godzinę? – dopytywał się policjant, patrząc na zegarek. – Ustalenie czasu jest bardzo ważne.

– Tak, Marcin wyszedł około wpół do dziewiątej.

– I co pani później zrobiła?

– Ja... Wróciłam. Miałam nadzieję, że on już będzie z psem pod bramą albo w środku.

– Wtedy zaczęli państwo go szukać?

– Tak – odparła inna wychowawczyni, bo Dorota znów się rozpląkała i trudno jej było mówić. – Dominik i Sylwia zostali w środku, a my poszliśmy szukać. Każdy w inną stronę.

Malwina odciągnęła Karolinę na bok.

– Czemu właściwie Dorota tak rozpacza?

Koleżanka spojrzała na nią pytająco.

– Jak to?

– Przecież to nie pierwszy raz, kiedy ktoś ucieka.

Karolina pokręciła głową, a Malwina kontynuowała myśl:

– Ja wiem, że Marcinowi się to nie zdarzało, ale kiedyś ten bunt przecież wychodzi z każdego, nawet z najgrzeczniejszego dziecka. Ty wiesz o tym najlepiej – dodała, bo Karolina pracowała w domu dziecka, odkąd tylko sama z niego wyszła. Podobnie wyglądało życie Malwiny, lecz ona była jeszcze młoda, na razie miała dłuższy staż wychowanki niż wychowawczyni, którą stała się zaledwie dwa lata temu, niedługo po ukończeniu dwudziestego drugiego roku życia. – Już niejeden chłopak uciekał, a potem albo wracał po kilku godzinach, albo dzwonił ze szkoły, że jednak się pojawił. Pamiętam, jak...

– Nie o to chodzi – przerwała jej, tupiąc niecierpliwie nogą. – Dorota poszła do parku, miała nadzieję, że znajdzie tam Marcina goniącego za Gandalfem.

Malwina już wiedziała, do czego zmierza ta opowieść.

– I trafiła na ogrodzony przez policję teren.

– Tak, ja...

– Przeraziła się, sama rozumiesz. – Nie dała jej dojść do słowa. – Była przekonana, że chodzi o Marcina, ale nie chcieli jej dopuścić, nie chcieli powiedzieć, co znaleźli.

– Ja...

– Po chwili my się pojawiliśmy. Dorota krzyczała i płakała – powiedziała, nachylając się do Malwiny konspiracyjnie, tak żeby nikt ich nie usłyszał. – Chciała tam pobiec, ale to nic nie dało. Zatrzymali ją, przy czym ona zdążyła coś zobaczyć. Nie chcieli powiedzieć, co się stało, a potem policja przyjechała tutaj, do nas. I wypytują, o co chodzi, ale wciąż nie chcą nam powiedzieć, do czego doszło w parku.

Malwina wzięła głęboki oddech.

– Ja wiem, co się tam stało.

Karolina otworzyła usta, żeby mówić dalej, ale się zawahała.

– Jak to?

– Byłam tam rano. – Doszła w końcu do głosu. – Zabrałam Fibi na spacer. Czyjś wyżeł zaczął kopać między drzewami. Odkrył ciała jakichś psów. To było przerażające – przyznała, dając tym samym znać, że poniekąd rozumie rozedrganie Doroty. – Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

– Psów? – Karolina zdawała się nie rozumieć.

– Tak, wyżeł zaczął kopać i widziałam, jak odkopał jakieś rozkładające się truchła.

– Los psa obchodzi cię bardziej niż los dziecka?

Nie rozumiała.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale mówisz tylko o psach! – krzyknęła Karolina histerycznie, a wtedy wszyscy na nią spojrzeli.

Malwina zadrżała, przestraszona. Nie zauważyła, w którym momencie w Karolinie wezbrała złość. Domyślała się jednak, że narastała już od dłuższego czasu i tylko szukała ujścia.

– Kurwa mać, tam leży zakopane dziecko! – Karolina krzyknęła jej prosto w twarz, a zaraz potem zwróciła się do policjantów. – Powieście nam w końcu, co tam się, do jasnej cholery, stało?! Mamy prawo wiedzieć!

Wszyscy jej przytaknęli, a Malwina stała jak słup i nie mogła zebrać myśli. Przeraził ją wybuch Karoliny.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens wykrzyczanych przed chwilą słów.

– Dziecko? – powtórzyła i spojrzała w zapłakane oczy Doroty, która bezradnie przytaknęła.

– Widziałam wystającą z ziemi dłoń. Małą, delikatną dłoń. – Głos jej się załamał. – Jak... – Nie dokończyła. Cały czas wpatrywała się w Malwinę, jakby oczekiwała od niej wyjaśnień.

Patrzyli z niedowierzaniem, jak technicy centymetr po centymetrze odkrywają uwięzione pod ziemią ciało dziecka. Najpierw usunęli truchło psa, spoczywające kilkanaście centymetrów wyżej. Potem wykopali szeroki rów, żeby dać sobie jak największe pole manewru, i spod czarnych wilgotnych grud wydobyli ciało dziecka trochę już naruszone przez proces gnilny.

Chłopiec miał na sobie ciemnozielony sweter i czarne spodnie, na prawej stopie biały but, na lewej ściągniętą do połowy czerwoną skarpetkę, odkrywającą białą chudą kostkę. Gęste jasne włosy przeplecione były teraz ziemistymi pasmami. Przy każdym poruszeniu ciała od skóry odklejały się płaty wilgotnej ziemi. Czarne grudy zaklejały mu nos, uszy, a także oczy. Z rozchylonych ust wylewała się teraz bagnista breja, jakby dziecko dławiono się gęstą, ciemną krwią.

– Wygląda na jakieś sześć lat – rzucił lekarz, jakby od niechcienia.

Przyglądał się, jak technicy oczyszczają ciało i fotografują je kawałek po kawałku. Wydobicie go z ziemi nie stanowiło problemu. Choć zakopano je na głębokości niemal metra, ziemia nie została ubita, pozostała pulchna i dało się ją swobodnie usuwać. To w połączeniu z brakiem zaawansowanego procesu gnilnego sugerowało, że ciało zostało zakopane zaledwie kilka dni temu.

Lekarz ostrożnie podnosił fragmenty ubrania, dokonując zewnętrznych oględzin. Skupił się na głowie i okolicach szyi, gdzie było najwięcej śladów – sińców i otarć.

– Zostało ułożone idealnie pod psem – zauważył Bednarski, który stał kilka kroków dalej.

Niestety wszelkie ewentualne ślady traseologiczne i biologiczne pozostawione przez sprawcę z pewnością zostały zdeptane przez tych, którzy pojawili się tu pierwsi, przez ich psy, potem przez patrol z ósmego komisariatu na Górnej, aż w końcu przez technika i weterynarza, którzy jeszcze nie znali powagi sytuacji.

Policja zabezpieczyła już cały zagajnik, technik określił miejsca, w których ziemia mogła być w ostatnim czasie naruszana, tym samym wyznaczył punkty, gdzie należało szukać kolejnych ciał. Miejsc okazało się tak wiele, że podkomisarz Szolc nie mogła w to uwierzyć. Raz po raz marszczyła czoło i przeczesywała jasne włosy brudnymi od ziemi dłońmi.

Badała już tak wiele morderstw na terenie Łodzi, że kolejne nie powinno budzić jej zdziwienia, ale mimo to potrzebowała chwili, żeby pochylić się nad zwłokami dziecka. Napawały ją dziwnym strachem. Technik pracował, jak gdyby po prostu bawił się w ziemi, aspirant Bednarski też nie wyglądał na specjalnie poruszonego, choć dla niego prawdopodobnie była to pierwsza tego typu sprawa. Prokurator Hybel złościł się, że znów dopuszczono się czegoś tak okropnego, ale podkomisarz Szolc trudno było ogarnąć umysłem to, co widziała. Po niedawnej sprawie Michała „Szarego” Grysa, po obejrzeniu wielu nagrań gwałtów i tortur, sądziła, że już się uodporniła. Teraz jednak doszła do wniosku, że braku emocji nie da się wypracować, że tkwią w niej głęboko pokłady empatii, która zawsze będzie się odzywać. Nie chciała jej stracić, wiedziała, że jest bardzo cenna.

Punkty, w których należało kopać, znajdowały się w promieniu dwudziestu metrów od ciała dziecka. Technicy przeczesywali teren z wielką dokładnością. Śladów było tak wiele, że ich selekcja i weryfikacja zajmie zapewne tygodnie, a być może nie przyniesie efektu.

Wszystko jednak mogło mieć znaczenie.

– Ktoś miał bardzo chytry plan – zauważyła Szolc. Mówiła to bardziej do siebie niż do aspiranta i prokuratora. – Myślał, że po znalezieniu jednego ciała nie będzie się już kopać głębiej.

– Chyba tylko głupi by nie kopał głębiej po znalezieniu całego tego cmentarzyska – odparł prokurator.

– Więc może tak naprawdę nikt nie chciał ukrywać tego ciała – zauważył Bednarski. – Skoro to było oczywiste, że i tak je znajdziemy, to...

– To stworzył cmentarzysko, które od razu będziemy mogli odkryć – przerwał mu Hybel. – W całości. Pełna gablota trofeów, że tak to ujmę. To ma sens.

Aspirant Bednarski omiół spojrzeniem okolicę. Przy taśmie zebrała się spora grupa gapiów i oczywiście dziennikarze, którzy od razu wyczuli dobry

temat. Robili zdjęcia i rozmawiali z przypadkowymi osobami, choć te z pewnością niewiele wiedziały.

– Kiedy ściągnąć tę parę na komisariat? – spytał podkomisarz. W notesie znalazł ich dane przekazane przez patrol, który przyjechał pierwszy. Wtedy jeszcze nikt nie podejrzewał, do czego dokopią się technicy. Bednarski domyślał się, że mocno ich zaskoczy wiadomość o tym, co zamiast ciał zwierząt mogły odkryć ich psy.

Szolc spojrzała na zegarek. Dochodziła czternasta, wkrótce zacznie się ściemniać. Ciała psów zostały już zabezpieczone, a ciało dziecka w ciągu najbliższej godziny powinno zostać przetransportowane do patologa.

– Sprowadź ich na dwudziestą. Wtedy już powinnam pojawić się w komendzie.

– Rozumiem.

Chciał jeszcze o coś spytać, ale w tym samym momencie zawołał ich technik.

– Gotowe – powiedział, gdy weszli za parawan, który odgradzał ich od świata zewnętrznego.

Lekarz już tam był. Kucał tuż obok dołu i spisywał wstępny protokół. Szolc też powinna to zrobić, lecz nagle zabrakło jej sił.

Jakiś czas później Malwina wpadła na Karolinę, która cały czas wydawała się dziwnie nieobecna.

– Jak się czujesz? – zagadnęła. Jej poranny wybuch świadczył o tym, że mocno przeżyła zniknięcie Marcina.

Karolina w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Teraz to nie ma większego znaczenia – odparła w końcu i podeszła do okna. Dziś każdy robił to dosłownie co kilka minut, z nadzieją, że zaraz pod bramą z uśmiechem na ustach pojawi się Marcin, prowadząc psa, i od razu będzie wołał, że udało mu się go złapać. Ale mijały kolejne godziny, a chłopaka wciąż nie było.

– Wiadomo już cokolwiek? – Ruchem głowy wskazała park widoczny z okna. Nie wiedziała, jak opisać akcję policji. Połączenie słów „ciało” i „dziecko” nie mogło jej przejść przez gardło.

– Wiem tyle samo co ty – odparła sucho.

– Miałam nadzieję, że może Dorota się czegoś dowiedziała.

– Jeszcze nie wróciła. Poza tym wątpię, żeby miała ochotę w tym momencie z kimkolwiek rozmawiać.

– A może właśnie powinna – szepnęła cicho, sądząc, że Dorota z pewnością potrzebowała teraz choćby najmniejszej pomocy.

Wszystko to, co się dziś wydarzyło, zdawało jej się czymś całkowicie abstrakcyjnym i niemożliwym. Poranny spacer z Fibi jawił jej się jako zły sen, podobnie rozmowa z policjantami przed budynkiem.

– Wiadomo cokolwiek? – spytała Dorotę, gdy ta w końcu wróciła z kolejnego obchodu po pobliskich ulicach.

– Policja twierdzi, że Marcin został uprowadzony – odparła cicho, tak żeby nikt więcej jej nie usłyszał. Dzieci jeszcze nie wiedziały, co się wydarzyło.

– Ale przecież sam wyszedł.

– Możliwe, że... – przełknęła głośno ślinę – ktoś na niego wpadł i... Powiedziano mi, że został już uruchomiony tak zwany – zastanowiła się chwilę, szukając odpowiedniego słowa – child alert. Zaraz zostaną zwołane wszystkie możliwe jednostki, więc poszukiwania pójdą szybciej i sprawniej – dodała. – Muszę znaleźć zdjęcie Marcina, bo od razu mają udostępnić je w mediach. To podobno bardzo pomocne.

Powtarzanie tego, co usłyszała, zdawało się ją uspokajać. Choć nadal ramiona jej się trzęsły, to jednak mówiła już rzeczowo. Pierwszy strach minął, teraz pozostawała po prostu nadzieja.

– Tylko czy w przypadku dzieci z takiego miejsca jak to... – Malwina zaczęła niepewnie, a Dorota wiedziała, o co chodzi.

– Nie chcieli mi tego powiedzieć wprost, ale dali do zrozumienia, że działania będą mniej intensywne niż w przypadku normalnego... – skrzywiła się, wypowiadając to słowo – dziecka. Zbyt dużo osób ucieka z naszych placówek, żeby aż tak bardzo się tym przejmować.

– Nawet w tym wieku?

– Dla nich to chyba bez różnicy.

– Co za niesprawiedliwość. – Malwina nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Zapewniali, że Marcin na pewno szybko się znajdzie. Co prawda biorą pod uwagę uprowadzenie, ale raczej zakładają, że Marcin zgubił się w pogoni za psem i albo znajdziemy go gdzieś na ulicy, albo sam jakoś znajdzie drogę powrotną.

– Raczej zna te tereny – stwierdziła Malwina, choć wiedziała, że miejska dżungla dla dziecka może być naprawdę przerażająca. Tym bardziej że w okolicy było wiele ruchliwych ulic, wszędzie jeździły tramwaje, jezdnie były wielopasmowe, skrzyżowania zatłoczone.

– Rzucili jakimiś statystykami, że w ciągu doby znajduje się jedna trzecia zaginionych, więc z jednej strony trzeba szukać, a z drugiej po prostu czekać. Prędzej czy później ktoś na niego trafi. Na pewno się znajdzie.

– No jasne – odparła Malwina, wiedząc, że Dorota potrzebuje teraz takiego zapewnienia. – Znajdzie się. Tylko... Czy wiadomo cokolwiek na temat tej sprawy z parku? Czy... Czy zniknięcie Marcina ma z tym cokolwiek wspólnego?

– Podobno nie.

Odetchnęła z ulgą.

– Czyli to czysty przypadek, że jednego dnia... – Nie mogła się wysłowić, wciąż wypowiedanie niektórych słów napawało ją lękiem.

– Tak, to zupełny przypadek, chociaż rzeczywiście trudno uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Ale podobno ciało tamtego dziecka – zaakcentowała słowo „tamtego”, choć w tym samym momencie jej oczy znów się zaszkliły – leżało w ziemi już kilka dni. Policjanci, z którymi szukałam Marcina, na razie nic więcej nie mogli mi powiedzieć. Tylko tyle wybłagałam.

– Trzeba cały czas wyglądać przez okno. Jestem pewna, że w którymś momencie zobaczymy, że przy furtce stoją Marcin z Gandalfem.

– Mam taką nadzieję.

Malwina uśmiechnęła się dobrodusznie, po czym wróciła do pracy. Chciała koniecznie czymś się zająć. Nie było jednak na to szans. Cały czas myślała, że w każdej chwili może się do niej odezwać policja. I nie pomyliła się.

– Na razie mogę stwierdzić tylko tyle, że dziecko zostało uduszone – powiedział lekarz, nie patrząc ani na podkomisarz Szolc, ani na prokuratora.

Ciało zostało już w pełni odsłonięte, można je było swobodnie włożyć w worek i zabrać z zagajnika. Widać było, że szyja dziecka jest opuchnięta, co potwierdzało słowa lekarza, ale poza tym chłopiec nie miał w zasadzie żadnych innych obrażeń. Kiedy odkryto jego nagie ramię, Szolc zaczęła się obawiać, że zbrodnia mogła zostać popełniona na tle seksualnym. Na szczęście dało się to wstępnie wykluczyć, bo ubranie, poza tym, że brudne i mokre, nie wyglądało na zdejmowane, rozcinane ani zsuwane.

– Wygląda, jakby ktoś go udusił nad tym dołem, a potem zepchnął do niego i zakopał – stwierdził pośpiesznie prokurator.

– Mogło tak być, bo to raczej nie jest przypadkowa śmierć – odparła Szolc.

– Skąd ten wniosek?

– Ktoś, kto zakopuje ciało w takim miejscu, z pewnością liczy, że zostanie znalezione. – Szolc przetrawiła już ich wcześniejszą rozmowę. – Przypadkowe śmierci ukrywa się o wiele lepiej i skrzętniej.

– To fakt – przyznał Bednarski. – O ile morderca nie uznał, że zawsze najciemniej jest pod latarnią, więc nikt

nie będzie rozgrzebywał ziemi w środku parku. Poza tym – sięgnął pamięcią do statystyk, które kiedyś czytał – jeśli chodzi o miasta, zwłoki dość często ukrywane są w parkach, natomiast na wsiach najczęściej nieopodal miejsca zbrodni.

– Mimo wszystko tutaj prawdopodobieństwo szybkiego ujawnienia zbrodni było bardzo duże. Morderca musiał mieć ze sobą szpadel, kopał długo i cały czas zastanawiał się, czy ktoś go nie zauważy. Poza tym to nie była jednorazowa akcja, pojawiał się tu co jakiś czas, żeby zakopać ciała tych wszystkich psów.

– Raczej nie zrobił tego za jednym razem.

– Są w różnym stopniu rozkładu – wtrącił się lekarz – więc rzeczywiście w grę nie wchodzi wykopanie wielu grobów naraz. To musiało trwać miesiącami.

– Tylko dlaczego akurat teraz to się wydało? – zastanawiał się na głos Bednarski.

– Jakiś pies zaczął tu węszyć? – upewniła się Szolc. Aspirant przytaknął. – Musiał wyczuć świeże zwłoki. Trzeba spytać właściciela, czy wcześniej bywał w tym miejscu – zwróciła się znów do Bednarskiego, a ten od razu to zanotował.

Odsunęli się, bo za parawan weszło dwóch techników, żeby zabrać ciało. Bednarski i prokurator szybko się wycofali. Zabezpieczanie zwłok kontrolowała Szolc, którą Hybel od razu wyznaczył na prowadzącą sprawę, oraz lekarz sądowy. Musieli dopilnować najważniejszego dowodu. Ciało należało jak najszybciej poddać sekcji i dać technikom pełen dostęp do terenu, aby przeczesał go z jak największą dokładnością.

– Jak myślisz, ile jeszcze ciał tu znajdziemy? – Prokurator zagadnął Bednarskiego, gdy przeszli za taśmę.

– Mam nadzieję, że niewiele.

– Wtedy już nie byłoby żadnych zaskoczeń.

Bednarski wyczuł rozbawienie, a nawet drwinę w tonie prokuratora. Może to było dla niego odskocznią, a może myślał, że ze zwykłym aspirantem może sobie tak ironicznie porozmawiać.

– To tym lepiej – odparł, nie patrząc na niego.

– Może i masz rację. – Hybel westchnął. – Ale szukanie sprawcy to zawsze gra w podchody albo w chowanego.

– Tak pan myśli? – zdziwił się Bednarski, choć poniekąd go rozumiał.

– Zdecydowanie. Lepiej nie brać tego wszystkiego zbyt osobiście. – Poklepał go po ramieniu, jakby był świeżakiem, który właśnie został wrzucony na głęboką wodę po szkole policyjnej. Bednarski wiedział, że prokurator może go w ogóle nie kojarzyć, bo uważał się za najważniejszego i często traktował ludzi z góry. Miał doświadczenie i swoje lata, a także łysinę na czubku głowy, która dodawała mu powagi. Zwykle prawidłowo, dociekliwie i kompetentnie prowadził sprawy, ale czasem potrzebował jakiegoś wentyla, żeby upuścić nagromadzone emocje.

– No to czekamy na wyniki sekcji. – Szolc rzuciła do prokuratora, który bardzo chciał jak najszybciej opuścić to miejsce. Robiło się ciemno, coraz zimniej, cały czas siąpił deszcz.

Podkomisarz i prokurator ruszyli w stronę swoich samochodów, aspirant został, żeby pilnować dalszych poszukiwań. Dopiero za godzinę miała go zastąpić Edyta Gawron.

– Też ci się wydaje, że coś jeszcze znajdziemy? – zagadnęła Szolc, gdy stanęli przy mercedesie Hybla.

– Mam nadzieję, że nic równie makabrycznego – odparł bez przekonania. Z Szolc najwyraźniej wolał rozmawiać znacznie poważniej niż z aspirantem.

– Też tak myślę, chociaż mam złe przeczucia.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Pożegnał się i odjechał. Szolc usiadła za kierownicą i zapatrzyła się w zagajnik, który powoli niknął w szarówce wieczoru. Odgrodzono cały teren, wokół ustawiono kilka radiowozów, reszta zaparkowała przy pobliskiej ulicy. Między nimi kręcili się dziennikarze, żądni wrażeń. Szolc była pewna, że zdjęcia z przenoszenia ciała dziecka, które oczywiście zostało szczelnie zasłonięte, jutro obiegnie łódzkie, a być może także ogólnopolskie media. Na razie nie było sensacji, sama policja niewiele wiedziała, więc i dziennikarze nie mogli się wykazać. Ale to miało się za chwilę zmienić. Szczególnie że o śmierć niejednego dziecka w tym momencie chodziło.

Malwina stanęła w oknie i zapatrzyła się w ciemniejącą za nim przestrzeń. Z oddali dochodził szloch Doroty, a policja po raz kolejny rozmawiała z dwoma wychowawcami, z którymi stali teraz przed głównym wejściem. Za bramą zaparkowały dwa radiowozy, a kilka innych przeczesywało okolicę.

Poszukiwania najpierw nie były zbyt intensywne, ale znalezisko w parku podobno to zmieniło. Malwina usłyszała rozmowę dwóch funkcjonariuszy, którzy martwili się, że jeśli Marcin nie znajdzie się w ciągu doby, z pewnością to jego ciało znajdą jako kolejne.

Nie dopuszczała do siebie tej myśli, była zbyt przerażająca. Wręcz niemożliwa. Wspomnienie o tym, że Marcin, którego znała od tak dawna, może być teraz w rękach kogoś, kto...

– Cicho! – powiedziała sama do siebie, żeby o tym nie myśleć.

Tak bardzo chciała teraz zobaczyć w świetle latarni uśmiechniętego chłopaka z psem na smyczy, że w końcu ujrzała ten obraz. Zdziwiła się, jak bardzo sugestywna potrafi być jej własna wyobraźnia.

Do rzeczywistości przywrócił ją dopiero kolejny napad szloch Doroty, która wciąż nie potrafiła się ogarnąć i obwiniła się o to, co się stało.

– Byliśmy dosłownie wszędzie – mówiła Malwinie, która już zbierała się do wyjścia.

– Jadłaś coś? – spytała Malwina.

– Mam kanapkę. – Wskazała kieszeń kurtki. – Marcin będzie głodny, gdy wróci, na pewno będzie chciał coś od razu zjeść.

– Pytałam o ciebie.

– To nie ma w tym momencie żadnego znaczenia.

Fibi zaczęła się już niepokoić i stała pod drzwiami. Miała ochotę na spacer, ale Malwina nie była pewna, czy może zostawić Dorotę.

– On na pewno się zaraz znajdzie – zapewniła ją. – Naprawdę.

Dorota pokiwała tylko głową, a Malwina w końcu wyszła. Tym razem głównymi drzwiami. Nadrobiła przez to kilkaset metrów, ale sama chciała rozejrzeć się po okolicy.

Po drodze wstąpiła do sklepu. Kupiła butelkę wina i opakowanie leków przeciwbólowych. Od razu wzięła dwie tabletki, żeby nieco przytępić krzyki w głowie, które od rana nie dawały jej spokoju. W pracy starała się nic nie brać, żeby nie tracić trzeźwości umysłu.

Gdy tylko weszła do mieszkania, szybko coś zjadła i otworzyła wino. Wiedziała, że nie powinna pić od razu po zażyciu leków, ale naprawdę musiała. Taki stres i tyle makabrycznych widoków jednego dnia to było dla niej zbyt wiele. Wreszcie mogła spokojnie usiąść i poddać się swojemu wewnętrznemu strachowi, potem wziąć tabletki, które zostały jej po terapii sprzed kilku lat, napić się i próbować oszukać samą siebie, że wszystko jest w porządku. A potem zasnąć.

Ujadanie psa odbijało się echem od brudnych, wilgotnych ścian. Podłoga pokryta była odchodami. Podmywały drewnianą podstawę klatki, w której siedział dziewięcioletni Marcin. Nie mógł w niej swobodnie leżeć ani tym bardziej stać. Co jakiś czas zmieniał pozycję, ale każda przyprawiała go o ból kończyn, a smród odchodów wywoływał zawroty głowy i ucisk w żołądku. Zwymiotowałby, gdyby tylko coś w ostatnim czasie jadł.

– Chcę wyjść! – zawołał, słysząc jakieś szuranie w pomieszczeniu obok.

Znajdował się w ciemnym pokoju. Krzyczał głośno, ale najwyraźniej nie na tyle, żeby ktokolwiek mógł go usłyszeć.

– Muszę siku! – Miał nadzieję, że osoba, która go tutaj zamknęła, ujawni się, słysząc to. Nic jednak się nie stało. Dziwne odgłosy w pomieszczeniu obok nie ustawały. Ktoś tam musiał być, coś przesuwiał po betonowej podłodze. Być może inne klatki, a tych było tu kilka.

Marcin zapierał się nogami o metalowe pręty, lecz nie był w stanie ani ich zgąć, ani wyłamać. Były grube i stalowe. Przy drzwiczkach znajdowała się kłódka, którą zamknięto na klucz zaraz po wepchnięciu go do środka. Potem dziwna postać, która go tutaj sprowadziła, w innej klatce zamknęła Gandalfa i szybko zniknęła.

Dobrze, że pies szczekał głośno, dzięki temu ktoś mógł ich usłyszeć, ale każdy dźwięk niczym grube wiertło wwiercał się Marcinowi boleśnie w mózg.

Chłopca wypełniały panika i ból, wynikające bardziej z przerażenia niż z doznanych obrażeń. Ten ktoś nie zrobił mu konkretnej krzywdy. Pamiętał, jak chwycił go mocno, potem zasłonił mu oczy i zaciągnął w nieznane miejsce.

– Naprawdę muszę wyjść! – wrzasnął jeszcze raz, ale dźwięk jego słów tylko rozdrażnił psa.

Zaczął jeszcze głośniej ujadać, jakby go nie rozpoznawał.

Marcinowi pozostało jedynie czekanie.

15 października

Tomasz Lipiński usiadł na ławce w parku, gdy wybiła godzina siódma rano. Miał pewne opory przed wejściem między drzewa, choć dziś było nieco cieplej i mniej mgliście niż wczoraj. W pobliżu nie było żadnego skweru, na który mógłby pójść z Qui-Gonem, swoim sześciolatkiem wyżłem weimarskim. Spacer wokół okolicznych bloków nie był dobrym rozwiązaniem, bo wyżeł potrzebował przestrzeni, a nie tylko wąskiego skrawka trawnika.

– Dzień dobry. – Nagle usłyszał głos młodej dziewczyny, która do niego podeszła.

Malwina Król uśmiechnęła się niepewnie, ale pozwoliła Fibi podejść do wyżła.

Tomasz jedynie skinął głową, po czym odwrócił wzrok, jakby czegoś szukał. Malwina pomyślała, że na kogoś czeka, dlatego się zawahała.

– Można? – spytała, a on powtórzył wcześniejszy gest, nie wiedząc jednak, czy Malwina pyta o pozwolenie na podejście do psa, czy o pozwolenie na zajęcie miejsca obok. Usiadła, choć nie miała pewności, czy powinna. Czuła swego rodzaju więź z Tomaszem, bo wspólnie byli świadkami makabrycznego odkrycia, ale sądziła, że on to może odczuwać inaczej.

Wyglądał na osobę cichą i zamkniętą w sobie. Raczej wycofaną i niechętną do rozmów. To budowało dystans, ale też w dziwny sposób Malwinę intrygowało. Szczególnie że Tomasz był naprawdę przystojny.

Fibi natomiast intrygował wyżeł, który najwyraźniej upodobił się do swego pana i był równie introwertyczny. Choć merdał ogonem i wpatrywał się w skaczącą przed nim suczkę, nie miał zamiaru się podnosić ani odpowiadać na rozochocone powarkiwania.

– Wciąż tam czegoś szukają? – Malwina wskazała na widoczne w zaroślach taśmy policyjne i błąkających się między drzewami funkcjonariuszy.

– Przez noc kopali – odezwał się w końcu Tomasz, kurczowo ściskając smycz. – Teraz już chyba tylko pilnują terenu.

– Ciekawe, co jeszcze znaleźli.

– Nie wiesz? – Spojrzał na nią, zaciekawiony, jakby wyczuł moment, w którym mógł się poczuć pewniej. – Nie rozmawiali z tobą?

Malwina cieszyła się, że zwracał się do niej per „ty”, w dodatku swobodnym tonem, jakby naprawdę stali się znajomymi. Tymczasem on był z dziesięć lat od niej starszy. Mężczyźni w tym wieku zwykle uważali ją jeszcze za dziecko i specjalnie używali określenia „pani”, co brzmiało w ich ustach nieszczerze i kiczowato. Wiedzieli o tym i tym samym chcieli od razu pokazać, że są lepsi i ważniejsi. Tymczasem Tomasz uznał ją za równą sobie, co bardzo jej pochlebiało.

– Nie, a z tobą rozmawiali?

– Wczoraj wieczorem zadzwonili i kazali mi się stawić na przesłuchanie.

Malwinę przeszedł dreszcz.

– Jak to?

– Musieli jeszcze raz spisać zeznania, poza tym pobrali ode mnie odciski palców i wymaz ze śluzówki.

– Boże, po co?

Fibi podeszła i trąciła ją nosem. Wyczuła strach swojej pani i najwyraźniej chciała ją jakoś podnieść na duchu.

– Znaleźli tam ciało. – Wskazał palcem, choć cały czas patrzyli w tamto miejsce. – Ciało dziecka.

– Tak, słyszałam o tym. Ale chyba o nic cię nie podejrzewają, prawda?

Tomasz pokręcił głową, jakby sam o tym nawet nie pomyślał. Malwina przestraszyła się, że znaleźli coś przeciwko niemu, a to oznaczałoby, że i ona mogła mieć problemy. Ale przecież nie zrobili nic złego, tego była pewna. Życie nauczyło ją jednak, że zawsze lepiej trzymać się z dala od policji i problemów.

– Ciekawe, czemu nie zadzwonili do ciebie – zastanawiał się.

Malwina doskonale wiedziała. Bardzo często, kiedy podawała komuś swój numer, szczególnie w stresujących sytuacjach, myliła cyfry. Ludzie tego nie rozumieli, a ona nie potrafiła wyjaśnić. Po prostu miała lukę w pamięci, jakąś pustkę. Podawała wtedy cokolwiek. Zdarzało się, że kurier przy domofonie

pytał, na które piętro ma wjechać, a ona nie mogła sobie przypomnieć. Zawsze przy zamawianiu paczki musiała sprawdzać, jaki ma kod pocztowy, a w sklepie przed wpisaniem PIN-u sprawdzała notatkę w telefonie, w której go zapisała. Wczoraj nawet nie zauważyła, że podała zły numer, ale z pewnością tak było. Nie powiedziała o tym Tomaszowi, choć sądziła, że akurat on mógłby ją zrozumieć.

– Może się pomyliłam – odparła tylko.

– W takiej sytuacji nie byłoby to wcale takie dziwne.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa. On natomiast wyciągnął z portfela wizytówkę, którą dał mu aspirant Jakub Bednarski.

– Lepiej do nich zadzwoń, żebyś nie miała problemów. Pytali mnie o ciebie, powiedziałem, że razem trafiliśmy na te ciała. Prosimi o jakiś kontakt, ale nie mogłem im pomóc.

– Oj, to szkoda, że nie miałeś mojego numeru – powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Tomasz spojrzał na nią z ukosa. Sądziła, że się skrzywi, ale dostrzegła, jak kąciaki jego ust drgnęły w delikatnym uśmiechu.

Splonęła rumieńcem, lecz nie mogła zrozumieć, czemu właściwie tak zareagowała. Zaczęła głaskać Fibi, która już chyba zrozumiała, że nie ma szans u wyżła, i po prostu usiadła tuż obok i oparła się o nogi Malwiny.

– Czas się zbierać. – Tomasz wstał niespodziewanie i otrzepał się dokładnie, zupełnie jakby siedział na ziemi, nie na ławce. Potem rozejrzał się z dziwną rezygnacją, jakby naprawdę czekał na kogoś, a ten ktoś się nie pojawił. – Miłego dnia życzę.

– Wzajemnie – odparła szybko. – Praca wzywa? – spytała, chcąc go jeszcze choć na chwilę zatrzymać.

Ona miała jeszcze sporo czasu. Wychodziła z Fibi tak rano, bo nie lubiła długo spać, poza tym zwykle wcześniej się kładła i wcześniej budziła. Niewiele miała w życiu rozrywek poza zabawą z Fibi, czytaniem książek i oglądaniem filmów. Większość życia poświęcała swoim podopiecznym i wcale nie przeszkadzało jej to, że niemal nie ma czasu dla siebie.

– Owszem – odparł tylko, a Malwina zastanawiała się, czy jego niechęć do rozmowy powoduje jej osoba, czy Tomasz po prostu tak ma.

– Daleko masz do pracy? – Nie chciała pytać wprost.

– W zasadzie tuż obok parku, przy skrzyżowaniu Tymienieckiego ze Śmigłego-Rydza.

– Mogę się z tobą przejść? Chciałam, żeby Fibi pobiegała, a nie mam ochoty iść... w wiadomym kierunku.

– Właściwie to zamiast dzwonić możesz do nich podejść i powiedzieć, kim jesteś. Na pewno by cię jakoś skontaktowali z tym aspirantem.

Malwina uznała te słowa za sprzeciw wobec jej propozycji.

– Boję się tam zbliżyć.

– Więc chodźmy – odparł i pociągnął delikatnie za smycz. Wyżeł posłusznie ruszył za swoim panem, a Malwina z Fibi trzymały się dwa kroki za nimi. W milczeniu wąską ścieżką dotarli do rozwidlenia, skręcili w lewo i stanęli na światłach. Tomasz odwrócił się w stronę parku i jeszcze raz zlustrował wzrokiem najbliższą przestrzeń. Po chwili przeszli na drugą stronę i trzy minuty później stanęli przed niewielkim obskurnym budynkiem.

– Pracujesz w saloniku prasowym? – spytała nieco skonsternowana, bo wyobrażała sobie Tomasza jako pracownika jakiejś korporacji.

– To takie dziwne?

– Nie, nie. – Zmieszała się. – Po prostu zawsze sądziłam, że praca w takim miejscu wymaga chęci do rozmowy, a tymczasem patrzę na kogoś, kto najchętniej nie tylko sam by milczał – zawahała się, nie wiedząc, czy powinna dokończyć swoją myśl – ale i wyciszył większość świata.

– Z pewnością zakupy w milczeniu byłyby o wiele bardziej komfortowe. – Tomasz zaśmiał się, choć jakoś sztucznie, a Malwina już wiedziała, że kompletnie nie potrafi go rozgryźć. – Wejdiesz?

Nie czekając na odpowiedź, puścił ją przodem.

Malwina przeszła się po saloniku. Stała przed półką z gazetami. Było ich całkiem sporo, lecz ich nie rozróżniała. Nie miała pojęcia, po którą miałyby sięgnąć, żeby przeczytać najświeższe informacje z kraju i z Łodzi. Patrzyła na okładki i próbowała rozstrzygnąć, które pisma są tygodnikami, a które miesięcznikami, lecz nie potrafiła. Wtedy poczuła jakiś dziwny dystans do Tomasza – był sprzedawcą czegoś, co nie miało dla Malwiny żadnego znaczenia.

– Kawy? – spytał, przechodząc zza lady do małego pomieszczenia na zapleczu.

– Chętnie – odparła, idąc za nim.

Nie do końca miała ochotę, ale chciała tu jeszcze chwilę zostać i nieco bliżej poznać Tomasza, który wydawał się wycofany, ale na pewno był intrygujący. Miał wypisaną na twarzy mądrość i dobroć, lecz jego oczy zdradzały, że wszelkie emocje pozostawiał dla siebie. Nie dzielił się nimi i dlatego były dla Malwiny tak bardzo interesujące.

– Ciekawe zdjęcie – powiedziała, spoglądając na jedną z dwóch półek znajdujących się na zapleczu. Na pierwszej stał czajnik i kilka pojemników, zapewne z kawą, herbatą lub innymi podobnymi produktami. Tomasz wziął jeden i wsypał po dwie łyżeczki rozpuszczalnych granulek do dwóch kubków. Na drugiej półce natomiast leżało między innymi kilka książek, laptop i ramka ze zdjęciem. Przedstawiało Tomasza, młodszego o jakieś dziesięć lat, kucającego przy psie, który z pewnością nie był leżącym teraz za ladą wyżłem.

– To Yoda, mój buldog. Zmarł sześć lat temu.

Malwina kojarzyła, że Yoda to postać z Gwiezdných wojen, chociaż oglądała tylko jedną z części. Ta tematyka nigdy jej nie fascynowała.

Buldog rzeczywiście trochę przypominał filmowego Yodę, o ile Malwina dobrze pamiętała. Chodziło głównie o spiczaste uszy i dziwne zamyślane

oczy. Pies pochylał pysk i patrzył spode łba na osobę robiącą zdjęcie.

Malwina ciekawa była, kto wtedy stał za obiektywem.

– Zmarł? – Malwinę zdziwiło użycie tego słowa zamiast „zdechł”.

– No tak – odparł Tomasz, nie rozumiejąc, o co chodzi Malwinie. Woda już się zagotowała, zalał wrzątkiem obie kawy. – Miał nowotwór. Skończył siedem lat, kiedy wyczułem pod jego łapą guz, który z każdym miesiącem rósł, aż po roku go zabił.

– Przykro mi.

– Tak czy siak, Yoda zbyt długo by nie pożył. Rok, może dwa. Weterynarz twierdził, że nie cierpiał, ale jestem przekonany, że prędzej czy później zaczęłby odczuwać ból, z każdym dniem coraz większy.

– Do ludzi masz podobne podejście? – zainteresowała się, szczerze zaintrygowana.

– W zasadzie tak. Śmierć to nieodłączna część życia. Sam, jeśli miałbym wybierać długotrwały ból albo szybkie odejście, wolałbym to drugie.

– Ale nigdy nie wiadomo, czyby się cierpiało, więc może lepiej zaryzykować?

– Zabijać nikogo nie mam zamiaru, żeby oszczędzać mu jakichś wymyślonych cierpień, jeśli o to ci chodzi. – Zaśmiał się. – Ale jeśli już ktoś choruje, to lepiej, gdy w ostatnich chwilach nie płacze, lecz się uśmiecha.

Powiedział to z poważną miną, wręcz smutną, dlatego Malwina sądziła, że jego podejście może być powodowane cierpieniem, które sam przeżywa.

– Może i masz rację.

Malwina nigdy nie zastanawiała się nad podobnymi kwestiami. Choć przeszłość mocno ją znieczuliła, to jednak śmierć czy nawet sama informacja o niej zawsze bardzo ją poruszały. Zdecydowanie bardziej jednak przerażała ją śmierć ludzi niż zwierząt.

– To był twój pierwszy pies? – Musiał mieć do niego szczególny sentyment.

– Tak, pierwszy. Wziąłem go zaraz po skończeniu studiów, gdy zacząłem pracę. Mam nadzieję, że jego dusza z przyzwyczajenia nie szuka mnie właśnie tam, gdzie najczęściej chodziliśmy na spacer. – Roześmiał się, ale Malwina się skrzywiła.

– Sądzisz, że psy mają duszę? – zapytała zdziwiona.

– Jeśli coś takiego jak dusza w ogóle istnieje, to one z pewnością ją mają.

– A my?

– Wątpię. Ewolucja wykształciła w nas umiejętność myślenia, ale to nie znaczy, że jesteśmy wyjątkami.

– A dlaczego psy są takie wyjątkowe?

– Chociażby dlatego, że nigdy nas nie porzucają.

Z tym argumentem Malwina nie potrafiła dyskutować.

– Wtedy też tutaj pracowałeś?

– Nie, pracowałem w korporacji przy rondzie Solidarności.

Malwina ucieszyła się w myślach, bo jednak jej pierwsze wrażenie, że Tomasz wyglądał na korposzczura, było trafione.

– Jak to się stało, że przeniosłeś się tutaj? – dopytywała, czekając tylko, aż Tomasz straci cierpliwość i skoro jest taka wścibska, każe jej wyjść. Ale nie mogła się powstrzymać.

– Przeprowadziłem się w tę okolice, a w korporacji mi się nie podobało, więc znalazłem takie coś. – Skinął w stronę głównego pomieszczenia saloniku, jakby Malwina nie wiedziała, co ma na myśli. – Nie było w tym żadnej filozofii.

– No rozumiem.

– A ty? Gdzie pracujesz? – zreflektował się.

Opowiedziała mu pokrótce. Obserwowała jego mimikę, ale nie zdradził, czy jest zaskoczony jej opowieścią, czy zupełnie go nie interesuje, czy może przez to ocenia Malwinę negatywnie. Nic.

– Brzmi to całkiem spoko – powiedział tylko na koniec.

Malwina nie miała już pomysłu, jak ciągnąć rozmowę, żeby nie nadwyrężyć i tak nadszarpniętej cierpliwości Tomasza. Wątpiła, żeby kiedykolwiek ktoś wpadał do niego na pogaduszki. Ciekawa była, czy ma żonę albo dziewczynę. Musiała się jakoś dowiedzieć, ale skoro miał w pracy tylko zdjęcie psa, śmiało mogła założyć, że Tomasz jednak jest sam.

Odstawiła pusty kubek i chciała go umyć, ale Tomasz jej zabronił. Sam też już dopił kawę i zaczął zamiatać podłogę. Malwina domyślała się, że zaraz zaczyna pracę, więc skierowała się do wyjścia.

– Wpadnij do mnie, jak już będziesz po tym przesłuchaniu. Po rozmowie z policją – poprawił się, widząc, że Malwina nie lubi słowa „przesłuchanie”. – Ciekaw jestem, czy zajmą się tymi psami.

– Jak to? – Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– To podobno nie jest w tym momencie najważniejsza kwestia.

– Naprawdę? Przecież to mogą być ważne ślady.

Teraz Tomasz się skrzywił.

– Nie ufam policji. – Podniósł głos, prawie krzyczał. – Wątpię, żeby znaleźli sprawcę, skoro tak pobłażliwie podchodzą do jego czynów. Bo może to psy były jego najważniejszymi ofiarami, może to one są kluczem do rozwiązania zagadki. Ale oni mają to w dupie.

Pokręcił głową z dezaprobatą. Malwina tymczasem wbijała wzrok w podłogę. Tomasz nie miał pojęcia, jak Malwina się czuje w takich sytuacjach, gdy ktoś podnosi przy niej głos. Nie widział, jak drżą jej ręce, policzki, jak skronie zaczynają pulsować, na czole występują krople potu, serce z sekundy na sekundę wali coraz mocniej, a płuca nagle nie chcą przyjmować powietrza.

Nie potrafiła nad tym zapanować, ale zdawała sobie sprawę, że dla Tomasza ten ton mógł być normalny, miał przecież do czynienia z różnego typu klientami. Nie brała mu tego za złe. Po prostu czekała, aż skończy.

– Są bezbronne, a nikt im nie daje prawa głosu, nikt się za nimi nie wstawia. To przykre, prawda? – dodał jeszcze.

Malwina dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że powinna coś odpowiedzieć, ale była w stanie jedynie skinąć głową.

– Wpadnij tu do mnie jeszcze, to mi opowiesz, czy może coś się zmieniło. Dobrze?

– Dobrze – odparła.

Skinęła ponownie głową i wyszła.

Wróciła do parku, ale tym razem odważyła się podejść bliżej feralnego miejsca. Zbliżyła się do taśmy policyjnej, gdy nagle dotarł do niej stłumiony szloch jakiejś kobiety. Siedziała na pobliskiej ławce i dociskała do ust sweter. Miała na sobie dwa albo trzy – Malwina dostrzegła dwa grube kołnierze, ale chyba jeszcze inny kolor wyzierał spod materiału, w który raz po raz wycierała płynące z oczu łzy.

– Wszystko w porządku? – spytała Malwina, gdy podeszła po kilku sekundach wahania.

Kobieta nie zareagowała. Miała przekrwione oczy. Drżała od targającego nią smutku i zimna. Był może jeden stopień powyżej zera, a ona nie miała czapki ani szalika. Nosła stare trampki, a skostniałe dłonie wręcz błagały o rękawiczki. Wyglądała na bezdomną, ewentualnie na kogoś, kto ma gdzie się przespać, ale nie ma czym napalić w piecu.

– Coś się stało? – Spróbowała jeszcze raz i dopiero wtedy kobieta zwróciła na nią uwagę.

Otarła nos i ślinę z kącików ust i podniosła wzrok.

– Moje dziecko... – wyszeptała, po czym głos jej się załamał. – Moje...

– Co z nim?

Kobieta nie odpowiedziała, a jedynie wskazała na zagajnik, w którym wciąż kręcili się policjanci. Malwina przez chwilę nie chciała dopuścić do siebie myśli, że stoi przed kobietą, której dziecko znaleziono zakopane w parku. Gdy to do niej dotarło, poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

Jednak nie powinna tu wracać. Bardzo tego w tym momencie pożałowała.

Podkomisarz Kamila Szolc dziękowała losowi, bo w Boga nie wierzyła, że ten nie obdarował jej potomstwem, w innym wypadku, patrząc teraz na leżące na stole sekcyjnym dziecko, z pewnością by się załamała i rzuciła tę pracę w cholerę. Tymczasem starała się tłumić emocje, widząc rozcięty mały brzuch, wyjęte z niego wnętrzności, bladą skórę, siną pręgę na szyi i lekko rozchylone usta, które jeszcze niedawno musiały wzywać pomocy.

Ale pomoc nie nadeszła.

Szolc chrząknęła cicho, chcąc wyrwać wszystkich z zamyślenia. Nawet patolog Wojnarowski był jakiś nieobecny. Pokiwał powoli głową, jakby zachęcając samego siebie do odezwania się, a Szolc chrząknęła jeszcze raz, dając mu znać, że rzeczywiście powinien to zrobić.

– Otwarcie zwłok niewiele nam powiedziało. W zasadzie to nic, czego już byśmy nie wiedzieli po zewnętrznych oględzinach, oczywiście poza...

– To siedmioletni chłopiec – wtrąciła się Szolc, chcąc jakoś zmotywować patologa do tego, żeby z większą werwą opowiedział o tym, co znalazł. – Z tego, co już wiemy, nie zmarł z przyczyn naturalnych, prawda? – zapytała z ironią, z jaką niekiedy rzucali pytanie, czy zaszło podejrzenie przestępnego spowodowania śmierci, w momencie, w którym stali nad ciałem kogoś zadźganego nożem bądź pobitego. Powstrzymali się przed tym z prokuratorem, gdy technicy wyciągnęli z dołu ciało dziecka, a lekarz bez chwili wahania zabrał się za oględziny, lecz teraz warto już było odgonić grobowy nastrój, który tylko komplikował sprawę.

– Został uduszony, ale to było wiadomo już w momencie wydobycia ciała z ziemi.

– Mieliśmy nadzieję, że czymś nas jeszcze zaskoczysz – odparła Szolc, zdając sobie sprawę, że chyba za bardzo się spoufala. Tymczasem Wojnarowski patrzył na nią z góry – dosłownie i w przenośni. Był od niej wyższy, ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilo i trudno było nie czuć jego

dominującej pozycji. Szczególnie gdy w powietrzu unosił się typowy dla prosektorium zapach.

– Zaskoczeń nie będzie, bo jedyne obrażenia pochodzą właśnie od uduszenia. Ktoś zawiązał dziecku na szyi pętlę i czekał. Jeśli się wyrywało, to nie za bardzo, bo brakuje śladów walki. Żadnych zadrapań, pod paznokciami jest czysto. Zabezpieczyłem znaną tam ziemię, warto będzie ją sprawdzić, ale nie przewiduję rewelacji. Podobnie jeśli chodzi o jamę ustną.

– To możliwe, że dziecko się nie broniło? – zdziwił się prokurator. – Nawet najmniejsze zwierzę walczyłoby w takim momencie.

– Chłopiec miał na sobie sweter i koszulkę. Ubrania zamortyzowały ewentualny uścisk oprawcy. Na prawym ramieniu ma siniaka, który taki uścisk mógł wywołać, mógł, ale nie musiał. – Dla potwierdzenia swoich słów Wojnarowski wskazał ciemną plamkę na ciele dziecka. – Dodatkowo jest kilka otarć na dłoniach i stopach, trzy niewielkie rozcięcia na ramieniu, ale nie mam pewności, na jak długo przed śmiercią powstały. Nie są zbyt głębokie, nie sączyła się z nich krew, więc trzeba się nad tym jeszcze dokładniej skupić, zbadać, czy w otarciach nie znajdują się przypadkiem jakieś zabrudzenia.

– Wiadomo, jak to z dziećmi jest, u nich siniaki i otarcia pojawiają się praktycznie znikąd – powiedział w zamyśleniu prokurator.

– Dlatego nie jest to zbyt cenny ślad, niemniej nie można go przeoczyć – odparł patolog. – Brak innych otarć, ugryzień, śladów po uderzeniach, ciało jest nienaruszone, bo te drobne ślady nie są z pewnością śladami obronnymi. Najcenniejsze są jedynie pojedyncze włókna, które znalazłem w najgłębszych otarciach.

Wojnarowski wyszczerzył się w chytrym uśmiechu. Czekał na ten moment niczym komik, który najlepszy żart zostawia sobie na koniec.

– Czyli mamy ślady narzędzia zbrodni? – ucieszyła się Szolc. – I dopiero teraz nam o tym mówisz?

– Chcieliście zaskoczeń, to proszę bardzo. Gdybym od razu odkrył karty, z pewnością nie zobaczyłbym tych wytrzeszczonych oczu – zawołał ze śmiechem w stronę Szolc, która przetarła policzki dłonią, jakby chciała usunąć z twarzy wyraz zaskoczenia. – Można domyślać się, że włókna pochodzą ze sznurka bądź innego narzędzia, którym uduszono chłopca. Siedziały głęboko w skórze, trudno, żeby pojawiły się tam z innego powodu.

– Od razu zabierzemy je do laboratorium – powiedział prokurator, choć wiadomo było, że i tak zrobią to jak najszybciej.

– Oczywiście wszystko, co znalazłem, już zabezpieczyłem i możecie się tym na spokojnie zająć. Wątpię, żebym trafił na coś jeszcze, ale poszukam. Pełny protokół dostarczę jutro rano.

– Czy na miejscu w ogóle znaleziono cokolwiek, co mogłoby być narzędziem zbrodni? – spytał prokurator, a Szolc tylko pokręciła przecząco głową. Znaleziono wiele śmieci, wiele nic nieznaczących przedmiotów, na które będzie trzeba poświęcić czas, a które tylko ich rozczarują.

– Podobnie rewelacji raczej nie będzie, jeśli chodzi o czas zgonu – kontynuował patolog.

– Prawie zapomniałam o to spytać... – mruknęła zrezygnowana Szolc. Zdawało jej się, że Wojnarowski za wszelką cenę chce ich trzymać w niepewności. Czas zgonu w przybliżeniu określił lekarz podczas zewnętrznych oględzin, ale była przekonana, że ostateczny werdykt będzie się różnił od tej pierwszej opinii. Patolog od tej właśnie informacji powinien zacząć.

– Wszystko wskazuje na to, że śmierć nastąpiła tydzień temu, siódmego października. Zwłoki najprawdopodobniej zakopano od razu po uduszeniu dziecka. Zabezpieczyłem owady żerujące na zwłokach, warto będzie je porównać z tymi, które znajdziemy na ciałach psów, wtedy będzie wiadomo, czy zwłoki przenoszono. W tym momencie trudno mi to określić. W razie czego prześlemy je do entomologa, gdyby też była potrzeba bardziej precyzyjnego określenia czasu zgonu.

– Będziemy nad tym myśleć – odparła Szolc. – Na razie najważniejsze było określenie przybliżonego czasu, bo wciąż nie wiemy, co to za dziecko. Pora dokładnie przejrzeć rejestr zaginionych – zdecydowała, wiedząc, że to nie będzie nic przyjemnego.

– Zrobiłeś już listę? – spytała Bednarskiego, gdy wróciła na komendę.

Aspirant przedstawił jej spis osób zaginionych między pierwszym wrześniem a dziesiątym października.

– Jeśli chłopiec zmarł siódmego października, nie miał żadnych wcześniejszych obrażeń, a ciało nie było nigdzie przechowywane przed zakopaniem... – Wskazał na trzy nazwiska. – Mniej więcej w tym czasie na

terenie Łodzi zaginęło dwóch chłopców w tym wieku i jeden na terenie województwa. Trzeba porównać cechy indywidualne.

Szolc wyjęła teczkę z raportem patologa i wypisała najważniejsze informacje, takie jak kolor oczu, włosów, wzrost, waga, i szybko stwierdziła, że zamordowanym chłopcem jest niejaki Michał Radliński, urodzony trzynastego maja dwa tysiące czternastego roku w Łodzi.

– Skąd pewność, że to on? – spytał Bednarski, gdy Szolc przeczytała na głos nazwisko.

– Zamieszkały przy Częstochowskiej – dorzuciła na koniec.

– Czyli niedaleko parku – stwierdził, kiedy sprawdził na mapie, gdzie jest ta ulica.

– Z tym że chłopiec zaginął dwa dni przed śmiercią, więc albo ktoś się walnął w obliczeniach, albo...

– Albo chłopak był jednak wcześniej przetrzymywany.

Podkomisarz skinęła głową. Zaraz potem zwróciła się do Bednarskiego i aspirant Gawron, żeby jak najszybciej wybrali się pod adres rodziców chłopca.

– Trzeba ich tu ściągnąć.

Rozłożyła na biurku notatki dotyczące pozostałych zaginionych w ostatnim czasie dzieci. Wybrała te mieszkające w promieniu dziesięciu kilometrów od parku Nad Jasieniem. Od razu wydrukowała mapę miasta i naniosła czerwone punkty. Większość z nich znajdowała się w pobliżu innych parków, które należało w tym momencie przeczesać.

Pozostawała jeszcze sprawa chłopaka, który uciekł z domu dziecka. Ta ucieczka nie byłaby niczym dziwnym, gdyby doszło do niej w innym czasie. Mieli zaginionego, który zaraz mógł zostać gdzieś zakopany. Mniej szans na przeżycie miały te nieobecne od około tygodnia, a Szolc zdecydowanie bardziej wolała szukać żywych niż martwych.

Kobieta miała jakieś czterdzieści pięć lat. Mogła być znacznie młodsza, a na jej wygląd wpłynęły po prostu ból, zimno i niedożywienie. Wyglądała na osobę tułającą się z miejsca na miejsce. Ciemne, lecz wypłowiałe włosy rosły swobodnie od wielu lat. Opinające ciało swetry były powycierane i brudne, spodnie wyglądały lepiej, choć znaczyły je dwie duże plamy po błocie widoczne na kolanach, jakby kobieta modliła się na gołej ziemi.

– Jak to się stało? – spytała Malwina, bo tylko te słowa przyszły jej teraz na myśl.

– Tylko Bóg może to wiedzieć.

– A policja?

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie, mrużąc oczy. Nachyliła się w jej stronę, po czym jedynie pokręciła głową.

– Rozmawiała pani z nimi?

Kobieta znów nie odpowiedziała. Zamiast tego otrzepała kolana i wstała.

– Co pani zamierza? – zadała kolejne pytanie Malwina, z jakiegoś powodu chcąc zatrzymać kobietę. Widziała wypisane na jej twarzy cierpienie, chciałyby jakoś jej pomóc, ale nie miała pojęcia jak. Ze śmiercią dziecka trzeba się pogodzić. Pogrzebać je i każdego dnia jakoś radzić sobie ze smutkiem, lecz ta kobieta nie wyglądała na osobę do tego zdolną.

– A jakie mam możliwości? – spytała, a jej głos się załamał.

– Z pewnością jest ich wiele.

– Doprawdy? – prychnęła, po czym zaczęła oddalać się wolnym krokiem. Malwina odprowadziła ją wzrokiem do skrzyżowania ścieżek, myśląc, że właśnie tak mogła wyglądać jej własna matka, która musiała się jej pozbyć dwadzieścia lat temu. Nie pamiętała jej, lecz pewnie tak samo nie potrafiła radzić sobie z własnym życiem.

Ta kobieta przynajmniej wciąż żyje.

Malwinie udało się kiedyś dowiedzieć, jak jej matka się nazywała. Wraz z tą prostą informacją szła w parze wiadomość, że dwa lata po tym, jak odebrano jej prawa rodzicielskie, zapłała się na śmierć. Ojca Malwiny podobno nawet ona sama nie знаła.

Gdy kobieta zniknęła już z jej pola widzenia, Malwina sięgnęła po wizytówkę, którą dał jej Tomasz. Obecność matki zamordowanego dziecka zmobilizowała ją do tego, żeby jednak skontaktować się z policją, lecz po szybkiej rozmowie z funkcjonariuszem nie była usatysfakcjonowana. Kazał jej pojawić się na posterunku wieczorem, gdy „będzie nieco luźniej”. Nie wiedziała, co to właściwie znaczy, szczególnie dla niego, bo nie podał konkretnej godziny, więc stwierdziła, że pojedzie tam po prostu po pracy. Zostawi Fibi w domu albo u sąsiadki, która czasem przygarniała jej suczkę, gdy Malwina musiała gdzieś jechać na cały dzień albo i dłużej. Praca w domu dziecka wymagała od niej pojawiania się w różnych miejscach o różnych porach.

Wracając do domu, znów natknęła się na tę kobietę. Obserwowała miejsce zdarzenia, tyle że teraz z innego punktu.

Czyli po prostu nie chciała ze mną rozmawiać, pomyślała Malwina.

– Jak miał na imię? – spytała, znów siadając obok. Nie chciała dać za wygraną. Wiedziała, że czasem taka nachalność naprawdę potrafi pomóc.

Kobieta nawet na nią nie spojrzała.

– Rafał – odparła spokojnie po chwili.

– Bardzo ładnie – przyznała, choć bez przekonania.

– Miał zaledwie trzy lata. Był... – Nie dokończyła, jakby nie miała pewności, jaki był jej syn.

– Co się właściwie stało? – spytała Malwina, lecz nie doczekała się odpowiedzi. – Wiem, co pani czuje.

Kobieta prychnęła, lecz bez rozbawienia.

– Wczoraj zaginął jeden z wychowanków domu dziecka, w którym pracuję. Wyszedł za psem i nie wrócił. Mam nadzieję, że przez noc jednak się pojawił, chociaż... Chociaż wtedy na pewno ktoś dałby mi o tym znać. Ale chcę wierzyć, że jednak Marcin wrócił, a moje koleżanki są tak zaaferowane, że zapomniały do mnie zadzwonić. Na to liczę.

Kobieta spojrzała na nią z zainteresowaniem, jakby tych kilka zdań wyrwało ją z jakiegoś transu. Dlatego Malwina postanowiła mówić dalej.

– Miał dziewięć lat. Znałam go od czterech, od dnia, w którym zaczęłam tam pracować. Nie był moim wychowankiem, ale w całej placówce jest ich niewielu, więc wszyscy doskonale znaleźliśmy każde dziecko, każde było dla nas jak własne. A przynajmniej staraliśmy się robić wszystko, żeby tak to odczuwały. Wiadomo, że część tego nie chce, część tego nie rozumie, inne tego nie szanują, ale Marcin... Bardzo doceniał to, co dla niego robiliśmy. Dlatego tak bardzo boli jego zniknięcie. A jaki był pani syn?

Kobieta chwilę się zastanowiła, jakby naprawdę miała zamiar odpowiedzieć, lecz w końcu odpuściła i się nie odezwała.

– Co z ojcem chłopca?

– Dla mnie on nie istnieje już od bardzo dawna.

– A teraz? Nie chciał pani jakoś wesprzeć?

Kobieta pokręciła głową.

– A czy ja mogę pani jakoś pomóc?

– Mnie już nie da się pomóc – odparła szybko, jakby wiele razy powtarzała te słowa, zarówno innym, jak i samej sobie.

Siedziała z nią jeszcze kilka minut, aż w końcu wstała. Fibi zaczęła niecierpliwie trącać Malwinę nosem, więc w końcu wróciły do mieszkania.

Na pół godziny przed czasem pojawiła się w pracy. Wzrok pierwszego wychowawcy, którego spotkała, wyraźnie mówił, że Marcin nie wrócił.

– Wiadomo cokolwiek? – spytała Dorotę, która znowu stała przy oknie.

– Jeszcze raz mnie przesłuchiwali, jakbym mogła im powiedzieć cokolwiek nowego. – Już nie płakała.

Tyle dobrego, pomyślała Malwina.

– Kazali znaleźć ostatnio noszone przez Marcina ubranie i jakieś zabawki Gandalfa. Ściągnęli psa tropiącego, złapał trop przed bramą, który ciągnął się do Śmigłego-

-Rydzę, ale tam pies już niczego nie wyczuł. Ludzie wszystko zdeptali.

– A jacyś świadkowie? Przecież ktoś musiał widzieć chłopca i dużego psa. Razem albo osobno.

Dorota pokręciła głową.

– Nic nie wiadomo.

Malwina to samo pytanie zadała młodszemu aspirantowi Tokarskiemu, gdy wieczorem pojawiła się na komendzie. Zaprosił ją do gabinetu.

– Przykro mi, ale nie mogę udzielić pani takich informacji.

– A to dlaczego? – zapytała zdziwiona.

– Dlatego, że jest tu pani w zupełnie innej sprawie.

– Wiem, ale ja pracuję w tym domu dziecka. Chciałabym wiedzieć, co dzieje się z moim wychowankiem – powiedziała dość ostro, lecz policjant wyglądał na takiego, z którym inaczej nie można dyskutować.

Miał krótkie ciemne włosy z wyłysiałym czubkiem, zimne spojrzenie zielonych oczu, jego usta układały się w krótką krzywą kreskę, a cały czas podniesione brwi sprawiały wrażenie, jakby bezustannie patrzył na wszystkich z góry.

– Takie informacje powinny być ogólnodostępne, żeby wiadomo było, czy śledztwo w ogóle posuwa się do przodu. – Denerwowała się i jednocześnie czuła, jak dłoń zaczyna jej niebezpiecznie drżeć. Ostatecznie nic już nie powiedziała. Poprawiła tylko swoje kręcone rude włosy i czekała na rozwój wydarzeń.

– Nie wydaje się to pani dziwne, że najpierw trafia pani na zwłoki dziecka, a potem inne dziecko ginie w miejscu, w którym pani pracuje?

Malwina popatrzyła na policjanta z malującym się na twarzy zdziwieniem. Naprawdę nie wierzyła, że zadał to pytanie.

– Słucham?

– Proszę odpowiedzieć – ponaglił ją. Chyba naprawdę wierzył, że Malwina może mieć z którąś z tych spraw cokolwiek wspólnego. Albo nawet z obiema.

– To czysty przypadek.

– A często się pani takie przypadki zdarzają?

– O co panu chodzi? – huknęła.

Naprawdę nie mogła już znieść jego idiotycznych pytań. Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, do gabinetu wkroczyła wyższa rangą funkcjonariuszka. Tokarski poderwał się z miejsca.

– Dzięki – rzuciła do niego, po czym zajęła miejsce za biurkiem.

Malwina dopiero teraz zorientowała się, że policjant nie usiadł, a jedynie wisi nad blatem. Myślała, że próbował ją zdominować, a on najzwyczajniej w świecie nie chciał siadać na fotelu swojej przełożonej.

– Malwina Król, zgadza się? – spytała, przeglądając jakieś dokumenty.

Kolejne jej pytania były podobnie proste. Zadali już je policjanci, których wezwał Tomasz. Malwina niewiele więcej mogła powiedzieć. Znalazła się w parku przypadkiem, nie zna Tomasza Lipińskiego, to jego pies zaczął kopać, a ona jedynie patrzyła, sądząc, że pod ziemią nie znajduje się nic więcej poza truchłami zwierząt.

– Wiadomo, dlaczego ktoś mógłby to zrobić? – spytała, lecz nie sądziła, że dostanie odpowiedź.

– Miałam nadzieję, że może pani będzie miała jakąś teorię. – Te słowa zaskoczyły Malwinę. – Nigdy nie spotkała pani w tym parku nikogo podejrzanego? Bo domyślam się, że często tam pani bywa.

– Owszem.

– Kogo pani spotkała? – Podkomisarz Szolc się ożywiła.

– To znaczy... Przyznałam, że często tam bywam. Ale nigdy nie spotkałam nikogo, kto mógłby wyglądać podejrzanie. Czasem, co prawda, kręcą się tam różne dziwne typki, ale żeby coś takiego... O to bym ich nie posądziła.

– Czyli nigdy też pani nie widziała, żeby ktokolwiek kopał w ziemi?

Malwina pokręciła głową.

Podkomisarz zadała jej jeszcze kilka pytań, lecz nic z nich nie wyniknęło. Ostatecznie wypuściła ją i poprosiła aspiranta Bednarskiego, żeby ją odprowadził do wyjścia.

– To z panem rozmawiałam, prawda? – Malwina poznała go po głosie.

– Tak mi się zdaje – odparł tylko, po czym wskazał jej schody. – Trafi pani do wyjścia? Schodami w dół i na prawo.

– Oczywiście.

Aspirant odwrócił się, ale jeszcze na chwilę go zatrzymała.

– A co z matką tego chłopca? – wypaliła, nie do końca wiedząc, jak ubrać w słowa swoje wątpliwości.

– Jak to?

– Ktokolwiek się nią zajmie?

– Chyba nie rozumiem.

– No... Widziałam ją dzisiaj, nie wyglądała zbyt dobrze. I psychicznie, i fizycznie. Warto byłoby jej jakoś pomóc, bo widać, że nie może się pozbierać po tej tragedii. Chyba jest przy okazji bezdomna, prawda?

Aspirant popatrzył na nią, jakby mówiła w innym języku.

– Jak to możliwe, że pani ją widziała?

– Przypadkiem trafiłam na nią w tym samym parku.

– Kiedy?

– Dziś rano, około ósmej.

– Nie wiem w takim razie, o kim pani mówi, ale rodzice tego chłopca od samego rana są pod naszą stałą opieką. O nic się pani nie musi martwić, zapewniam.

– Rodzice? – zdziwiła się, pamiętając, jak tamta kobieta mówiła, że dla niej ojciec dziecka już nie istnieje. – Mówiła, że ona sama zajmowała się dzieckiem.

– Ktoś musiał wprowadzić panią w błąd – rzucił jakby od niechcienia, patrząc na wyjście. Dawał jej do zrozumienia, że powinna już iść, bo nie ma dla niej czasu.

– Sądzi pan, że ta kobieta oszukała mnie w sprawie śmierci własnego dziecka?

– Najwyraźniej to nie było jej dziecko. Do widzenia – uciał, po czym się wycofał.

Malwina jeszcze przez chwilę stała, nie rozumiejąc, czemu policjant tak ją zignorował.

Może to oni odnaleźli nie te osoby, co trzeba, pomyślała.

Gdy tylko Malwina wyszła, Tomasz szybko przygotował salonik do otwarcia, a gdy wybiła godzina ósma, przekręcił wiszącą na drzwiach tekturkę na stronę z napisem „otwarte”. Zaraz potem usiadł za ladą i odpalił komputer. Zanim jednak zdążył się zabrać za cokolwiek, dostał wiadomość:

Beata: Znów tam spałeś, tak?

Westchnął głęboko. Odłożył telefon na blat, bez klikania w wiadomość. Zapatrzył się tylko w powiadomienie, wiedział, że za chwilę pojawi się kolejne. Nie pomylił się.

Beata: Wrócisz dziś na noc? Czy znów mam nie spać i tylko się zastanawiać, kiedy ktoś przyjdzie i mnie napadnie.

Tomasz zaśmiał się gorzko, czytając te słowa. Beata, jego partnerka, już nieraz szantażowała go w ten sposób. Pisała, jak bardzo boi się włamywaczy, gwałcicieli, podpalaczy, ciemności, samotności. Za każdym razem wymyślała coś innego. Zwykle nie musiała się zbytnio wysilać, bo Tomasz nie zostawiał jej na długo, czasem siedział po godzinach w pracy, czasem wychodził gdzieś na piwo. Tylko gdy się mocno kłócili, odpalał farelkę na zapleczu i zagrzebywał się w śpiworze. Ostatnio jednak kłócili się zbyt często i zbyt burzliwie. Nie miał ochoty ani odwagi patrzeć Beacie w oczy. Jej spojrzenie było tak intensywne, że nie potrafił się przed nim bronić. Ostatecznie zawsze się na wszystko godził, zawsze przyznawał jej rację, przeproszał. A ona potrzebowała mieć go cały czas przy sobie. Sam fakt, że pracuje, był już dla niej problemem, lecz z czegoś musieli żyć. Na początku związku, gdy razem zamieszkali, dąsała się, kiedy wracał z pracy.

– Czemu tak długo cię nie było? – pytała, jakby naprawdę nie rozumiała, dlaczego któreś z nich musi zarabiać.

Gdy odpowiadał logicznie, lecz przy tym choćby odrobinę niemiło bądź po prostu stanowczo – kłótnia była nieunikniona. Gdy przeproszał i obiecywał, że postara się kończyć wcześniej – udawało się opanować jej złość. A gdy już był

w domu, gdy przeprosił, to nie odstępowała go na krok. Całowała, dotykała, obejmowała, lecz nigdy nie prowadziła do łóżka. On czasem próbował, ale zdążył się przekonać, że nie ma sensu, bo znów się tylko poróżnią.

Beata: Czemu przestaje ci zależeć?

Już od dawna mu nie zależało, ale nie mógł też odejść. Miał świadomość, że był na Beatę skazany. Ona też to wiedziała i mniej lub bardziej świadomie to przeciwko niemu wykorzystywała.

Ostatni raz widzieli się przedwczoraj, wtedy pokłócili się o to, z kim Tomasz może się spotykać, a z kim nie może. Lista osób w opcji pierwszej nie zawierała zbyt wielu pozycji, dla Beaty mogłaby się ona ograniczać wyłącznie do niej. Tomasz nie potrafił buntować się wprost, dlatego wołał przeczekać kolejną burzę w pracy. Ale Beata nie ustępowała, a zdawało się, że z każdą kolejną wiadomością jej złość przybiera na sile.

Wyłączył telefon. Sięgnął za to po laptop. Wszedł na Facebooka i zabrał się za przeglądanie postów w dwóch grupach. Łączyły one łódzkich właścicieli psów. W pierwszej grupie dzielili się zdjęciami swoich pupili, wszelkiego rodzaju poradami, ostrzegali się nawzajem. Co jakiś czas pojawiały się też ogłoszenia dotyczące zagubionych psów. Druga grupa natomiast zawierała wyłącznie ogłoszenia o zaginięciach czworonogów, więc w tym momencie była informacyjną żyłą złota.

Tomasz miał listę psów, których ciała wykopano. Na komisariacie podano mu nie tylko ich liczbę, ale też rasę i przybliżony czas śmierci. Bez problemu się wszystkiego dowiedział. To był jedyny plus tego, że policja olewała temat, a tym samym chętnie podzieliła się z Tomaszem danymi w zamian za ewentualne wskazanie chociaż jednego właściciela.

Fakt, że policja ich nie zna, mocno go zaintrygował.

– Domyślam się, że jako psiarz zna pan innych psiarzy?

Tomaszowi wydawało się, że policjant wypowiada słowo „psiarz” bardzo niepewnie, jakby używał go pierwszy raz w życiu.

– Nie wiem, jak to działa, ale zawsze mi się wydawało, że wy wszyscy się znacie. Chodźcie do parku na spacer, a jak wasze psy zaczną się ze sobą bawić, to gadacie, jakbyście się znali od lat. Mam rację?

– No jest w tym nieco prawdy – przyznał Tomasz, choć to nie działało aż tak prosto.

– Więc może spotkał pan kiedyś w parku albo na ulicy kogoś z czarnym sznaucerem? – dopytywał się policjant.

– Domyślam się, że chodzi panu o tego martwego psa, którego znaleźliście? Szczerze przyznam, że w tym momencie trudno mi sobie przypomnieć. Ale racja, możliwe, że gdzieś go spotkałem, tak samo jak te wszystkie inne psy.

– Jest taka możliwość? – upewnił się.

– Jasne. A czemu właściwie pan o to pyta?

– Ustalamy ich właścicieli.

– W zasadzie mógłbym w tym jakoś pomóc – powiedział, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl.

– W jaki sposób?

– Gdybym wiedział, jakie konkretnie psy zostały znalezione... Mam na myśli rasy – doprecyzował. – Wtedy na pewno mógłbym coś podpowiedzieć. Może nie w tym momencie, ale za kilka dni. Rzeczywiście znam sporo właścicieli psów – skłamał. – Domyślam się, że na razie jedynie sprawdzaliście, zaginięcia jakich psów zostały zgłoszone.

Policjant nie potwierdził. Skrzywił się. Tomasz miał nadzieję, że nie zaprzeczał w ten sposób, lecz dawał znać, że nie ma na ten temat informacji.

– Często, jak pies ucieknie, to nikt tego nie zgłasza i warto byłoby szukać informacji u źródeł. Mogę być tym źródłem.

Nie wiedział, czy ta wypowiedź nie zabrzmiała zbyt enigmatycznie w uszach policjanta, ale właśnie taki efekt chciał uzyskać – zabrzmieć mądrze bez podawania konkretów.

– Dobrze.

Tomasz pokiwał głową zadowolony, ale na listę musiał poczekać niemal dwie godziny. Niemniej sądził, że się opłacało.

Bednarski zajrzał przez okno do pokoju psycholog Ilony Zalewskiej. Siedzieli w nim zapłakani rodzice dziecka. Zgłosili zaginięcie od razu, wszczęto poszukiwania, wciąż mieli nadzieję i nie sądzili, że ich syn zostanie znaleziony w takich okolicznościach. Zapewne wierzyli, że ktoś go porwał, przetrzymywał, że zaraz odezwie się do nich z żądaniem okupu albo odstawi dziecko, bo to przestanie go interesować. Być może dopuszczali nawet myśli o jakimś pedofilu.

Teraz wszelka nadzieja umarła.

Psycholog coś do nich mówiła, lecz oni jakby jej nie słyszeli. Bednarski wcale się temu nie dziwił. Trudno mu było wyobrazić sobie nawet, co teraz czują, lecz był przekonany, że ich emocje skutecznie niwelowały jakiegokolwiek zapewnienia, że będzie dobrze, że muszą to przetrwać i tak dalej. Szczególnie że zdążyli wrócić z prosektorium. Gdy tylko patolog poskładał z powrotem ciało w jedną całość, poszli zidentyfikować zwłoki. Zrobili to od razu, a potwierdzeniem słów „tak, to on” był płacz i spazmatyczne powtarzanie imienia chłopca przeplatane pytaniami „czemu?”.

– Jak mogło do tego dojść? Dlaczego nasz syn?

Nikt nie był w stanie odpowiedzieć na te pytania.

Żadna odpowiedź nie zwróci mu życia, pomyślał Bednarski. Wiedział też jednak, że niepewność jest znacznie gorsza, a w połączeniu z długimi poszukiwaniami potrafi całkowicie zniszczyć życie.

Bednarski zapukał do pokoju, gdy zauważył, że psycholog Zalewska skończyła swój wywód.

– Można? – spytał, a kobieta skinęła głową. – Zapraszam ze mną – zwrócił się do małżeństwa, lecz ci nie zareagowali. – Mogę państwa prosić? – spytał głośniej i dopiero wtedy się otrząsnęli.

Wstali i poszli za nim posłusznie. Bednarski zaprowadził ich do gabinetu podkomisarz Szolc, która siedziała za biurkiem i przeglądała jakieś

dokumenty.

– Przepraszam najmocniej, ale musimy jeszcze omówić kilka kwestii. Dostałam raport uzupełniający od patologa, z którego wynika, że ciało państwa syna...

Kobieta znów wybuchła płaczem, słysząc te słowa.

– Czy mają państwo jakieś zwierzę? – zmieniła temat.

– A jakie to ma znaczenie? – sarknął mężczyzna, tuląc do piersi kobietę.

– Takie, że na ciele państwa syna znaleziono zadrapania. Najprawdopodobniej zadrapania psim pazurem, które powstały jeszcze przed śmiercią. Więc jak, mają państwo jakieś zwierzę? Cały czas szukamy także właścicieli psów, które...

– Nie, nie mamy ani psa, ani nic innego – odparła kobieta.

– Czyli był jednak przetrzymywany przed śmiercią? – spytał jej mąż.

Chrząknęła nerwowo.

– Bardzo możliwe. Patolog odkrył także otarcia na dłoniach i stopach, a w nich ujawnił coś na kształt drobinek rdzy. Za kilka dni będziemy mieli wyniki z laboratorium, które to potwierdzą bądź zdementują. Podobnie jest z ciemną substancją pod paznokciami. Najprawdopodobniej jest to tylko ziemia, lecz w tym momencie nie możemy wykluczyć, że znajdzie się tam coś jeszcze.

– Co na przykład?

– Rdzę, może krew, może sierść zwierzęcia, które go podrapało. To byłoby bardzo pomocne w odnalezieniu miejsca, gdzie chłopiec przebywał przed śmiercią, a co za tym idzie, w poszukiwaniu sprawcy.

– Wyniki będą dopiero za kilka dni?

– Postaram się pospieszyć laboratorium – obiecał Bednarski, chociaż nikt w tym momencie nie miałby zbyt wiele do powiedzenia. Taki czas oczekiwania i tak był optymistyczny.

– Tak czy siak, muszę wiedzieć, czy dziecko miało wcześniej styczność z jakimikolwiek zwierzętami, a jeśli tak, to gdzie. A także, czy mogło gdzieś niedługo przed... zaginięciem natrafić na jakieś zardzewiałe powierzchnie.

– Mamy zrobić listę? – spytał ojciec.

– Bardzo bym prosiła. Dodatkowo... – Szolc wyjęła spośród dokumentów trzy zdjęcia dzieci z wypisanymi na spodzie ich nazwiskami. – Czy znacie

może państwo tych chłopców? – Podsunęła im zdjęcia. – Będę wdzięczna, jeśli oboje państwo na nie spojrzycie – poprosiła kobietę, która nie potrafiła oderwać się od ramienia męża. Dopiero po chwili odgarnęła włosy z twarzy, otarła łzy i spojrzała na zdjęcie.

– To trójka chłopców, którzy zaginęli niedługo przed albo chwilę po państwa synu. Ich rodzice mieszkają na Widzewie i na Górnej, więc także w pobliżu. Cały czas zastanawiamy się, co się mogło wydarzyć.

– Ale co my mamy z nimi wspólnego? – spytał mężczyzna.

– Sądzimy, że sprawca może porwać osoby z jednego kręgu.

– Czyli to seryjny morderca? – Mężczyzna zadrżał na dźwięk własnych słów. Jego żona nadal wpatrywała się w zdjęcia. Widać było, że robi to jedynie po to, żeby nie zarzucono jej braku zainteresowania.

– Nie możemy tego wykluczyć, choć na razie nie ma ku temu przesłanek.

– Niemniej musimy to sprawdzić, jeśli chcemy zapobiec kolejnym zbrodniom – dodał Bednarski.

Kobieta niespodziewanie chwyciła jedno ze zdjęć i podniosła tak, żeby każdy mógł zobaczyć, które wybrała.

– Tego chłopca widziałam kilka razy – powiedziała zachrypniętym głosem.

– Kojarzę go z placu zabaw.

– Jest pani pewna? – zainteresowała się Szolc.

Skinęła głową i odłożyła fotografię.

Szolc zrozumiała, że jej najgorsze obawy właśnie się spełniają i teraz naprawdę należało szukać nie tylko sprawcy, ale też kolejnych ciał.

Samo przeglądanie postów było na tyle czasochłonne, że jeśli Tomasz musiał jednocześnie obsługiwać klientów i załatwiać przy okazji sprawy związane z salonikiem lub swoim psem, udawało mu się w ciągu godziny przejrzeć ogłoszenia z miesiąca, najwyżej dwóch.

Przez cały dzień nie trafił na nic ciekawego, a wcześniej był niemal pewny, że w ten sposób znajdzie choć jeden trop. Tymczasem musiał przyznać, że nie było to takie łatwe, jak sądził, gdy rozmawiał o tym z policjantem.

Miał jeszcze inny pomysł, który powinien wypalić. Znalazł numery telefonów do okolicznych schronisk. Nie miał pewności, czy odszukał wszystkie, ale w którymś coś powinni wiedzieć. Zawiódł się jednak, bo w schroniskach nie potrafiono mu nic powiedzieć.

– Jak to możliwe? – warknął, gdy dzwonił już pod czwarty numer.

– Przykro mi, ale nie jestem w stanie panu pomóc.

Nie miał pewności, czy była to szczerą odpowiedź, czy kobieta po prostu nie chciała mu udzielić informacji. Tak czy siak, został z niczym.

Pod koniec dnia natrafił na ciekawą dyskusję pod jednym z ogłoszeń o zaginionym psie. Ktoś pytał, czemu zamiast szukać go oficjalnie, zgłosić sprawę do straży miejskiej, ludzie beczynnie czekają. Ktoś inny odpisał, że nie o to chodzi, lecz o oszczędność, bo przedstawienie sprawy straży lub odbiór psa ze schroniska skutkuje mandatem, więc czasem lepiej poczekać lub w ostateczności poprosić kogoś, żeby przygarnął psa i oddał go właścicielowi.

Żaden z właścicieli tamtych psów nie zgłosił się do schroniska, można więc było stwierdzić, że notorycznie uciekały. Możliwe, że próbowano je odbierać właśnie metodą „na sąsiada”, lecz każdy z psów był już wtedy zapewne martwy, więc nie było czego szukać.

To wszystko wiele wyjaśniało, lecz jeszcze bardziej komplikowało poszukiwania. A tym samym bardziej motywowało Tomasza. Potrzebował

teraz wymagającego zajęcia, które odgoni wszelkie niepotrzebne myśli.
Jedynie myśli o Malwinie nie potrafił w żaden sposób odeprzeć.

Bednarski omiół spojrzeniem plac zabaw, na którym matka zabitego chłopca widziała kobietę z dzieckiem, tym zaginionym dwa dni temu. Rodzice zgłosili, że ich syn wyszedł sam ze sklepu. Niedawno skończył sześć lat.

– Przez kilka minut nie zauważyli jego nieobecności – mruknęła Edyta Gawron do aspiranta Bednarskiego. – Oboje myśleli, że jest z tym drugim. Gdy się spotkali przy jednej z alejek, okazało się, że dziecka nie ma z żadnym z nich.

– Jak można być tak zaaferowanym zakupami, żeby zgubić dziecko?

– Zaaferowanym? No, no, Kuba, jakiego ty słownictwa używasz – zaśmiała się, szczerze rozbawiona.

– Podobno nie dogadują się zbyt dobrze, a dziecko na tym ucierpiało – kontynuował wątek. – Zaniedbując siebie, zaniedbali syna, co akurat nie jest dziwne.

– Traf chciał, że tym razem dziecko zniknęło.

– Zupełnie jakby ktoś ich obserwował i tylko czekał na odpowiedni moment – powiedziała w zamyśleniu. – Moment nieuwagi.

– Myślisz, że tak mogło być?

– Zastanów się tylko... – Edyta zapaliła się do wyjaśniania. – Zakopany w tym zagajniku chłopczyk zniknął rodzicom z pola widzenia, gdy przenosili jakieś rzeczy z samochodu do mieszkania. Miał siedzieć w środku. Żona, czekając na męża, wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Zobaczyła wtedy, że dzieciak wysiada. Zbiegła do niego, chcąc mu powiedzieć, że zaraz pojedą do dziadków, ale gdy zeszła, chłopca już nie było. Nie uprowadzono go z samochodu, ale dopiero wtedy, gdy chłopiec się oddalił.

– Podobnie było w przypadku tego chłopca z domu dziecka – dodał Bednarski.

– No właśnie, opiekunka widziała, że sam wychodzi. Po prostu nie wrócił. Inni wychowawcy twierdzą, że co jakiś czas, dwa, trzy razy do roku, jakieś dziecko ucieka, ale zazwyczaj spośród tych odebranych z patologicznych rodzin. Ale ten chłopak nie należał do tej kategorii, dlatego Szolc uważa, że jego zaginięcie ma coś wspólnego z naszą sprawą.

– Też mi się wydaje, że to zbyt duży zbieg okoliczności.

– Zgadza się, ale jak wytłumaczyć fakt, że one wszystkie same się oddalały? Albo to przypadek, albo ktoś ich obserwował.

– Zorganizowana grupa przestępcza? – rzucił pomysł, ale z ironią w głosie.
– Handel dziećmi?

– Może. – Edyta potraktowała jego słowa poważnie. – Bo czy to w ogóle możliwe, żeby dziecko samo wyszło ze sklepu? – zastanowiła się, wracając do wątku sześciolatniego Tomka. – Prędzej uwierzę, że każde z nich ktoś zwabił.

– Na taką odległość?

– Ściągnięto już nagrania z monitoringu? Widać, co tam się właściwie stało?

– Tak, widać na nim, jak dziecko wychodzi z budynku i idzie na północ, ale zaraz potem trop się urywa.

– Masakra...

– Dziwne, że nikt się nie zainteresował.

– Żyjemy w czasach, w których ludzie zajmują się wyłącznie sobą i nie przejmują się innymi, żeby nie robić sobie dodatkowych problemów – zauważyła Edyta.

– No rozumiem, ale zgubione dziecko to jednak coś innego.

– Równie dobrze dziecko mogło iść na przykład do samochodu rodziców, a ci zaczepienie ich dziecka przez przypadkowego przechodnia uznaliby za coś niestosownego. Już kilka razy spotkałam się z podobnymi reakcjami. Ktoś pytał dzieciaka, czy się przypadkiem nie zgubił, a ojciec wpadał w szal.

– Pojebane – stwierdził Bednarski i rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie usłyszał.

Wraz z kilkoma innymi funkcjonariuszami przeczesywali teren wokół placu zabaw, ale nie znaleźli niczego ciekawego. To nie były oficjalne poszukiwania ciała. Nikt nie mówił o tym na głos, ale wszyscy sądzili, że żywe dziecko się już nie odnajdzie. Jednocześnie nie sądzili, żeby oba ciała

zakopano w tym samym parku. Już wcześniej technicy przeczesali cały teren, szukając ewentualnych nowych grobów, lecz niczego poza tym pierwszym miejscem zdarzenia nie znaleźli. Teraz jednak należało zająć się tą sprawą od drugiej strony. Chłopca widziano w tym parku, więc i tutaj mógł zostać po nim jakiś ślad. Poza tym sklep, przy którym ślad się za nim urwał, znajdował się dość blisko, jakieś pięćset metrów dalej.

Poszli tam. Trafili na drugi zespół, który nie znalazł niczego ciekawego.

– Przeczesaliśmy wszystkie krzaki, obejrzeliliśmy wszystkie trawniki, ale nic nie mamy – zameldował dowodzący grupą.

– Dobra, idziemy na wschód – zarządziła Szolc. – Rozdzielamy się i każdy inną drogą zmierza do pobliskiego parku Widzewskiego. – Wskazała konkretny kierunek. – Patrzcie uważnie pod nogi.

– Tak jest! – odezwało się jednocześnie kilku policjantów, po czym wszyscy ruszyli śladem chłopca.

Zrobiło się już ciemno, więc mieli ograniczone pole widzenia. Ale dzięki temu oglądali każdy kawałek ziemi z bardzo bliska. Świecili latarkami i pochylali się, wyglądali jak psy próbujące złapać trop. Jutro miał się pojawić prawdziwy pies tropiący, rasy bloodhound. Miał przyjechać do Łodzi prosto z Saksonii, więc wszystkie ślady będą przez niego zbadane jeszcze raz, niemniej liczyła się każda chwila.

– Jak to się w ogóle stało, że pies tamtego faceta... – zastanawiał się na głos Bednarski. – Że ten wyżeł Tomasza Lipińskiego wyczuł zwłoki. To nie był szkolony pies.

– Ano nie był – przyznała mu rację Edyta.

– Ktoś przez wiele miesięcy zakopywał tam nowe ciała. Ludzkie szczątki przeleżały w ziemi tydzień. Codziennie wyprowadza się tam psy na spacer, ale tylko ten jeden zaczął kopać. Co więcej, facet utrzymuje, że bywa w parku prawie codziennie, więc pies powinien już wcześniej coś wyczuć.

– Sugerujesz, że wcześniej nie było tam tych wszystkich ciał – próbowała wypowiedzieć na głos jego wątpliwości – a ktoś zakopał je na przykład w nocy tuż przed ich znalezieniem?

– Sam już nie wiem...

Doszli do parku Widzewskiego i przeszli jego alejkami, ale nie znaleźli żadnego miejsca, w którym ziemia byłaby naruszona, nie było też innych śladów, które mogłyby na cokolwiek wskazywać. Byli tu pierwszy i z

pewnością nie ostatni raz, ale nie zapowiadało się, żeby ten czas został produktywnie wykorzystany.

Bednarski z Gawron otoczyli zbiornik wodny i dołączyli do podkomisarz Szolc, która rozmawiała właśnie przez telefon.

– Jasne, rozumiem, będę na niego czekała – odparła, po czym rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni. – No to mamy kolejne ciało – powiedziała tylko do nich, jakby nie chciała, żeby inni usłyszeli tę informację.

– Kogo? Gdzie? – zapytali, podchodząc bliżej przełożonej.

– Właśnie problem w tym, że daleko. Jakies trzysta kilometrów stąd. – Szolc zamilkła na chwilę. – Trzysta kilometrów stąd – powtórzyła – i trzy lata temu.

– Nie rozumiem... – Edyta skrzywiła się, sądząc, że podkomisarz musiała się pomylić.

– No właśnie ja też – odparła tylko.

Marcin zadrżał, słysząc dobiegające z oddali szuranie. Otrząsnął się ze snu, który go zmorzył dawno temu i długo nie chciał odpuścić. Przenikliwie zimno i brak jedzenia sprawiły, że czuł się, jakby znajdował się w stanie hibernacji. Jedyne narastający strach mógł to przerwać, szczególnie gdy w pobliżu ktoś się pojawiał.

Do pomieszczenia wdarł się snop światła, lecz Marcin nie potrafił rozpoznać, czy to światło dnia, czy zwykła żarówka. Nie wiedział, ile czasu minęło od momentu, w którym ktoś z zakrytą szalikiem twarzą i naciągniętą na czoło czapką wtrącił go do klatki w szczelnie odciętych od reszty świata pomieszczeniu. Nie wiedział, czy jego sen, w który co chwila zapadał, trwał minutę, godzinę czy może całą dobę. Drętwiejące kończyny bolały go coraz mocniej, a głód doskwierał jak nigdy. Chciało mu się pić, ale wiedział, że jeśli dostanie choć trochę wody, to niedługo potem odezwie się jego pęcherz.

Starał się zapomnieć chwilę, w której nie mógł wytrzymać i pozwolił mu się opróżnić. Gdy tylko usłyszał, jak kolejne krople moczu uderzają w drewnianą podłogę, wybuchł niekontrolowanym płaczem. Wstydział się tego, co zrobił, ale też chciał zagłuszyć dźwięk, który nigdy nie wydawał się aż tak okropny.

Nie mógł się podnieść, nie mógł też oddać moczu w taki sposób, aby ten nie podmył klatki. Chłopak nie miał żadnego pola manewru, nie potrafił się obrócić ani zmienić pozycji. Jednocześnie wstyd mu też było zsunąć spodnie. Starał się panować nad pęcherzem, lecz w pewnym momencie po prostu nie wytrzymał. Poczuł, jak ciepła strużka obmywa mu nogi, jak przesącza się przez nogawki i tworzy kałużę pod nim.

Nikt nie patrzył, lecz sama świadomość tego, co zrobił, napawała go przerażeniem.

Ta sama osoba weszła zaraz potem do środka, a Marcina zalało blade światło.

– Kurwa... – Dobiegł go tłumiony przez materiał głos, który, choć cichy, odbił się echem od gołych ścian i wwiercił chłopakowi w głowę. – Ty zasrańcu! – zagrzmiała osoba, gdy dostrzegła kałużę.

Podeszła i kopnęła w pręty, a Marcin tak bardzo chciał się skulić w rogu, że wbił sobie zardzewiałe opiłki w policzek i usta. Syknął z bólu. Poczł kroplę krwi, która spłynęła mu po brodzie. Szybko jednak zmieszła się ze łzami, wypływającymi spod mocno zaciśniętych powiek. Bał się je otworzyć. Bał się spojrzeć w przekrwione oczy oprawcy.

Drzwiczki do klatki się otworzyły. Gandalf zaczął ujadać, lecz postać nie zważała na niego. Wyciągnęła chłopaka i rzuciła nim o podłogę niczym szmacianą lalką. Nim zdążył wstać, poczuł silne kopnięcie, które odrzuciło go pod ścianę.

– Proszę... – zawył, błagając o litość, lecz postać nie miała zamiaru go słuchać. Zadawała kolejne ciosy, dociskając go coraz mocniej do zimnej i brudnej od odchodów podłogi. Kopnęła w brzuch i uderzała pięścią po głowie, sprawiając, że każdy kolejny cios odbierał mu świadomość. W końcu Marcin opadł bezwładnie, lecz uderzenia nie ustępowały.

Ocknął się z powrotem za zardzewiałymi prętami. Ocucił go metaliczny dźwięk. Osłonięta postać wciągnęła do pomieszczenia nową klatkę. Była zbyt ciężka, żeby ją podnieść.

Marcin zacisnął mocno powieki, nie chcąc patrzeć na to, co się dzieje. Otworzył je dopiero, gdy kroki napastnika ucichły. Rozejrzał się wtedy po pomieszczeniu i dostrzegł, że w nowej klatce siedzi chłopiec. Miał mniej więcej tyle samo lat co on. Leżał skulony, dociśnięty do tylnej ścianki. Wydawał się bezwładny, a na szyi miał ciemnofioletowy siniec.

Marcin chciał się odezwać, lecz nie był w stanie wydusić ani słowa przez zaciśnięte gardło. Poza tym chłopak wydawał się nieprzytomny, więc z pewnością by go nie usłyszał.

Postanowił poczekać, aż tamten się ocknie. Miał nadzieję, że razem wymyślą, jak stąd uciec.

16 października

Gdy komisarz Dawid Morawiec wyjeżdżał z Gdańska, oślepiało go wschodzące słońce. Lecz gdy tylko przekroczył granicę Łodzi, w przednią szybę jego nissana juke'a uderzyły grube krople deszczu. Choć nadmorski klimat przyzwyczaił go do nagłych zmian pogody, to niespodziewana ulewa go zaskoczyła.

Zaparkował przed komendą wojewódzką, szybko wybiegł z samochodu, bo wiedział, że za chwilę będzie tylko gorzej.

Otrzeptał się w przedsionku niczym pies, zdjął mokry płaszcz i poprawił marynarkę. Przejrzał się w czarnym ekranie telefonu i udał się prosto do gabinetu podkomisarz Szolc.

– Powiedziałbym „dzień dobry”, ale nie chcę kłamać – odezwał się na powitanie.

Przyjrzała mu się dokładnie. Wcześniej widziała jego zdjęcie na stronie Komendy Miejskiej Policji w Gdańsku, lecz zdawało się, że był na nim jakieś dziesięć lat młodszy. Teraz czarne włosy, niegdyś gęste i dłuższe, ściał bardzo krótko, bo czerń została wyparta przez siwiznę. Nosił prostokątne, bezramkowe okulary, miał gładko ogoloną szczupłą twarz. Szyję zakrywał grubym golfem, na który narzucił granatową marynarkę. W ręku ścisnął wypchaną dokumentami aktówkę, którą teraz rzucił na krzesło przy biurku.

Wyglądał na osobę poważną i niezwykle kompetentną. A jednocześnie zarozumiałą. Szolc dostrzegła to, gdy tylko złowiła jego przenikliwe spojrzenie.

Skrzywił się, a Szolc zakłęła w myślach.

– Jak się sprawy mają? – spytał, zanim podkomisarz wymyśliła jakąkolwiek dobrą odpowiedź na jego nietypowe przywitanie.

Musiała przez kilka sekund się zastanowić.

– Nie najlepiej – odparła zgodnie z prawdą. – Co potwierdza chociażby pana przybycie.

Zapewne pan rozumie, komisarzu, co mam na myśli.

Dopiero gdy usłyszał, jak Szolc go tytułuje, twierdząco pokiwał głową.

– Owszem, pani podkomisarz. – Zaakcentował przedrostek, chcąc dodatkowo podkreślić, kto jest ważniejszy. – Sprawa nie wygląda zbyt dobrze – kontynuował. – Miałem nadzieję, że na jednym trupie w Gdańsku się skończy, tymczasem doszły mnie wieści, że sprawa dotarła aż tutaj, do Łodzi.

Szolc prawie prychnęła, słysząc, jakim tonem wypowiedział ostatnie słowa, zupełnie jakby przyjechał na jakąś daleką prowincję, gdzie do morderstw zwykle nie dochodziło, co najwyżej do nielegalnego uboju bydła.

– Chciałabym móc coś na to zaradzić, żeby pan komisarz... – dodała w ostatniej chwili – nie musiał się kłopotać i tu przejeżdżać.

– Przyznam szczerze, że rzeczywiście nie jest mi to na rękę.

– Ważniejsze sprawy? – dopytywała się z udawaną powagą.

– Zdecydowanie – uciął tylko, po czym zorientował się, że przypadkowo uznał sprawę zabójstwa dziecka za mało ważną, więc już nie ciągnął tego tematu. – Znamy już pełny wynik sekcji?

Szolc pokręciła z niedowierzaniem głową, słysząc to pytanie.

– Oczywiście – odparła przez zaciśnięte zęby. – Takie sprawy traktujemy priorytetowo. Może w Gdańsku...

– Kiedy raczy się pani podkomisarz nimi ze mną podzielić? – przerwał jej.

– Raport mam na biurku, w każdej chwili można do niego zajrzeć.

Szolc usiadła i wodziła wzrokiem za komisarzem, który zaczął przechadzać się po gabinecie, jakby nie mógł znieść jej lekceważącego tonu. Szolc tylko trochę z nim pogrywała, wiedziała jednak, że dla niego musi to być irytujące.

– Gdzie się pan zatrzymał? – spytała, chcąc jakoś rozładować napięcie. Wiedziała, że źle zaczęła, i chciała to jakoś naprawić. Morawiec był ich gościem, miał im pomóc, jednocześnie rozwiązując swoją sprawę. Musieli się jakoś dogadać.

Spojrzał na nią i czekał, aż się poprawi i po raz kolejny wypowie jego stopień. Od razu pożałowała, że w ogóle spytała.

– Znalazł pan komisarz jakiś odpowiedni hotel? – Miała ochotę spytać o hotel „godny pańskiej osoby”, ale ugryzła się w język.

– Czy odpowiedni, to się jeszcze okaże. Wolałem najpierw przyjechać na komendę.

– Czuję się zaszczycona – odparła cicho. Miała wielką ochotę już wyprosić Morawca z gabinetu, ale musiała przecież omówić z nim kwestię, z powodu której tu przyjechał, a ta nie zapowiadała się zbyt przyjemnie. – Usiądzie pan, komisarzu? – To ciągle dodawanie tytułu było dla niej tyleż głupie, co irytujące.

– Z chęcią, pani podkomisarz.

– Możemy przejść do naszej sprawy? – spytała, mając nadzieję na szybkie zakończenie spotkania z Morawcem.

Komisarz skinął głową i zaczął wyjmować dokumenty na blat biurka. Szolc w tym czasie zawołała aspirantów Bednarskiego i Gawron, a także psycholog Ilonę Zalewską, która, jak sądziła Szolc, będzie w tym momencie niezbędna. Dodatkowo pojawiła się ekspertka kryminalistyki, Weronika Błach, która miała przedstawić wstępny protokół z miejsca zdarzenia z metryczkami ważniejszych śladów. Jej teczka zdecydowanie była najmocniej wypchana.

– Jakież nowe wieści? – zagadnęła aspirant Edytę Gawron, która dopiero co wróciła z parku.

– W tym momencie zabezpieczono już cały teren, na którym naruszono w ostatnim czasie ziemię. Odkopano trzy nowe ciała psów, w sumie mamy ich siedem. Na szczęście technicy nie natknęli się na kolejne ludzkie ciało ani jakiegokolwiek pozostałości po nim.

Szolc spojrzała wymownie na Weronikę Błach, która potwierdziła te słowa skinieniem głowy.

– Weterynarz jeszcze się nie odzywał, ale około...

– Szesnastej mają być wyniki sekcji, tak, wiem – przerwała jej, widząc zniecierpliwioną minę Morawca. Jej samej zaczął się udzielać jego nieprzyjemny nastrój.

Edyta przełknęła głośno ślinę.

– Weterynarz na razie zajął się tym, który został zabity najpóźniej.

– Czyli już wiadomo, że to nie była śmierć naturalna? – wtrącił się Morawiec, świdrując Edytę przenikliwym spojrzeniem.

Aspirant wyjęła wydruk notatki weterynarza.

– Tak, wstępnie stwierdził, że było to uduszenie. Podobnie jak w przypadku pozostałych psów, których proces gnilny nie naruszył na tyle, żeby nie dało się tego stwierdzić od razu. Trzy ciała leżały w ziemi ponad sześć miesięcy, dlatego trudno będzie ustalić, co konkretnie te psy zabiło.

– I tak najważniejsze będzie skupienie się na tym ostatnim – wtrąciła Szolc.

– Zgadza się – przyznała Edyta. – Potem można porównać obrażenia i wyciągnąć wnioski co do wszystkich psów.

– Wydaje mi się jednak, że najważniejsze jest ciało dziecka – stwierdził surowo Morawiec. – Wątpię, żeby psy miały tu jakiegokolwiek znaczenie.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Wręcz przeciwnie – odparła Szolc. – W jednym miejscu znaleziono...

– Wiem, co znaleziono, pani podkomisarz – przerwał jej, wymawiając tytuł Szolc z jeszcze większą pogardą, tak żeby każdy z obecnych zrozumiał jego stosunek do niej. – Ale w Gdańsku ich nie znaleziono, a to właśnie tam wszystko się zaczęło.

– Jest pan przekonany, komisarzu?

– To nie kwestia przekonania, tylko faktów.

– Wszystkich śladów jest kilkaset, cały czas ich przybywa – przerwała im Błach. – W pobliżu miejsca zdarzenia stały dwa pełne kosze na śmieci. Tam na razie niczego ciekawego nie znaleźliśmy. Wstępnie można je pominąć i skupić się tylko na zwłokach dziecka. Bez wątpienia w tym momencie to może nam powiedzieć najwięcej.

Morawiec pokiwał głową, jakby Błach przyznawała mu rację co do wcześniejszej kwestii, lecz ona wcale nie to miała na myśli.

– I właśnie te ślady pokrywają się z moją sprawą, więc może w końcu do nich przejdziemy? – Szolc potwierdziła, dając mu znać, żeby rozpoczął najważniejszy dla niego wątek.

W oczach komisarza od razu dostrzegła błysk.

Morawiec rozsiadł się wygodnie, gdy wzrok wszystkich zebranych spoczął na nim. Założył nogę na nogę, otworzył na kolanie teczkę i kilka sekund napawał się faktem, że w końcu stał się gwiazdą tego zebrania. Bez wątplenia czekał na ten moment, a gdy nadszedł, policzki aż zaróżowiły mu się z podniecenia.

Szolc nie mogła na to patrzeć. Aspirant Gawron o mało nie parsknęła śmiechem, a Bednarski nie mógł się zorientować, czy Morawiec robi to wszystko na poważnie, czy może sobie z nich żartuje.

Gdy chrząknął teatralnie i poślinił palec, w końcu przerzucając strony dokumentów, aspirant zrozumiał, że to nie gra, tylko jego prawdziwy żywioł.

– Drodzy państwo – zaczął, a Szolc tylko przewróciła oczami. – Zdaje się, że macie do czynienia ze sprawą, która nie jest tym, na co w pierwszej chwili wygląda.

– Czyżby wcale nie chodziło o zabójstwo siedmioletniego chłopca? – wtrąciła się Zalewska, którą komisarz denerwował chyba równie mocno, jak denerwował podkomisarz Szolc.

– Co ma pani na myśli?

– To, żeby w końcu przejść do sedna.

Morawiec pochylił się nad teczką i kontynuował już z mniejszym entuzjazmem. Szekspirowski monolog zamienił na bardziej profesjonalny wywód.

– Tak, racja. – Chrząknął po raz kolejny. – Piętnastego sierpnia dwa tysiące osiemnastego roku, czyli trzy lata temu, na plaży w Gdańsku, opodal parku Brzezińskiego, niedaleko trzydziestego szóstego wejścia znaleziono ciało dziecka. Pięcioletniego chłopca, Artura Bielawskiego. Został zakopany w piasku na wydmie, między drzewami przybrzeżnego pasa zieleni. Szukano go dwadzieścia godzin. Pierwotnie skupiono się wyłącznie na plaży Brzeźno, przy granicy z plażą Przymorze, bo tam dziecko zaginęło. Nikt nie sądził, że

szukamy ciała, szukaliśmy zagubionego dziecka. Tymczasem ustalono, że chłopiec nie żył już chwilę po tym, jak został porwany.

– Czy na pewno porwany? – zainteresowała się aspirant Edyta Gawron, mając cały czas w pamięci domysły Bednarskiego i swoje. – A może sam odszedł?

– Rodzice nie wiedzą, czy dziecko zostało czymś skuszone, lecz rzeczywiście prawdopodobnie odeszło samo, gdy oni odpoczywali. Chłopiec wyszedł za parawan. Rodzice stracili go z oczu na kilka, maksymalnie piętnaście minut. Sam nie odszedłby daleko, ktoś musiał go uprowadzić.

– Czyli odszedł od rodziców sam, bo inaczej zorientowaliby się, że ktoś obcy jest tuż obok.

– W tym czasie na plaży są tłumy, więc obcy mógłby się pojawić niepostrzeżenie.

– Nie wiem, czy pan wie, ale w tym momencie mamy jedno ciało i dwoje zaginionych dzieci – zwróciła się do Morawca, który oczywiście o tym wiedział, bo czytał raport. – Każde z nich oddaliło się w podobnych okolicznościach. Jedno pobiegło za psem, jedno wyszło ze sklepu i się dosłownie rozpułnęło, a to, którego ciało znaleźliśmy, zniknęło rodzicom na chwilę z oczu przed blokiem, w którym mieszkali. Wszystko to w ciągu tygodnia, co nie może być przypadkiem, a jest zależnością.

– Więc tym lepiej, że tu jestem. – Morawiec próbował odzyskać animusz, który nieco przygasiły obie policjantki. Zdawało im się, że Morawiec został już przez nie zdominowany, lecz on nie zamierzał się poddawać. – Gdy tylko dowiedziałem się o waszej sprawie, od razu poprosiłem o wszystkie szczegóły, bo nie sądziłem, że to zbieg okoliczności. I najwyraźniej się nie pomyliłem. Z przykrością muszę stwierdzić, że przez trzy lata nie udało nam się rozwiązać sprawy morderstwa na wydmie, jak je nazywamy, dlatego przyjechałem tu z wielką nadzieją. Oto bowiem mamy dwie niemal identyczne sprawy. – Wyjął kartkę, na której miał pobieżne opisy obu morderstw. – Mamy dwójkę dzieci, jedno w wieku sześciu, drugie siedmiu lat, ale ta różnica nie ma właściwie żadnego znaczenia. Zabójca nie mógł znać dokładnego wieku, liczył się zapewne wygląd. Problem polega na tym, że żadne z dzieci nie zostało zgwałcone ani wykorzystane w inny sposób. A przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo, nie ma śladów seksualnej działalności sprawcy.

– Czy to jest jakiś problem? – wtrąciła się psycholog. – Ja się cieszę, że żadne z tych dzieci nie zostało zgwałcone.

– A ja wolę mieć motyw – uciął ostro. – W tym momencie nie wiemy, kogo szukać, nie wiemy, czemu ten ktoś zabił i dlaczego wybierał właśnie dzieci. Na obu ciałach brak jest wyraźnych śladów walki. Mamy jakieś siniaki, obtarcia, lecz nic na tyle wyraźnego, żeby mogło w czymś pomóc. Ciało na wydnie miało obtarcia na przegubie dłoni, co może świadczyć o tym, że dziecko było przez sprawcę ciągnięte. Było prowadzone plażą przez jakieś dwa kilometry. Sprawca nie szedł chodnikiem,

to wiemy na pewno. W parku Brzezińskim mamy monitoring, który nie wychwytał niczego podejrzanego. Niestety nie sięga w głąb trzydziestego szóstego wejścia, przy którym morderca wszedł między drzewa, gdzie udusił dziecko i zakopał w piasku. Jeśli chodzi o uduszenie, to w tym przypadku mamy najważniejszy ślad: kilka włókien, które wbiły się w szyję. Jak rozumiem, nie macie jeszcze dokładnych wyników z laboratorium? – Spojrzał na Szolc, a ta skinęła głową. – Domyślam się jednak, że to będzie ten sam materiał, bo pokrywają się zarówno kolor, kształt, jak i wizualna ocena. Mamy do czynienia z najzwyczajszą bawełną przeznaczoną do szydełkowania. Nie ustalimy pochodzenia włóczki, bo jest dostępna niemal wszędzie, ale możemy ustalić narzędzie zbrodni. Skoro mamy do czynienia z uduszeniem, to jest to najprawdopodobniej szalik, który został owinięty wokół szyi i mocno na niej zaciśnięty.

– Szalik w sierpniu? – zdziwił się Bednarski.

– Też nas to zastanawiało, lecz jeśli badania potwierdzą, że w obu przypadkach znaleziono włókna tego samego rodzaju, będzie to oznaczało, że sprawca wcale nie zabił przypadkowo, a raczej że naszykował narzędzie zbrodni. Nie zdjął go z szyi i nie zabił bez planu, lecz szalik trzymał na przykład w torbie i miał konkretny pomysł jego wykorzystania. Nieprzypadkowa zbrodnia, która spodobała mu się na tyle, że postanowił ją powtórzyć.

– Tylko dlaczego po takim czasie i dlaczego właśnie tutaj? – mruknęła pod nosem aspirant Gawron, ale i tak wszyscy ją usłyszeli.

– Proponuję zapisywać wszystkie pytania, bo z pewnością każdego dnia będzie ich coraz więcej – odparła Szolc. – Możliwe, że wcześniej coś przeoczono, że przez te trzy lata gdzieś jeszcze dokonano podobnej zbrodni.

– Jak rozumiem, wasza sprawa została umorzona? – zainteresował się Bednarski. – Tak? – dopytywał się, gdy Morawiec nie odpowiedział od razu.

– Owszem.

– I teraz została wznowiona? – drążył, a Szolc już wiedziała, że próbuje jeszcze bardziej zbić Morawca z tropu. Bednarski, jak się okazuje, trafił w jego czuły punkt. Komisarz zapadł się nieco w siebie, a jego butna mina gdzieś zniknęła.

– Jeszcze nie – odparł w końcu. – Prokurator nie jest przekonany, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą.

– Więc jest tu pan...

– Oficjalnie, wypraszam sobie – przerwał mu, sądząc, że Bednarski posądzi go o samowolę. – Mam zebrać wszelkie możliwe informacje, które pomogą nam wznowić tę sprawę.

– Jak rozumiem, wcześniej to właśnie pan nad nią pracował? I nie ustaliliście, kto zabił? – Bednarski nie mógł się powstrzymać przed dopełnieniem pytania tym drugim zdaniem. Widział przychylny wzrok Szolc, zupełnie jakby chwaliła go za to, co robi. Zadawanie kolejnych ciosów Morawcowi wszystkim sprawiało przyjemność.

Komisarz nie odpowiedział. Skinął jedynie głową i każdemu po kolei spojrzął w oczy. Chciał wyrzucić na nich jakąś niemą presję, lecz tym razem mu się to nie udało. Wszyscy wiedzieli, że Morawiec dlatego był taki cięty na nich, bo zaczęli od zera sprawę, która jego samego pogrążyła.

Wydało się, że miał być tylko obserwatorem zbierającym materiały. Chciał na starcie pokazać swoją wyimaginowaną pozycję, ale zespół szybko go rozgryzł.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zacząć wszystko od nowa, mając jednak w pamięci to, co wydarzyło się trzy lata temu w Gdańsku. – Morawiec schował dokumenty do teczki. Był na przegranej pozycji. Na marnej pozycji były też wszystkie zebrane przez niego materiały, bo przez tyle czasu nie doprowadziły do żadnych konkretnych wniosków.

– Niemniej mam nadzieję, że pańskie ustalenia – Szolc specjalnie nie dodała słowa „komisarzu” – okażą się niezwykle przydatne. I oczywiście pana osoba w naszym zespole.

– Cieszę się. – Morawiec zacisnął zęby i odsunął się pod ścianę, tym samym dając znać, że już skończył.

Malwina przyłgnęła uchem do zimnej powierzchni brudnych, kiedyś białych drzwi. Gdy nie usłyszała żadnego dźwięku dobywającego się ze środka, pchnęła je delikatnie. Zaskrzypiały, lecz na korytarzu nie było nikogo, kto mógłby ją teraz usłyszeć. Wszyscy siedzieli przy stołach w jadalni. Ona wyszła, bo i tak nie była potrzebna. Z dziećmi byli teraz wszyscy inni wychowawcy. Cały domek, jak pieśczośliwie nazwały sierociniec dzieci, po zniknięciu Marcina bardzo się wyciszył, choć Malwina była pewna, że to tylko chwilowe.

– Cześć, Tomek – zawołała na wszelki wypadek, gdyby chłopak, z którym Marcin dzielił pokój, był w środku. Ale pomieszczenie ziało pustką.

Ich dom dziecka nie miał zbyt wielu funduszy, całe wyposażenie pokoi przechodziło od wielu lat na kolejne pokolenia. A przecież łóżka się zarywały, szafki wilgotniały, biurka wyszczerbiały. Co prawda konserwator naprawiał, co mógł, ale mimo to w pokojach były tylko całkowicie niezbędne rzeczy, nic poza tym, bez czego nie można

się było obejść.

Tylko zerknę, pomyślała, podchodząc do wysłużonej komody, choć nie miała pojęcia, po co właściwie to robi.

Nie wiedziała, czego miałyby tam szukać. Przecież Marcin nie mógł zostawić żadnej wiadomości czy wskazówki. Nawet jeśli uciekł specjalnie, to przecież dzieci w tym wieku nie tłumaczą się, a po prostu poddają impulsom i emocjom.

Zajrzała do komody, ale poza porozrzucanymi ubraniami obu chłopców niczego nie znalazła. Bielizna, koszulki. W szafie mieli kurtki, buty. Na biurku zalegały książki i zeszyty do szkoły, jakieś papiery. Zaczęła je przeglądać, ale poza nic nieznaczącymi rysunkami czy koślawymi literami nie znalazła niczego ciekawego.

Usiadła na łóżku Marcina i zapatrzyła się w jego poduszkę. Sięgnęła dłonią, ale nic nie znalazła pod pościelą. Wiedziała, że w tym momencie narusza prywatność chłopca, ale uważała, że dziecko w tym wieku raczej nie ma niczego do ukrycia. Trzeba się nim cały czas zajmować, a co za tym idzie – pozbawiać je intymności.

Czy chłopiec w wieku dziewięciu lat w ogóle potrzebuje czegoś takiego? – myślała, sięgając pod materac. Potem zajrzała pod łóżko.

Była pewna, że już niedługo wszyscy z ich domu dziecka stracą jakąkolwiek prywatność. Media powoli łączyły ze sobą sprawy. Z tego, co się dowiedziała, w telewizji już pojawiały się informacje o zabójstwie w parku nad Jasieniem, a dziennikarze z lokalnych gazet czaili się w okolicy i wypytywali wszystkich.

Malwina spodziewała się, że lada dzień rzecznik praw dziecka przeprowadzi u nich kontrolę w związku ze zniknięciem Marcina. A jeśli chłopiec się nie odnajdzie, dziennikarze zjedzą ich żywcem, tak jak rodziców tamtego chłopca, którego ciało znaleziono. Co chwila ktoś pisał o tym, że już dawno powinno się im odebrać prawa rodzicielskie, że oni są winni śmierci chłopaka, wypytywano sąsiadów, jak bardzo zaniedbywali siebie nawzajem, czy były patologie i tak dalej.

Malwina była pewna, że jeśli zaczną węszyć także tutaj, to zrobią z nich kozła ofiarnego. Szczególnie z Doroty, której Malwinie bardzo było szkoda. Cały czas się zamartwiała, obwiniała, w każdej wolnej chwili starała się szukać Marcina, a w pracy ciągle podchodziła do okna. Miała nadzieję, że w końcu go gdzieś dostrzeże. Zaniedbywała wszystkie swoje obowiązki. Taką informację media zaraz od kogoś wyciągną, a potem sprawią, że Dorota pójdzie na dno. Malwina bardzo nie chciała, żeby tak się stało, życzyła Dorocie jak najlepiej, ale chyba odwrotu już po prostu nie było.

Minęły dwa dni, teraz uciekło już południe trzeciego dnia. Bardzo chciała wierzyć, że Marcin wróci albo policja natknie się na jego trop. Bardzo.

Ostatni raz omiotła spojrzeniem pokój i wróciła do sali, w której właśnie kończył się obiad. Większość dzieciaków odstawiła już talerze, wychowawcy zabierali się za kolejne obowiązki. Malwina poszła sprawdzić, jak się ma Fibi. Dała jej wody i odrobinę suchej karmy. Nagle zorientowała się, że Dorota znów płacze.

– Boże... – westchnęła, słysząc jej szloch, który przeplatały słowa kogoś próbującego ją pocieszyć.

Po chwili jednak ten ktoś odpuścił i odszedł, a Dorota nagle ucichła. Malwina zamarła. Po chwili bezszelestnie podeszła do drzwi, uchyliła je. Nie dostrzegła nikogo na korytarzu, więc wyszła z pokoju i na palcach przemknęła tuż przy ścianie. Dotarła do drzwi, Dorota ich nie zamknęła. Musiała być pewna, że nikogo w pobliżu nie ma, bo wszyscy są w innej części budynku. Zapomniała o Malwinie, która często się tu pojawiała w tych godzinach.

Dorota podeszła do parapetu przy oknie. Leżała tam napoczęta paczka chusteczek. Otarła oczy, z których nie płynęły już łzy. Po chwili wyjęła z kieszeni szminkę i poprawiła kolor na ustach. Zaraz potem usiadła na stojącym obok krześle, po czym sięgnęła po telefon i zaczęła coś przeglądać, co kilka razy wywołało delikatny uśmiech na jej twarzy.

Malwina stała tak przez chwilę, nie rozumiejąc, co się dzieje, po czym odsunęła się od szpary w drzwiach i wróciła do Fibi.

– Czy to normalne? – spytała suczkę, jakby ta nie tylko widziała, co się stało, ale w ogóle potrafiła odpowiedzieć.

Malwina, wracając do pracy, zajrzała jeszcze raz do małego pokoiku, zwykle pustego. Dorota pisała do kogoś. Już bez uśmiechu, lecz z miną dość nietęgą. Niedługo miał znów się pojawić grymas bólu i rozpacz, który ukazywał się najwyraźniej tylko wtedy, gdy Dorota wiedziała, że ktoś patrzy.

Malwina zastanawiała się, czy w takim razie powinna w te emocje wierzyć.

Kilka godzin później wyszła z pracy. Dziwnie się czuła, opuszczając to miejsce, zupełnie jakby nagle odcinała się od wszystkich wydarzeń. Z jednej strony było to dobre, bo stres nieco łagodniał, ale z drugiej bała się, że coś może ją ominąć. Bez względu na to, czy nowe informacje będą dobre, czy złe, chciałyby wszystko wiedzieć od razu. Chciałyby móc odetchnąć z ulgą.

Na ulicy Milionowej, niedaleko skrzyżowania ze

Śmigłego-Rydza, usłyszała znajomy głos. Wyszła akurat spomiędzy bloków, gdy od jednej ze ścian odbiły się echem zniekształcone słowa. Nie rozumiała, o co chodzi, a jedynie, że jedną z osób ponosiły emocje. Trudno jednak było powiedzieć, czy negatywne, bo słowa nie brzmiały groźnie.

Malwina zwolniła kroku i pogłaskała Fibi po głowie, żeby przypadkiem nie zaszczekała. Szczególnie na widok wyżyła, który obwąchiwał pobliskie drzewo, gdy Tomasz gestykulował, tłumacząc coś kobiecie, której twarz też znała – zmęczoną, smutną, o zagubionym wyrazie.

Stanął, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Chodnik prowadził ją coraz bliżej rozmawiającej pary. Kobieta słuchała potulnie Tomasza, który nie przestawał gestykulować i coś tłumaczyć. Wyraz jej twarzy sugerował jednak, że nie dociera do niej sens słów.

Malwina cofnęła się kilka kroków. Nie chciała przechodzić obok Tomasza i kobiety, czuła, że to nie był dobry moment na rozmowę w trójkę.

O co może mu chodzić? – pomyślała, na chwilę tracąc ich z oczu. Dopiero po chwili z powrotem ich spostrzegła. Każde poszło w inną stronę – Tomasz ruszył w kierunku Śmigłego-Rydza, a kobieta, która twierdziła, że to jej dziecko znaleziono w parku, nerwowym krokiem przechodziła właśnie przez ulicę Milionową.

Poczekala, aż dotrze na drugą stronę. Wtedy Tomasz już zniknął za zakrętem. Wiedziała, gdzie go szukać. Ale ciekawość sprawiła, że poszła za

kobietą, która najwyraźniej skrywała więcej sekretów, niż mogłoby się wydawać.

Tomasz czuł, jak mocno wali mu serce. Wiedział, że nie powinien doprowadzić do tej konfrontacji. Ale stało się. Nie miał pewności, czy kobieta w ogóle go rozpoznała. Może dopiero po głosie, ale i tak nie było to pewne. Żyła w swoim własnym świecie.

Ruszył dalej. Przyglądał się każdemu mijanemu słupowi i drzewu. Aplikacja w telefonie pokazywała mu, że zrobił już dwadzieścia tysięcy kroków. Dziś była niedziela. Salonik był zamknięty. Mógł więc pójść na spacer po mieście. Przy okazji rozmawiał z ludźmi. Już trzy razy pozwolił, żeby do Qui-Gona podszedł jakiś pies, a jego właściciel powiedział: „O! Jaki ładny” i spytał po chwili: „Jak się wabi?” albo „Ile ma lat?”. Tomasz szybko schodził wtedy na temat zabójstw. Media już otwarcie o tym pisały, zarówno o śmierci dziecka, jak i psów. Pojawiał się też wątek dwojga zaginionych dzieci, w tym jednego, które mieszkało w domu dziecka. Ktoś sugerował, że to nie przypadek. Niby nie oskarżał o nic, ale szukał sensacji tam, gdzie jej nie było. Najwyraźniej wciąż miał za mało ciekawych tematów do poruszania na swoim portalu, chociaż zdawało się, że w ostatnim czasie było ich aż nadto.

Od ludzi, których dziś spotkał, Tomasz nie dowiedział się jednak niczego ciekawego. Na jego pytania o właścicieli psów odpowiadali tylko wzruszeniem ramion. Wiedział, że psiarze to nie jest społeczność, ale ktoś jednak powinien coś wiedzieć. O ile oczywiście szukał na dobrym terenie.

Wszystko było możliwe, nikt przecież nie znał sposobu myślenia tego psychopaty. Nawet śledczy, którzy oczywiście tworzyli profil i próbowali wejść w jego umysł. Co prawda rzecznik prasowy policji, który wypowiadał się już dwa razy na ten temat, zapewniał, że lada moment będzie wiadomo znacznie więcej. Planowano już nawet konferencję prasową. Tomasz domyślał się jednak, że zostanie zorganizowana dopiero, gdy dojdzie do kolejnego morderstwa. Na razie jeszcze nikt nie wpadał w panikę. To normalne, że co jakiś czas znajdowano w mieście zwłoki. Niedawno na śmietniku przy Maratońskiej znaleziono martwego noworodka, w stawie przy Przędzalnianej

pływał topielec. Na Bałutach też często coś się działo. Co chwila ktoś także polował na psy – była głośna sprawa niejakiego Ciesielskiego, byli zwykli truciele, którzy w rozrzuconych kawałkach kiełbasy umieszczali trutkę na szczury lub gwoździe. Teraz po prostu kilka spraw się nałożyło, a policja i tak nie zdradzała wszystkich szczegółów.

Niedoinformowani obywatele to spokojni obywatele.

Oczywiście do czasu.

Tomasz doszedł do skrzyżowania z Przędzalnianą, minął szpital, potem skierował się na południe i zaczął sprawdzać kolejne ulice. Wtedy poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Znowu dzwoniła Beata. Od samego rana wysyłała mu wiadomości, prosząc, żeby wrócił, bo ktoś musi zrobić zakupy, a ona nie tylko nie ma na to czasu, ale i pieniędzy.

Tomasz: A co, jeżeli w drodze do sklepu kogoś spotkam, kogoś, kogo według ciebie spotkać nie powinienem?

Nie chciał jej podburzać, ale już sam nie wiedział, co jej odpisywać.

Beata: W drodze do sklepu możesz spotkać, kogo tylko chcesz, ważne, żebyś normalnie wrócił.

Tomasz: Dziękuję, kochana, że pozwalasz mi w ogóle wychodzić. To bardzo łaskawe z twojej strony.

Beata: Przestań ironizować i zacznij zachowywać się jak dorosły facet, a nie jak dziecko.

Tomasz musiał się chwilę zastanowić, czy to był żart, czy Beata mówiła poważnie.

Zrozumiałby jej pretensje, gdyby ją zdradzał. Ale nic takiego się nie działo. A ona musiała znać każdy jego krok, każdą spędzoną poza domem minutę. Wiedzieć o każdej wydanej złotówce. Ta zaborczość była nie do zniesienia. Oczywiście, tak było od samego początku ich znajomości, ale wtedy sądził, że to wszystko jest przejściowe. Że ich związek jest przejściowy. Dlatego nie przejmował się jej wybuchami, nauczył się na wszystko godzić, byleby mieć spokój. Tłumaczył się, przeproszał, sądząc, że albo ona odpuści, albo on w końcu wróci do swojego poprzedniego życia, które, teraz to widział, było już dawno martwe. Nie mógł go wskrzesić. Spalił za sobą zbyt wiele mostów, a jedynym ratunkiem okazała się dla niego Beata. Dlatego z nią był. Dlatego musiał z nią być. Cierpiał, lecz mógł to przeżyć. Nie mógł jednak pozwolić, żeby przez jego decyzje cierpiał ktoś, na kim zależało mu jeszcze bardziej.

Potrzebował chwili samotności, żeby móc pomyśleć. Dlatego zaszył się w saloniku i prowadził nie do końca ważne śledztwo w sprawie, która tak naprawdę go nie dotyczyła. Tłumaczył sobie, że musi oczyścić i odświeżyć swój zamulony umysł. Trwał w chorej stagnacji zbyt długo, żeby ot tak obiektywnie i z nowej perspektywy spojrzeć na własne życie.

Wyłączył dźwięki w telefonie i schował go do kieszeni. Postanowił aż do końca dnia nie odbierać od Beaty żadnych wiadomości.

Wolnym krokiem dotarł w końcu do ulicy Łowickiej. Po obu jej stronach straszyły gołe ściany sypiących się budynków, a na jednej z nich wymalowano napis „Bóg nie umarł, tylko się zgubił”.

Nie zgubił się, tylko o nas zapomniał, dopowiedział w myślach Tomasz.

Zapatrzył się w napis i dopiero w ostatniej chwili mignęła mu przyczepiona do uschniętego drzewa kartka.

Zatrzymał się gwałtownie dwa kroki dalej i szybko odwrócił. Podeszedł do drzewa i przyjrzał się kartce. Była stara, wypłowiała i zamoknięta. Niewiele dało się z niej odczytać. Pośrodku znajdowało się zdjęcie czarnego małego psa. Tego Tomasz domyślił się po plamach tuszu, który spływał z kartki. Dzięki taśmie, którą przyklejono ogłoszenie od góry i od dołu, dało się odczytać pierwszą i ostatnią linijkę.

– Zaginął nasz... – przeczytał na głos, a potem wyjął telefon i zapisał numer, który widniał na samym dole kartki. Od razu pod niego zadzwonił. – Dzień dobry – zaczął, gdy po drugiej stronie nikt się nie odezwał. – Dzwonię w sprawie ogłoszenia.

– Ogłoszenia? – zdziwił się mężczyzna.

– Czy to państwo zgubili czarnego sznaucera miniaturę?

– O Boże, tak! – Mężczyzna nagle się ożywił. – Znalazł go pan?

Tomasz uśmiechnął się krzywo do samego siebie.

– Można tak powiedzieć.

Szolc powiodła wzrokiem za Morawcem, który włożył płaszcz i wyszedł na balkon. Szybko zrobiła to samo. Chciała wybadać, na jakim gruncie ostatecznie się znaleźli.

– Kupiłem ją w dniu, w którym prokurator umorzył śledztwo. – Morawiec wskazał na paczkę papierosów, którą trzymał w dłoni. Czerwone marlboro, puste w połowie. – Zwykłem palić tylko w kryzysowych momentach.

– Dziś taki jest? – Szolc wyciągnęła swoją paczkę. Nie spodziewała się, że komisarz poczęstuje ją papierosem.

– Rozpoczęliśmy nową sprawę. Dla mnie to powrót do przeszłości, ale z nową energią – powiedział takim tonem, jakby absolutnie w tę nową energię nie wierzył. – Jest to dość... – zastanowił się chwilę, szukając odpowiedniego słowa. – Stresujące – przyznał w końcu.

– Bez wątpienia. Dla nas wszystkich.

Szolc zapaliła i zapatrzyła się w szarą przestrzeń, przecinaną pojedynczymi kroplami deszczu.

Podkomisarz chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Morawiec działał na nią negatywnie, więc nic nie przychodziło jej do głowy. Dlatego dopaliła papierosa, bez słowa wróciła do środka i zajęła się swoimi sprawami.

Przed wyjściem Morawiec dał jej znać, że opuszcza komendę. Nie zdradził, w jakim hotelu się zatrzymał, zapewnił tylko, że jutro z samego rana pojawi się z powrotem. Już samo to wystarczyło, żeby z góry popsuć jej humor.

– Pani podkomisarz?

Zrobiło się już ciemno, gdy do gabinetu wpadł aspirant Jakub Bednarski. Chętnie by go zganiła za to, że nie zapukał, ale wypieki na jego twarzy zdradzały, że nie miał na to czasu.

– Co jest? – rzuciła z ciekawością.

– Błach się pomyliła – wydyszał. – To znaczy nie pomyliła, tylko... – Zakasłał, jakby biegł tutaj przynajmniej z kilometr. – Te śmieci...

Przed kolejnymi słowami musiał wziąć głęboki oddech.

– No wyduś to z siebie wreszcie.

– Mamy analizę części zawartości jednego z koszy.

Oparł ręce na biodrach i wziął głęboki oddech. Chyba naprawdę przybiegł z daleka, pomyślała.

– Czemu właściwie nie zadzwoniła z tym bezpośrednio do mnie?

– Akurat z nią rozmawiałem i... Sama pani rozumie.

Szolc zdziwiła się, z jakiego powodu Bednarski miałby rozmawiać z ekspertką kryminalistyki za jej plecami. Potem przypomniała sobie, że Błach jest i młoda, i ładna, w typie żony Bednarskiego, więc wołała nie drażnić tematu.

– W koszu znaleziono trzy butelki po piwie. Błach nie sądziła, że cokolwiek na nich znajdą. No i owszem, na nich nic nie było. Co innego w środku. Po wewnętrznej stronie szyjek znaleziono fragmenty odbitek linii papilarnych. Ktoś niósł butelki w specyficzny sposób, jak kulę od kręgli. Okazało się, że to odbitka Mariusza Ciesielskiego, karanego za znęcanie się nad zwierzętami.

– Żartujesz? – zdziwiła się.

Bednarski aż się uśmiechnął, widząc reakcję podkomisarz, która nie wierzyła w to, co słyszy. Już nie mogła się doczekać, kiedy przedstawi Morawcowi ich podejrzanego, znalezionego bez jego pomocy. Była przekonana, że po tej wiadomości znienawidzi ich wszystkich jeszcze bardziej.

– Siedział za odstrzeliwanie psów na Widzewie. Używał wiatrówki. Mieszka w domu jednorodzinnym na uboczu. Niedaleko znajduje się małe wysypisko, włóczyły się tam bezpańskie psy i podobno atakowały ludzi. Tak twierdził Ciesielski. Uważał się za obrońcę mieszkańców. Też mi coś. – Bednarski zaśmiał się ironicznie.

Ściągnęli już wszystkie informacje na jego temat, lecz nie było ich zbyt wiele. Pięćdziesiąt pięć lat, bez żony, bez dzieci, mieszka z matką, ojciec nie żyje.

– Ten adres jest nadal aktualny? Jeszcze się nie wyprowadził od matki?

– Z tego, co nam wiadomo, to nic się od lat u niego nie zmieniło pod tym względem.

– Odsiadkę skończył sześć lat temu... – Szolc była zamyślona. – Coś mi się zdaje, że takich ludzi więzienie raczej nie zmienia.

Bednarski przytaknął.

– Facet wpadł przez przypadek – powiedział. – Zabił psa sąsiada, a ten się wkurzył i na niego doniósł. To nie była wielka sprawa, być może robi to nadal, tylko bardziej uważa.

– No to w takim razie średnio mu to uważanie wyszło.

Byli już na Widzewie. Musieli zjechać w boczną drogę, która prowadziła na wieś. Nierówny asfalt, domy jakby porzucone. W końcu zabudowania przerzedziły się, żeby ustąpić miejsca dwóm budynkom stojącym w odległości mniej więcej pięciuset metrów.

– Może najpierw podjedziemy do sąsiada i wy pytamy go, jak tam jego relacje z Ciesielskim? – zasugerował Bednarski.

– To ma sens.

Aspirant cieszył się, że podkomisarz coraz częściej przyznawała mu rację. Na początku ich współpracy była zimną wymagającą przełożoną, która zawsze

starala się mieć ostatnie słowo. Teraz z wielką chęcią przyjmowała rady i sugestie, które jej podsuwał.

Podjechali pod starą zardzewiałą bramę, lecz widok radiowozu nie sprawił, że choćby w oknie pojawił się właściciel. Oczekali chwilę, a potem Bednarski wyszedł i się rozejrzał. Nacisnął dzwonek, ale nie działał. Furtka była zamknięta na klucz, bramy nie dało się ruszyć, choć wcale nie wyglądała na solidną. Stuknął kilka razy w jej pręty. Po okolicy rozniósł się metaliczny dźwięk, który z pewnością dało się też usłyszeć w domu. Nic to jednak nie pomogło.

Szolc wysiadła z radiowozu i oparła się o karoserię.

– Chyba czas zmierzać do celu. – Skinęła głową, wskazując na ostatni dom przy ulicy, lecz Bednarski nie odpuszczał. Nie chciał, żeby jego pomysł okazał się nietrafiony. – Niby jest niedziela, ale przecież mogli gdzieś pojechać. Cholera ich wie.

Bednarski obszedł ogrodzenie. Minął budynek gospodarczy. Okazało się, że za nim można było swobodnie wejść na podwórko. Oczywiście nie zrobił tego, żeby w razie czego nikogo nie zdenerwować.

– Dzień dobry – zawołał na tyle głośno, żeby można go było usłyszeć w każdym z budynków, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Wychylił się i spojrzął w stronę radiowozu. Już miał wrócić do Szolc, gdy usłyszał nagle trzask, jakby ktoś rąbał albo ścinał drzewo. Dźwięk był dość charakterystyczny, nieco przytłumiony, dopełniał go szelest poruszanych gałęzi.

To zaniepokoiło Bednarskiego.

Przeszedł na drugą stronę podwórka. Dopiero tam zauważył, że dom miał kilka wybitych okien, a drzwi stały do połowy uchylone, wystawione na działanie wiatru. Wyglądało na to, że jednak nikt tu nie mieszkał.

Wrócił do Szolc i opowiedział jej, co widział i słyszał.

– Najwyraźniej Ciesielski przerzucił się z polowania na nielegalną wycinkę drzew.

Bednarski przyznał jej rację.

Przejechali dalej i zaparkowali przed bramą Ciesielskiego. Szolc zaczęła szukać dzwonka, a Bednarski od razu ruszył w stronę dość długiego pola, które łączyło ogród z rosnącym niedaleko laskiem. Aspirant był pewny, że

z każdym krokiem dźwięk rąbania jest coraz wyraźniejszy, dlatego nie zatrzymał się, gdy Szolc go zawołała.

– Bednarski, co ty robisz!?! – krzyknęła, lecz on udał, że nie słyszy.

Dopiero po kilkunastu krokach zorientował się, że całe buty ma w błocie, którego z każdym krokiem przybywało. Szolc dalej stała przed bramą. Znalazła już dzwonek, a gdy nacisnęła go drugi raz, Bednarski usłyszał wołanie jakiejś starszej kobiety.

– Mariusz! – To imię wykrzyknięte najprawdopodobniej przez matkę Ciesielskiego rozniosło się echem po okolicy. Odgłos rąbania nie ustawał.

Spróbowała drugi raz, a gdy syn się nie zjawił ani nic nie odkrzyknął, starsza kobieta wyszła na podwórze i oparła się o chropowatą szarą ścianę.

– Tak? – rzuciła tylko.

– Dzień dobry, podkomisarz Kamila Szolc z Komendy Wojewódzkiej Policji. Możemy porozmawiać?

– Właśnie to robimy – odparła kobieta takim tonem, jakby rozmawiała z nielubianym sąsiadem lub świadkami Jehowy.

– Mogę wejść?

– A nie słyszy mnie pani? – odburknęła oschle, dając tym samym do zrozumienia, że policja nie jest u niej mile widziana.

– Czy jest w domu pani syn, Mariusz Ciesielski?

– Nie.

– A dopiero co go pani wołała.

Szolc sądziła, że kobieta odpowie „właśnie dlatego, że w domu go nie ma”, lecz nie usłyszała odpowiedzi, a jedynie kasznięcie, po którym kobieta splunęła gęstą flegmą w kałużę tuż obok.

– Więc mogę wejść?

– Nie wydaje mi się, żeby była taka potrzeba.

– A gdzie znajdę pani syna?

– Dorosły jest, nie odpowiadam za niego.

– Nie o to pytałam – odpowiedziała Szolc, wiedząc już, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Nawet się nie zdziwiła, gdy zobaczyła, że kobieta zniknęła za rogiem budynku i zaraz potem zatrzasnęła drzwi.

Miała nadzieję, że Bednarskiemu pójdzie lepiej.

Aspirant wszedł między drzewa i po kilku kolejnych krokach zorientował się, że odgłos rąbania nagle ustał. Zatrzymał się więc i nadstawił uszu, lecz słyszał tylko szum drzew i uderzenia pojedynczych kropeł o ostatnie liście na wyschniętych gałęziach.

Zrobiło się ciemniej niż jeszcze kilka minut temu. W oddali widać było burzowe chmury, znów zaczęło padać. Zbliżał się zmierzch, lecz jakby większymi krokami niż zwykle.

Spojrzał na zegarek. Dopiero minęła siedemnasta.

– Panie Ciesielski? – zawołał, zagłębiając się coraz bardziej między drzewa.

Nie widział już za sobą domu ani stojącego przed nim radiowozu. Przed sobą nie dostrzegał żadnego prześwitu. Las pochłaniał aspiranta coraz bardziej.

Bednarski złapał za krótkofalówkę, lecz się zawahał. Nie odczepił jej od paska. Miał ochotę odezwać się do podkomisarza, ale to mogłaby być oznaka słabości, a nie chciał jej w żaden sposób okazać.

– Jest pan tam? – odezwał się ponownie i znów nie uzyskał odpowiedzi.

Odnalazł wzrokiem ścieżkę ze swoich kroków, których odciski zostawiał na wilgotnej ściółce. Zamiast jednak wrócić własnym śladem, skręcił w lewo i ruszył w stronę domostwa podejrzanego, bo miał jednak nadzieję spotkać go po drodze.

Minęła może minuta, gdy natknął się na świeży pień po ściętym drzewie z wyraźnymi śladami po siekierze. Bednarski rozglądał się i dostrzegł jakiś cień, który zdawał się go obserwować.

– To pan? – odezwał się od razu, chcąc dać znać, że go widzi, lecz cień nagle zniknął. – Będziemy się teraz bawić w podchody? – zapytał zrezygnowany.

Ruszył w stronę, gdzie widział samotną postać między pniami.

Zdawało mu się, że z każdym krokiem las gęstnieje. Nie miał ze sobą latarki, a gałęzie krzaków rozgarniał pałką. Cały czas też trzymał drugą dłoń nad kaburą z wysłużonym waltherem P99, ale miał nadzieję, że nie zostanie zmuszony, żeby go użyć.

Jeszcze raz zawołał mężczyznę. Las gęstniał, a Bednarski oddalał się od miejsca orientacyjnego, skąd w linii prostej powinien dotrzeć do budynku.

Na mapie las wydawał się o wiele mniej rozległy. Aspirant nie sądził, że będzie musiał go przemierzać. Sięgnął wolną dłonią po krótkofalówkę. Już chciał jej użyć, gdy nagle poczuł na karku ukłucie zimnego stalowego ostrza.

Malwina przeczekała chwilę, przestępując z nogi na nogę. Musiała zebrać myśli i jednocześnie nie dać się zauważyć – zarówno Tomaszowi, jak i tamtej kobiecie. Dziwiła się, że on ją zna. Dopiero po chwili zrozumiała, że to mogło być przypadkowe spotkanie, że mogło chodzić o psa, o potrącenie, o cokolwiek.

Dorabiasz zbędne teorie, pomyślała, uzmysławiając sobie, że w jakiś dziwny sposób jest o Tomasza zazdrosna. Widziała go zaledwie kilka razy, a mimo to nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Nie przeszkadzało jej, że jest starszy. Wręcz przeciwnie – był to dla niej atut, wiedziała, że żaden chłopak w jej wieku nie da jej ani prawdziwego oparcia, ani stabilności emocjonalnej, a tej właśnie teraz bardzo potrzebowała.

Malwinie imponował jakiś cichy sposób bycia Tomasza, spokojne spojrzenia, przyjemny głos, stanowczy chód, wyprostowana postawa, nawet zarost. Podobał jej się. Musiała to przed sobą przyznać. Podobał jej się, lecz nie miała pojęcia, co dalej z tym zrobić.

Postanowiła teraz się nad tym nie zastanawiać, a jedynie poczekać na kolejne spotkanie. Rozmawiała już z policją, ale nie uzyskała żadnych informacji, którymi mogłaby się podzielić z Tomaszem, dlatego na razie się do niego nie wybierała. Poza tym nie chciała być nachalna. Widzieli się wczoraj, więc wizyta następnego dnia byłaby raczej nie na miejscu.

Poszła w końcu za kobietą, która powłóczyła nogami i nigdzie się nie spieszyła. Była kilkanaście metrów przed Malwiną. Łatwo było ją obserwować. Kobieta nie oglądała się za siebie. W pewnym momencie zeszła na błotnistą dróżkę i po chwili przepadła gdzieś w zaroślach.

– Gdzie ona jest? – szepnęła Malwina do Fibi, zastanawiając się, jak kobieta mogła tak nagle zniknąć.

Dopiero po chwili dostrzegła wąski wyłom w betonowym płocie otaczającym ogrody działkowe. Podeszła i zajrzała przez szczelinę. Dostrzegła

domek pośrodku małej działki. Okna były zasłonięte, więc nie dało się niczego przez nie zobaczyć. Malwina sądziła jednak, że kobieta weszła do środka, inaczej usłyszałyby uderzenie zardzewiałej furtki o metalowy słupek. Prowadziła na wąską ścieżkę, ciągnącą się w głąb innych zarośniętych i brudnych działek. Wszystkie w tym miejscu wyglądały na opuszczone.

– I co robimy? – zwróciła się znów do Fibi, która grzecznie stała przy jej nodze.

Malwina nie miała pewności, czy powinna iść dalej za kobietą. Nie wiedziała, po co właściwie ją śledziła. Zaintrygowały ją słowa aspiranta, który przekonywał Malwinę, że kobieta kłamała na temat dziecka. Ciekawa była, dlaczego to zrobiła.

W końcu przeszła przez szczelinę. Dość nieporadnie, bo była wąska. Fibi poradziła sobie z nią znacznie lepiej.

Obeszła budynek. W rogu działki stało kilka metalowych klatek. Porastała je wysoka pożółkła trawa, której źdźbła tworzyły teraz swoistą jesienną falę, zamykającą się powoli nad zardzewiałymi prętami.

Po drugiej stronie budynku znalazła drzwi – drewniane, zmurszałe, bez klamki, za to z kłódką wiszącą na wbitym w ścianę, zakrzywionym gwoździu.

Zapukała.

– Dzień dobry – zawołała niepewnie.

– Kto tam? – Ktoś zapytał zza drzwi zachrypniętym głosem.

Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć, kim jest.

– Rozmawialiśmy niedawno – odparła po chwili zastanowienia. – W parku – dodała. – Rozmawialiśmy o pani synu.

– O co chodzi?

Musiała poczekać kilka sekund, zanim kobieta pchnęła drzwi i stanęła w progu.

Malwina szybkim spojrzeniem omiotła pomieszczenie za nią. Pierwsze, co się rzucało w oczy, to gazety i kartony, którymi wyłożone były ściany i okna. Spod nich wyzierał styropian i stare szmaty. Stanowiły jednak jakieś uszczelnienie, bo w środku było zdecydowanie cieplej niż na zewnątrz.

– Mogę wejść?

– Po co?

– Chciałam tylko porozmawiać.

Malwina była przekonana, że kobieta będzie równie zamroczona co wtedy podczas rozmowy. Sądziła, że to jakaś choroba otepiająca zmysły. Tymczasem mówiła normalnie. Miała niepewny krok i dość mętne spojrzenie, nieco opuchniętą twarz, ale jej usta bez trudu wymawiały słowa, a postawa zdradzała co najwyżej niewyspanie.

– O czym?

– O pani synu.

Kobieta pokręciła głową, ale zaprosiła Malwinę do środka.

Weszła i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

Pierwsze pomieszczenie stanowiło swego rodzaju przedsionek, gdzie zalegały jakieś śmieci, mniej lub bardziej przydatne w takich polowych warunkach, i do tego napoczęty worek suchej karmy dla psów.

Przywiązała Fibi do wystającego ze ściany haka, jakby specjalnie do tego przeznaczonego. Nie chciała, żeby coś przewróciła albo uciekła, choć nie wyglądała na wystraszoną. Malwina także nie czuła się niepewnie, w dziwny sposób obecność w tym miejscu wcale jej nie przerażała.

– Bardzo mnie przejęła pani opowieść – powiedziała, patrząc, jak kobieta podchodzi do stalowej kozy, stojącej w rogu pomieszczenia. Zaczęła wkładać do niej połamane patyki i karton i po chwili to podpaliła. Widać było migotanie białych płomieni.

– Dlaczego? Nie znasz mnie.

– Zawsze możemy się poznać. Malwina jestem. – Wyciągnęła do niej rękę, uznając, że to dobry moment, żeby dowiedzieć się, jak kobieta ma na imię.

– Agnieszka – rzuciła tamta, nawet na nią nie patrząc.

– Miło mi. – Sądziła, że ona odpowie to samo, ale się pomyliła.

Kobieta wpatrywała się w płomień. Grzała się i pilnowała, żeby ogień nie zgasł. Przygotowywała się na noc, która właśnie zapadała.

Malwina tymczasem wycofała się do przeciwległej ściany, gdzie stała stara zdezelowana komoda bez jednej szuflady. Dwie pozostałe były wysunięte. W dolnej spoczywały jakieś ubrania, natomiast w górnej Malwina dostrzegła spięty wsuwką do włosów plik zdjęć.

– Mogę? – spytała, lecz nie uzyskała odpowiedzi.

Sięgnęła więc po zdjęcia i zaczęła je przeglądać. Nie było ich wiele. Wszystkie natomiast przedstawiały dziecko w objęciach kobiety. Małe, na jednym zdjęciu może kilkudniowe, na innym – kilkumiesięczne. Malwina domyślała się, że to Agnieszka je trzyma, lecz wszystkie miejsca, na których dałoby się ją rozpoznać, zostały oddarte lub zamazane.

Pośliniła palec i delikatnie potarła jedno zdjęcie. Tusz częściowo dał się zetrzeć. Widać było zde gustowaną minę Agnieszki, która patrzyła z odrazą na trzymane w ramionach dziecko, jakby nie było człowiekiem, lecz kawałkiem psującego się mięsa.

– To pani syn? – spytała.

Kobieta skinęła głową, sięgając nagle do kieszeni. Wyjęła z niej pudełko lekarstw. Wzięła dwie tabletki i połknęła bez popijania. Zaraz potem zażyła coś jeszcze.

– Co się z nim stało? – Wiedziała już, że to nie on został znaleziony w parku, więc była tym bardziej ciekawa tej historii.

– Już mówiłam.

– Nie wydaje mi się.

Malwina ukucnęła obok, żeby się nieco ogrzać. Płomień w piecyku nie był zbyt duży, nie dawał też wiele ciepła, lecz przyjemnie było się przy nim znaleźć. Nie wyobrażała sobie jednak, jak można było przeżyć w ten sposób nie tylko noc, ale być może i całą zimę.

– Od dawna tu pani mieszka?

– Od dwóch lat.

– Z czego właściwie pani żyje? – drążyła. – Pracuje pani?

Kobieta pokręciła głową.

– Przed porodem wyrzucili mnie z pracy – wyznała. – Nie chcieli mi dać urlopu.

– To przykre.

– Chamstwo... Tak jakbym chciała ich okraść. Żadnego zrozumienia. A ja nawet nie chciałam tego dziecka.

– Jak to? – Nie rozumiała.

– Nigdy nie chciałam zachodzić w ciążę, a mąż i siostra cały czas mnie przekonywali. Zmusili. – Kobieta zaczęła gestykulować, czym zaskoczyła

Malwinę. Z otepiałej stała się nagle energiczna. – Grozili, że dziecko to wszystko, co mi kiedyś pozostanie. A potem i tak wszystko straciłam. Najpierw pracę, potem dziecko, aż w końcu męża.

– Co się z nim stało?

– Odwrócił się ode mnie. Bo ja nadal nie chciałam tego dziecka. A ono... zniknęło. Przeze mnie.

Malwina nie potrafiła tego wszystkiego złożyć w logiczną całość.

– Zniknęło? – W tym momencie mogła jedynie zadawać kolejne pytania i czekać, aż kobieta doprecyzuje swoje słowa, zanim leki zaczną działać.

– Odeszło. Ktoś je porwał. Rozpłynęło się. Nie wiem. To nie ma żadnego znaczenia.

– Dlaczego właściwie mówiła pani, że to właśnie pani syna znaleziono tam w parku? – Miała nadzieję, że nie wytrąci jej tym pytaniem z równowagi.

– Taką miałam nadzieję.

– Że zostało zabite? – Nie zdążyła ugryźć się w język.

Kobieta spojrzała na nią, ale bez wyrzutu. Ze łzami w oczach.

– Że się odnalazło – odpowiedziała. – Lepsze to niż wieczna niepewność.

Malwina pokiwała głową, udając, że rozumie.

Bednarski długo nie wracał, a właścicielka domu już ani razu nie pojawiła się w polu widzenia. Szolc zadzwoniła jeszcze raz do furtki, lecz nic to nie dało.

– Chcemy tylko porozmawiać z pani synem – krzyknęła, znów naciskając dzwonek.

Wróciła do radiowozu i sięgnęła po krótkofalówkę. Już miała wezwać aspiranta, gdy usłyszała warkot silnika gdzieś za sobą. W lusterku zobaczyła czarne zdezelowane audi, które zaparkowało tak, żeby zablokować radiowóz.

– No pięknie... – bąknęła i wyszła na zewnątrz.

Z audi wysiadło trzech facetów. Każdy z nich palił, każdy miał na sobie dresy. Wyglądali niechlujnie, jakby ubierali się w pośpiechu. Wtedy Szolc zrozumiała, że to nie był przypadek. Wezwała ich matka Ciesielskiego albo i on sam, gdy zobaczył radiowóz.

– Jakiś problem? – odezwał się ten, który stanął najbliżej Szolc.

– Żadnego.

– Więc o co chodzi? – spytał drugi, sięgając dłonią do kieszeni. Szolc miała nadzieję, że nie chowa tam noża, choć było to bardzo prawdopodobne.

Bednarski, kurwa, gdzie ty jesteś?! – zakląła w myślach, wierząc, że kolega zaraz się pojawi. Znów sięgnęła do paska i chciała chwycić krótkofalówkę.

– Nie radzę – uprzedził ten najroślejszy.

– Spokojnie, nie mam zamiaru wyjmować broni, nie ma przecież takiego powodu – uspokoiła go.

– Broń, pałka, cokolwiek. Ręce przy sobie.

– Takie teksty zostawcie lepiej mnie, dobrze? – odgryzła się, ale zawahała nad dokończeniem ruchu. – Nic się nie dzieje, przyjechaliśmy tylko porozmawiać. Jeśli jest wśród was Mariusz Ciesielski, to super. Jeśli nie, to możemy się spokojnie rozejść.

– Nie wydaje nam się. Czego od niego chcesz?

– A co, jesteście jego ochroną? Macie jakieś legitymacje? – Wyjęła swoją, zanim zdążyli zareagować. Zauważyła, że spięli się i jak na komendę wyprostowali. To zawsze dobrze działało. – Podkomisarz Kamila Szolc z Komendy Wojewódzkiej Policji. Proszę nie utrudniać i darować sobie wszelkie groźby.

– Groźby? – zaśmiał się jeden z nich, splatając ramiona na piersi. – Nie chcemy ci grozić. Mamy tylko jedną prośbę. Żebyś stąd wypierdalała. Co ty na to?

Szolc się skrzywiła.

– Przykro mi, ale mam tu coś ważnego do załatwienia. Nie z wami, tylko z Mariuszem Ciesielskim. Znacie go? – Próbowała ich jakoś podejść.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Wiecie może, gdzie go znajdzie? – brnęła dalej.

– Z tego, co mi wiadomo, to wyjechał.

– Gdzie?

– Niech się zastanowię... – Ten najśmielszy udawał, że drapie się po koziej bródce, której nie miał. – Daleko. Bardzo daleko. Gdzieś, gdzie go, kurwa, nie znajdziecie.

– Nie rozumiecie mnie – wycedziła, patrząc, jak dwóch z nich zaczyna okrążyć radiowóz. – Chcemy z nim tylko porozmawiać.

Miała ochotę dodać, że o nic go nie podejrzewają, ale to byłoby kłamstwo. Mieli przecież zamiar zabrać Ciesielskiego na komendę i ostro przesłuchać.

– O czym chcecie rozmawiać tym razem?

Tym razem? – powtórzyła w myślach Szolc.

Domyślała się, że po poprzedniej akcji Ciesielski zapewnił sobie ochronę. Tylko nie rozumiała, jak zgraja dresów miałaby ich powstrzymać.

Chyba że... Dają w ten sposób Ciesielskiemu czas. Czas na ucieczkę. Sięgnęła szybko po krótkofalówkę i odezwała się do Bednarskiego. W tym samym momencie dopadło do niej dwóch typków.

– No co jest?! – warknęła ostro. Zrobiła stanowczy krok w ich stronę. Zbiła ich tym z tropu. Przystanęli i nieco się zmieszali. To dało Szolc szansę na

wezwanie Bednarskiego i sięgnięcie po pałkę. Na ten widok nieco spotulnieli, lecz ich szef zaszedł ją z boku.

– Myślisz, że możesz tak tu sobie bezkarnie przyjeżdżać? – wycedził jej prosto do ucha.

Cofnęła się do drzwi radiowozu, chcąc mieć przed sobą nieco przestrzeni. Po chwili zagroziła typkowi pałką.

– Radzę się odsunąć. Poza tym nie wiecie, po co tu jesteśmy.

Wszyscy się zaśmiali, jakby doskonale wiedzieli, co Ciesielski zmalował i że można go było za to zwinąć w każdej chwili. Dlatego zdziwili się, gdy nagle pojawił się na podwórzu z siekierą w ręku.

Bednarskiego przeszedł dreszcz, kiedy poczuł ukłucie ostrza. Zdawało mu się, że po karku spływa mu kropla krwi, lecz równie dobrze mógł to być pot.

– Nie ruszaj się – wysyczał przez zaciśnięte zęby Ciesielski.

Nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować, dlatego zamarł w bezruchu i czekał. W jednej dłoni miał krótkofalówkę, w drugiej pałkę. Nie mogła się jednak równać z siekierą, której ciężar wciąż czuł na karku.

– Spokojnie – odparł Bednarski. – Chcę tylko porozmawiać.

– To na chuj ci ta pała?

– Nie mam zamiaru jej użyć. Schowam ją teraz – uprzedził, chcąc zwolnić dłoń, lecz Ciesielski mu na to nie pozwolił.

– Nie tak szybko. – Sięgnął do jego kabury. Odpiął ją nieporadnie, lecz zanim zdążył wyciągnąć broń, Bednarski dostrzegł, że opuścił siekierę. Zanim tamten chwycił za rękojeść walthera, aspirant zamachnął się i trafił go pałką w żebra.

– Kurwa! – zawył Ciesielski. Nie udało mu się zamachnąć siekierą, zwłaszcza że uderzenie w żebra pozbawiło go tchu.

Aspirant wiedział więc, że ma jeszcze sekundę lub dwie. Drugi cios wymierzył w brzuch. Ciesielski zgiął się wpół, wypuścił ze świstem powietrze i zrobił krok do tyłu. Zachwiał się, lecz po chwili udało mu się unieść siekierę na wysokość twarzy. Mimo to nie miał jak zaatakować. Aspirant znów był szybszy. Uderzył go pałką w dłoń, którą trzymał trzonek narzędzia. Ku zdziwieniu aspiranta nie wypuścił go, a jedynie poczerwieniał na twarzy i zaklął głośno.

– Może jednak porozmawiamy nieco spokojniej? – spytał aspirant, chowając w końcu krótkofalówkę i zaciskając dłoń na rękojeści pistoletu. Ciesielski wymownie spojrzał w tamtą stronę, jakby w końcu miał zamiar się poddać. Aspirant dostrzegł krople potu na jego czole i to, że drżały mu ręce.

Pewnie ze stresu i z zimna. Miał na sobie tylko sweter. Wraz z nadejściem zmierzchu znacznie się ochłodziło.

Ciesielski był już starszym mężczyzną z dużymi zakolami, gęstą brodą sięgającą torsu i wychudzoną sylwetką.

Bednarski dostrzegł, że Ciesielski zbiera siły. Facet nachylił się, jakby chciał wziąć rozbieg i bykiem zaatakować policjanta.

– Naprawdę nie radzę – ostrzegł aspirant, robiąc dwa kroki do tyłu. W razie czego wolał mieć więcej czasu na wycelowanie i zastanowienie się, czy na pewno strzelać.

Mężczyzna spiął mięśnie. Aspirant chwycił rękojeść broni, lecz Ciesielski nie zaatakował, tylko rzucił się biegiem między drzewa.

– Kurwa! – zaklął Bednarski, ruszając za nim.

Przedarł się przez zarośla, za którymi tamten jakby się rozplynął. Aspirant nie zatrzymywał się, ale po kilkunastu kolejnych krokach zorientował się, że nie ma pojęcia, dokąd właściwie pobiegł Ciesielski.

– Cholera... – zaklął pod nosem, po czym szybkim krokiem skierował się w stronę podwórza. Może po minucie trafił na resztki ogrodzenia z siatki, którą już dawno temu zjadła korozja. Wszędzie walało się jakieś żelastwo.

Kilkanaście metrów od domu, na granicy drzew, stała dość duża drewnutnia. Aspirant podszedł do niej i gwałtownie otworzył rozklekotane drzwi. Wymierzył z walthera, lecz pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć wielu pił do drewna i metalu, a także pociętych już na fragmenty blach i rur, które leżały przy ścianach zamknięte w workach.

Nigdzie jednak nie było Ciesielskiego.

Bednarski wyszedł więc na zewnątrz i zakradł się pod dom. Zajrzał ukradkiem przez okno, słysząc odgłosy rozmowy. Nie dochodziły jednak ze środka, lecz sprzed bramy. Zamarł na sekundę, nasłuchując, po czym ruszył w tamtym kierunku. Minął róg budynku i stanął na wprost wjazdu na posesję.

Wtedy ujrzał scenę, której w ogóle się nie spodziewał. Podkomisarz stała otoczona przez trzech zdecydowanie agresywnych mężczyzn. Czegoś od niej chcieli, mówili podniesionym głosem, gestykulowali, a napięta postawa Szolc zdradzała, że jest gotowa do odparcia ewentualnego ataku. Ten jednak nie nastąpił, bo wszyscy patrzyli teraz na Ciesielskiego, idącego w ich stronę.

Szolc zdziwiła się, widząc przed domem Ciesielskiego, który dzierżył w dłoni siekiere. Jeden z agresorów zaśmiał się na jego widok, drugi wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu. Wiedzieli, że policjantka teraz już zupełnie nie będzie miała z nimi szans. Sama też zdała sobie z tego sprawę. Nie miała wyjścia, musiała zaatakować pierwsza, zanim prawdziwy przywódca dołączy do swojej grupy. Zanim jednak sięgnęła po broń, zza budynku wyłonił się Bednarski.

– Już myślałem, że... – zawołał ten stojący tuż obok niej, lecz zawahał się, kiedy dostrzegł policjanta.

Szolc odetchnęła z ulgą. Bała się, że coś się Bednarskiemu stało, ale na szczęście nie wyglądał na rannego. Za to jego zdeterminowana mina zdradzała, że doszło już do konfrontacji.

Zanim ktokolwiek zdążył ostrzec Ciesielskiego, Bednarski dopadł do niego i go uderzył. Mężczyzna krzyknął, lecz chyba bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Nie udało mu się zachować równowagi i runął na ziemię, a wtedy Bednarski uderzył go po raz drugi. Ciesielski klęczał teraz na ziemi. Aspirant wykręcił mu ramiona, wyrwał z dłoni siekiere i odrzucił daleko w bok. Nim facet się zorientował, miał już na nadgarstkach kajdanki, a na karku silny uścisk dłoni, co pozwoliło Bednarskiemu zaprowadzić zdezorientowanego Ciesielskiego do radiowozu.

Chyba jeszcze bardziej zaskoczeni byli jego kumple, którzy z niedowierzaniem obserwowali, jak policjant w jednej chwili obezwładnia ich kumpla, jakby ten w ogóle nie potrafił się bronić. Złość i zdeterminowanie Bednarskiego były zdecydowanie silniejsze od wszelkich prób oporu.

– Pierdol się! – krzyknął Ciesielski, lecz słowami niewiele mógł teraz zdziałać. Mimo to próbował, choć nie miał już żadnych szans.

– Przesuń się! – krzyknął Bednarski do najwyższego faceta, stojącego tuż przy radiowozie, i wepchnął Ciesielskiego na tylne siedzenie.

– Zostaw go, ty... – zaczął, lecz Bednarski przyłożył mu pałkę do gardła i pchnął go z całej siły.

– Coś mówiłeś? – huknął, wiedząc, że przez najbliższą minutę raczej nie wykrztusi z siebie nawet słowa.

Reszta odsunęła się, jakby kapitulacja Ciesielskiego była znakiem, że i oni muszą odpuścić. Bednarski wiedział jednak, że mogą się za chwilę otrząsnąć.

Wsiadli szybko do radiowozu. Aspirant wycofał. Wjechał w rów, omal nie potrącając przy tym jednego z agresorów, po czym odjechał błotnistym poboczem, syjąc na prawo i lewo żuzłem.

Szolc spojrzała w lusterko. Nadal tam stali, patrząc na siebie z niedowierzaniem i konsternacją.

– Średnio ogarnięci ci twoi kolesie – zawołała do Ciesielskiego. – Co nie? – zwróciła się do Bednarskiego i dopiero wtedy dostrzegła jego drżące ręce i krople potu na czole. – Wszystko okej? Kuba? – rzuciła, po raz pierwszy od dawna używając jego imienia zamiast nazwiska lub stopnia.

– Wszystko dobrze – odparł, mocno zaciskając dłonie na kierownicy. – A u pani podkomisarz? – wydusił.

– Na pewno mogło być gorzej – przyznała, po czym spojrzała na Ciesielskiego.

Siedział pochylony na tylnym siedzeniu i milczał. Była pewna, że będzie się odgrażał, próbował oswobodzić ręce, ale zamiast tego potulnie czekał na to, co miało się wydarzyć.

Tomasz zapisał adres i godzinę umówionego spotkania. Mężczyzna był bardzo niechętny, ale ostatecznie zgodził się chwilę porozmawiać. Mieli się spotkać za trzy godziny. Postanowił w tym czasie zrobić zakupy, bo akurat przechodził obok supermarketu, a potem wrócił na zaplecze saloniku. Tam zjadł byle jaki obiad i zajął się przeglądaniem ogłoszeń w grupach na Facebooku. Oczywiście znalazł już to, co chciał, lecz nie miał pewności, czy dowie się czegoś ciekawego. Warto było szukać dalej.

Gdy miał już wychodzić, przypomniał sobie, żeby sprawdzić powiadomienia w telefonie. W ciągu ostatnich dwóch godzin zalała go fala wiadomości od Beaty, których naprawdę nie chciał czytać. Ale musiał je chociaż przejrzeć, żeby dowiedzieć się, czym skończył się jej kolejny napad złości. Ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że nie powinien wracać jeszcze do domu.

– Daj mi, kurwa, święty spokój! – zaklął pod nosem, po czym cisnął jakąś pustą puszką o podłogę. Miał ochotę rzucić czymś jeszcze, ale nie chciał straszyć Qui-Gona.

Mężczyzna, z którym się skontaktował, mieszkał w kamienicy przy Częstochowskiej. Tomasz ucieszył się, że czekał na niego przed wejściem, bo dzięki temu nie musiał wchodzić do tego obskurnego budynku.

– Pan Lipiński? – Tamten odezwał się pierwszy. Tomasz zdziwił się, że w ogóle zapamiętał jego nazwisko i go rozpoznał.

– Owszem – odparł. Chciał się przywitać, lecz mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach i zdawało się, że nie ma zamiaru ich wyciągać.

– Więc o co chodzi? – zapytał nieuprzejmie.

Tomasz stał dwa kroki od niego i wyraźnie czuł zapach alkoholu i papierosów. Od razu stwierdził, że jednak pomylił adresy, bo ktoś taki nie tylko nie mógł mieć rasowego psa, lecz prawdopodobnie nigdy nie zajmował się żadnym zwierzęciem.

– Słyszał pan o tym morderstwie w parku?

– A co ja mam z tym wspólnego?

Tomasz sądził, że mężczyzna od razu domyśli się, o co chodzi.

– Nie tylko ciało tam znaleziono.

– Koleś, o co ci chodzi?

– O to, że w parku zakopano ciało dziecka i ciała psów. Czyli nie słyszał pan o tym? – podniósł głos, bo nie wiedział już, jak to normalnie wytłumaczyć.

Tomasz był z natury spokojny, lecz niekiedy zdarzało mu się wybuchnąć. Z wycofanego i zamkniętego w sobie człowieka stawał się nerwusem, który mógł wybuchnąć w najmniej oczekiwanym momencie.

– Nie – odparł mężczyzna, robiąc nagle krok do tyłu. – I że niby co, ja Bolka zabiłem?

– A czy ja coś takiego powiedziałem? – wściekł się Tomasz, a jego złość dodawała prawdziwości wypowiedzanym słowom.

Zorientował się, że w ogóle nie powinien tu przychodzić. Lepiej było przekazać te informacje policjantom, choć był przekonany, że nic by z tym nie zrobili.

– Chodzi mi o to – zaczął łagodniej – że szukam odpowiedzi na pytanie, co się stało z tymi psami. Z pana psem i kilkoma innymi, które znaleziono zakopane tam w parku.

– A na chuj to panu wiedzieć?

– A na to, że to mój pies odkopał te zwłoki i mam przez to, kurwa, problem, bo mnie po komendach ciągną i wypytyują.

– I co mnie to?

Tomaszowi opadały już ręce.

– Spokojnie, nie chcę, żeby i pana ciągnęli, ale zamiast mnie mogła tu teraz przyjechać policja. Robię panu przysługę, okej?

– Jesteś psem? – spytał, znów się cofając. Spojrzał przy tym na wyżła, przez co pytanie zabrzmiało dość kuriozalnie.

– On panu nie odpowie – odparł Tomasz, głaszcząc Qui-Gona po głowie. – Ale nie, nie jestem. Oni nie przeszliby połowy miasta w poszukiwaniu ogłoszeń. I na pewno nie trafiliby na pana kartkę.

– Mojej córki – poprawił go.

– Mniejsza o to. Tak czy siak, policja raczej się tu do pana nie zgłosi, o ile nie podam im pana adresu. Ale nie zrobię tego, żeby nie sprawiać panu kłopotów. Okej?

Tamten pokiwał głową.

– Sam szukam odpowiedzi na pytanie, co się właściwie stało. Dlatego przyszedłem do pana. – Mówił powoli i wyraźnie, żeby tamten wszystko zrozumiał. Patrzył na niego uważnie, ale gość milczał. – Co się stało? – powtórzył, bo chyba nie załapał.

– Ale co? – Wyciągnął papierosa z pomiętej paczki. – Uciekł i tyle.

– Pana córce?

– Tak, była na spacerze i jej się wyrwał. Pobiegnął za kimś czy coś.

– Czy coś? – zdziwił się Tomasz. – Nie pytał pan dokładnie, jak to się stało?

– Ja tam w dupie tego psa miałem. Dobrze, że uciekł. Dałem za niego dwie stówki, a tylko wiecznie problem z nim był.

– Dawno temu go pan kupił?

– Ja wiem, miesiąc może minął.

– Czyli był już dorosły?

– No wiadomo, szczeniak by tylko srał po dywanie, na takie coś bym się nigdy nie zgodził.

Czyli kradziony, pomyślał.

– Ile córka ma lat?

– A jakie to ma znaczenie?

Tomasz domyślał się, że może mieć, i to wielkie.

– Pewnie z dziesięć, skoro pies potrafił jej się wyrwać?

– Julka ma osiem, w sumie masz rację, nie powinna go sama wyprowadzać. Szkoda psa.

Raczej szkoda córki, pomyślał Tomasz. Tak czy siak, powinien się facet cieszyć, bo może temu, co porwał psa, wcale nie o niego chodziło.

– Gdzie właściwie jej się wyrwał?

Facet zastanawiał się chwilę, dopalając papierosa. Jeszcze go nie zgasił, a już ręka wędrowała mu w okolice kieszeni, w której miał paczkę.

– Gdzieś tu niedaleko. Mówiła, że już wracała do domu, gdy nagle ktoś wystraszył Bolka.

– Wystraszył? – zaciekawił się Tomasz.

– Tak, podobno ktoś szedł i coś powiedział czy chciał pogłaskać psa. Cholera wie. Co za różnica?

– Mógłbym z nią porozmawiać?

– Z kim? – zdziwił się facet, jakby nie wiedział, o czym była mowa.

– Z pana córką.

– Chyba cię, koleś, pojebało! – Znow przybrał złowrogi wyraz twarzy i wyprostował się, jakby gotów to ataku.

– Tylko bym ją spytał o...

– Weź już stąd spierdalaj! – powiedział i zgniół peta na betonowej płycie chodnika. – Czego ty właściwie chcesz? W detektywa się bawisz czy co?

– Ktoś musi, skoro policja ma to w dupie. A pana córka mogłaby pomóc w sprawie.

– Kurwa, co ja powiedziałem?! Julki w to nie mieszaj.

– Ale to, co widziała...

– Dobra, wypierdalaj! – krzyknął tamten, a w jednym z okien kamienicy nagle ktoś się pojawił. Zaraz potem zniknął, żeby kilka sekund później stanąć w drzwiach.

– Mogłaby naprawdę pomóc w... – zaczął jeszcze raz, ale wtedy facet zrobił szybki krok w jego stronę, zaciskając pięści. Tomasz wycofał się i dopiero kilka metrów dalej obejrzał za siebie. Tamci dwaj stali i uśmiechali się chytrze, a Tomasz krzyknął: – Tak czy siak, dzięki za informacje.

Oddalił się pospiesznie, a gdy znalazł się już na dobrze oświetlonej ulicy, gdzie poczuł się nieco pewniej, wyjął telefon. Wybrał numer do aspiranta Bednarskiego, z którym wcześniej rozmawiał, i na wstępie rzucił:

– Znam kogoś, kto widział sprawcę.

Kilka godzin później Ciesielski siedział już w małym szarym pomieszczeniu i czekał na przesłuchanie. W tym momencie nie tylko był podejrzany w sprawie o morderstwo siedmioletniego Michała Radlińskiego i o znęcanie się nad zwierzętami, lecz także miał zostać oskarżony o napaść z bronią w ręku na funkcjonariusza.

– Wiesz, że to, co dzisiaj zrobiłeś, stawia cię w bardzo niekorzystnym położeniu? – spytała Szolc, gdy w końcu poszła do niego wraz z prokuratorem.

Reszta zespołu stała za lustrem obserwacyjnym, w tym także komisarz Morawiec. Był purpurowy na twarzy. Nie mógł znieść tego, że mieli już podejrzanego, a jemu nie udało się go schwytać przez tyle lat.

Ciesielski popatrzył na Szolc zmęczonym wzrokiem, który mówił, że ma pełną świadomość tego, co zrobił i jakie to będzie miało konsekwencje. I prawdopodobnie tego nie żałował. Raczej był z siebie dumny.

– Po co to zrobiłeś? – spytał prokurator. – Co ci to dało?

Wzruszył ramionami.

– Poza tą akcją nic na mnie nie macie – odezwał się w końcu.

– Mamy twoje odciski palców z miejsca zdarzenia.

Dopiero te słowa go zaskoczyły.

– I dopiero teraz sobie o nich przypomniaлиście?

Nie zrozumieli go, ale milczeli, dając mu pole do popisu.

– Przecież to stara sprawa – stwierdził, po czym przełknął głośno ślinę. Nagle się wkurzył. – Wcale się nie dziwię, że w tym państwie tak chujowo się dzieje, skoro wy ślady znajdujecie po takim czasie.

Szolc z prokuratorem spojrzeli na siebie pytająco.

– Taka prawda – dodał, widząc ich miny.

– Czyli przyznajesz się, że tam byłeś?

– Ja do niczego się nie przyznaję.

– W zasadzie nawet nie musisz, odciski palców wystarczą – zawyrokował prokurator, choć to nie do końca była prawda.

– Ale nie żeby mnie zamknąć.

– Już teraz grozi ci proces poszlakowy, a z niego się raczej nie wywiniesz – straszyl dalej prokurator. – Tym bardziej że nie masz czystego konta, więc moim zdaniem proces będzie tylko formalnością. Posiedzisz sobie już naprawdę długo.

– Jak długo?

Prokurator udał, że się zastanawia, chcąc zbudować napięcie.

– Wydaje mi się, że już nigdy nie wyjdiesz z pierdła – odparł, opierając się o blat stołu i nachylając w stronę mężczyzny. – Więc radziłbym ci się do wszystkiego przyznać, to może jeszcze kiedyś zobaczysz niebo nie przez kraty.

Ciesielski zadrzał.

Podkomisarz Szolc ucieszyła się, że mężczyzna będzie jednak współpracować.

– Może nawet zobaczysz jeszcze swoją matkę – dodała, splatając ręce na piersi i piorunując go wzrokiem. – Nie na widzeniu, ale u niej w domu. Pomyśl o tym.

Ciesielski zmienił się nie do poznania. Z agresywnego, nieustraszonego zbója stał się nagle przestraszonym, zgarbionym facetem, który boi się podnieść wzrok.

– Więc albo opowiesz wszystko po kolei, albo będziemy inaczej rozmawiali – oświadczył złowrogo prokurator.

– Dobra, powiem, jak było – burknął po kilkunastu sekundach milczenia. – Może w końcu ksiądz mnie rozgrzeszy.

Szolc omal nie parsknęła śmiechem, słysząc te słowa.

– Szukała go pani? – dopytywała się Malwina. – To miało miejsce gdzieś w parku, na placu zabaw?

Kobieta musiała się chwilę zastanowić, zanim odpowiedziała.

– To było tutaj – odparła w końcu. – Wyszłam z domu, bo już nie mogłam słuchać tego całego pieprzenia. Kazali mi wziąć go ze sobą. Nie chciałam, ale uparli się, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Stwierdziłam, że może pochodzić po ogrodzie, bo przecież jest zamknięty. Wróciłam po niego wieczorem.

– Wieczorem?

– Tak, przecież nie mogłam z nim cały czas siedzieć.

– Ale dlaczego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie mogłam – powtórzyła. – To było ponad moje siły. Prosiłam ich, żeby się nim zajęli, ale nie chcieli.

Malwina zauważyła, że kobieta w ogóle nie używa imion. Ani męża, ani siostry. Ani syna, co było najdziwniejsze, jakby w ogóle mu imienia nie nadano.

– To oni kazali mi tu przyjść – dodała jeszcze, jakby to ich obwinięła za zniknięcie dziecka.

– Mąż nie chciał się nim zajmować?

– Twierdził, że ja powinnam.

– To okropne.

– Kazał mi na nie patrzeć. Kazał mi go dotykać. To rzeczywiście było – zadrżała – okropne.

Malwina nie znała się na psychologii, lecz podejrzewała, że to musiała być depresja poporodowa. Bywały takie przypadki, że matka nie chciała się

zajmować dzieckiem. Zaraz po porodzie albo wcale. W przypadku Agnieszki depresja zapewne nigdy się nie skończyła.

– Dlaczego w takim razie zgodziła się pani na ciążę?

– Zmusił mnie.

– Niby jak?

– Psychicznie.

– Od znęcania psychicznego nie można zejść w ciążę.

Malwinę powoli zaczynało irytować to, co mówiła kobieta.

– Ale można w ten sposób człowieka zniszczyć i nim manipulować – odparła rzeczowo. – Złamał mnie. Miałam nadzieję, że gdy mu się poddam, to będzie lepiej. Ale teraz już wiem, że nigdy nie mogło być lepiej. Jedynie gorzej. Zrozumiałam to za późno.

– Nigdy nie znaleziono pani syna?

Pokręciła głową.

– A w ogóle szukano?

– No oczywiście! – Udała, że się oburza, a Malwinę zakłóła w oczy sztuczność tej reakcji. – Bardzo długo szukali Rafała.

Malwina zaczęła się zastanawiać, czy on na pewno istniał, czy przypadkiem kobieta go sobie nie wymyśliła, próbując stworzyć podstawy własnej choroby, w co wciągnęła także rodzinę.

– Zgłosili to na policję.

– I nic to nie dało?

– Dziś miałby siedem lat – mruknęła w zamyśleniu. – Przez ten czas z pewnością wydarzyłoby się jeszcze wiele nieszczęść.

– W jaki sposób go szukano?

Kobieta udała, że – wziąć kilka głębokich oddechów przed odpowiedzią.

– No... Policja szukała. Długo.

– I zupełnie nic nie znaleźli?

Znowu pokręciła głową.

– Ja... po jakimś czasie, gdy... – Zamilkła, a Malwina sądziła, że chciała powiedzieć „gdy zaczęło mnie gryźć sumienie”. – Zaczęłam rozklejać ogłoszenia. Też chciałam się w to wszystko włączyć. Ale zawsze następnego

dnia ktoś te ogłoszenia zrywał i zabierał ze sobą. Nie było ich w śmieciach. Myślę, że robił to mój prześladowca. Może właśnie wtedy się pojawił, może wtedy zaczęłam zauważać jego działania. Sama już nie wiem.

– Potem sprawa ucichła? Nic więcej się nie wydarzyło?

– Tylko ten cień nie przestawał mnie prześladować.

Zmęczyła ją ta rozmowa. Malwina nie potrafiła pomóc tej kobiecie, szczególnie że leki zaczęły już działać i znów stała się otepiała. Przestała się odzywać. Zdawała się nawet nie dostrzegać, że dziewczyna zbiera się do wyjścia, a potem opuszcza budynek. Malwina postanowiła ją zostawić sam na sam z własnymi myślami.

– Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży – zawołała już za progiem, ale kobieta nic nie odpowiedziała.

Wróciła do mieszkania. Od razu zdjęła z siebie wszystko i czym prędzej weszła pod prysznic. Potem przebrała się w czyste dresy i usiadła na kanapie. Właśnie drapała Fibi za uchem, kiedy naszła ją pewna myśl. Sięgnęła po telefon i wpisała w wyszukiwarkę kilka fraz, starając się znaleźć informacje o poszukiwaniach jakiegokolwiek Rafała. Do północy przeglądała wszystkie ogłoszenia o zaginionych osobach z dwa tysiące osiemnastego roku, bo wtedy, jeśli wierzyć słowom Agnieszki, zaginął jej syn. W końcu przejrzała pobieżnie także poprzedni rok, potem następny, lecz niczego nie znalazła. Nie trafiła na żadną informację o zaginionym w tamtym czasie dziecku. Może gdyby znała jego nazwisko, byłoby łatwiej szukać, niemniej wychodziło na to, że kobieta albo ją okłamała, albo nie mówiła jej całej prawdy.

Cała rozmowa była nagrywana. Szolc ścisnęła w dłoni notatnik, ale była podekscytowana, więc zamiast notować, wołała uważnie słuchać słów Ciesielskiego.

– Czyli jak to się stało? – spytał prokurator, gdy Ciesielski milczał przez kilkanaście sekund, zbierając myśli i rozważając, czy ma się przyznać.

– W sumie nie planowaliśmy tego.

– Z kim?

Ciesielski westchnął głośno.

– Jechałem wtedy z moim bratem, Krystianem.

– To jeden z tych pod twoim domem? – zapytała Szolc, zaciekawiona.

Skinął głową.

– Wracaliśmy od znajomego. Ciemno już było, ja wiem, jakaś dziewiąta dochodziła. Trochę... – ugryzł się w język.

– Co takiego?

– Trochę wypiliśmy. Niewiele, może litra na trzech. Ja to prawie tego nie poczułem, Krystian tym bardziej, dlatego to on prowadził. Jakies pięć kilometrów przed zjazdem zobaczyliśmy, że ten... – tu chciał zapewne przekląć, ale ostatecznie się powstrzymał – Kamiński jechał rowerem przy drodze. Na początku zatrzymaliśmy się i chcieliśmy pogadać. Dopiero co wyszedłem z pierdła i chciałem go zapytać, po co to zrobił, dlaczego wsypał własnego sąsiada. To, że mu psa kropnąłem, to nie znaczy, że ma teraz na mnie donosić. Nie zawsze się dobrze dogadywaliśmy, ale, no kurwa, wiadomo, jak jest. Trzeba się trzymać razem, no nie?

– Do sedna – ponaglił go prokurator.

– Tak, wiadomo. No i on... Nie wiem już, co my mu tam mówiliśmy, ale on w końcu zaczął spierdalać, gdy podeszliśmy i chcieliśmy mu zajebać rower. Gdyby miał wracać na pieszo do domu, toby trochę skurwielił

spokorniał. Ale jakoś nam się wyrwał i uciekł. No to żeśmy zaraz za nim pojechali, nie będzie nas przecież obrażał. Krystian... On go tak lekko tylko walnął. Chciał o koło zahaczyć, wywalić go. Ale traf chciał, że źle wymierzył. Może jednak mu ta wódka mocniej wtedy weszła. Nie wiem, bo potem już nawet o tym nie gadaliśmy. Widzieliśmy, jak ten... wjechał do rowu i spieprzyliśmy. Potem się dowiedzieliśmy, że znaleźli go martwego w tym rowie. Na samochodzie to nawet rysy nie było, nie wiem, jak to się stało, że facet kopnął w kalendarz. No ale stało się. Żona mu zmarła jakieś dziesięć lat temu, to potem dom stał pusty. Nie miał dzieci. Ludzie pozabierali co cenniejsze rzeczy. Długo się tym nikt nie interesował, bo podobno Kamiński też był pijany i wszyscy stwierdzili, że sam wjechał do rowu i się zabił. Walnął głową o kamień czy coś. Już nie pamiętam. A może zmarł z wyziębienia? Bo to chyba zimą było. Jak on zmarł? – spytał.

Szorc naprawdę chciałyby móc mu odpowiedzieć. Jeszcze bardziej jednak miała ochotę wstać i cisnąć krzesłem o ścianę.

Aspirant Bednarski wrócił do domu zmęczony jak nigdy. Incydent z Ciesielskim na tyle mocno go zdenerwował, że naprawdę potrzebował chwili wytchnienia. Gdy zobaczył twarz swojej żony, domyślił się, że nie będzie mu to dane.

– Cześć, kochanie – powiedział i pocałował ją w policzek.

Siedziała na kanapie w salonie, wpatrywała się tępo w ekran. Nie odpowiedziała nic, a przede wszystkim nawet na niego nie spojrzała.

– Po co to zrobiłeś?

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Wreszcie dotarło do niego, że żona ma na myśli dzisiejszą akcję. Dzwonił przecież do niej, żeby opowiedzieć, co się stało, i wyciszyć trochę swoje emocje. Żona była najbardziej zaufaną osobą, mógł jej powierzyć każdy sekret, nawet ten dotyczący pracy. Potrafiła go pocieszyć, podnieść na duchu jak nikt inny, umiała skomentować coś na tyle celnie, że Bednarski czasem zastanawiał się, czemu nie pracuje razem z nim w firmie.

– To moja praca – odpowiedział oschle.

– Miałeś uważać.

– Naprawdę sądzisz, że da się wszystko zaplanować? – prychnął rozdrażniony. Wyjął piwo z lodówki, otworzył i wziął dwa szybkie łyki. – Trzeba działać szybko. Czasem musimy improwizować. – Specjalnie użył liczby mnogiej, żeby podkreślić, że jego dzisiejsza akcja naprawdę nie była indywidualnym zrywem. Zwykle działali z pełnym zabezpieczeniem i na pewno nie w pojedynkę.

– Czasem wydaje mi się, że wcale mnie nie kochasz.

Westchnął ciężko.

– Przecież wiesz, że...

– Wiem, że nie musisz aż tak ryzykować.

– „Aż tak”? Złapanie podejrzanego to ważna sprawa. To moja praca – powtórzył. – Poza tym to nie było „aż takie” ryzyko. Zwykła sprawa.

Justyna pokręciła głową w odpowiedzi.

– Boję się, że kiedyś do mnie zadzwonią i powiedzą, że... – Głos jej się załamał. – Że znów chciałeś kogoś zatrzymać, ale tym razem ten ktoś był silniejszy, szybszy. Cokolwiek. Że...

Usiadł obok niej. Odstawił piwo na stolik i chciał objąć Justynę, ale się odsunęła.

– Jak będziesz robił takie rzeczy, to z całą pewnością kiedyś zadzwonią. Albo przyjdą tu, staną w drzwiach i nie będą wiedzieli, jak to powiedzieć. A ja od razu się domyślę, co się stało.

– Przesadzasz – powiedział tylko, bo nie miał pojęcia, co mógłby więcej dodać. Teraz wiedział, że niepotrzebnie wspominał jej o akcji z Ciesielskim. Justyna miała nieco racji. Cały czas pamiętał jednak jedną z ich pierwszych rozmów. Wtedy, gdy dopiero zaczęli się spotykać, a on był zwykłym funkcjonariuszem. Zapytał ją, czy na pewno potrafi żyć ze świadomością, że każdego dnia coś może mu się stać. Odpowiedziała, że tak, że zniesie wszystko, byleby tylko mogli być razem. Dobrze pamiętał tę rozmowę, lecz Justyna najwyraźniej o niej zapomniała.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie wstała i bez słowa poszła do sypialni. On też się podniósł, ale tylko sięgnął po piwo i wygodniej rozsiadł się na kanapie. Wiedział, że teraz i tak niewiele działo. Lepiej było odpuścić i poczekać, aż Justyna trochę się uspokoi.

Wziął kolejny duży łyk i zmienił kanał. Włączył lokalną stację, chcąc sprawdzić, czy będą coś mówili o ich aktualnej sprawie i czy może będzie go gdzieś widać w tle. Bardzo to lubił.

– Jestem głodny! – zawołał Marcin, gdy zauważył, że ktoś wszedł do pomieszczenia obok. Gandalf od razu zaczął szczekać, był zapewne również głodny i spragniony jak jego pan. Dostali wczoraj po misce wody i kilkanaście kulek suchej karmy, ale nic poza tym.

Ktoś podszedł i znów rzucił mu w twarz cuchnące żarcie.

– Chcę stąd wyjść! – krzyknął Marcin, lecz na nic się zdały jego słowa. Ten ktoś kopnął tylko mocno klatkę i wyszedł.

Marcin patrzył na kulki, które przyłgnęły do mokrych od moczu desek. W końcu wziął jedną i przełknął szybko. Poczłł odruch wymiotny, ale udało mu się go jakoś powstrzymać. Po chwili zebrał resztę i zjadł je po kolei, wiedząc, że musi to zrobić. Nie miał już siły, od rana czuł, że myśli mu się mącą, przytomniał tylko wtedy, gdy słyszał jakiś hałas.

Gorzej było z drugim chłopcem. Cały czas spał. Był blady i wcale się nie ruszał.

– Pomocy! – zawołał znów Marcin, lecz nikt go nie słyszał. Nikt nie chciał, a może nie mógł mu pomóc. – Proszę! Chcę stąd wyjść!

Znów ten ktoś stanął przed klatką. Twarc miał owiniętą szalikiem, na głowę zarzucony kaptur. Marcin widział jedynie ziejące pustką oczy, w tym wzroku nie było ani odrobiny litości.

– Chcę wrócić do domu... – załkał. – Ja chcę do pani Doroty.

Postać milczała. Marcin znów poczuł na twarzy uderzenie kilkunastu kulek. Część poleciała na podłogę klatki, część poza nią.

Skrupulatnie pozbierał wszystko i zaczął jeść. Zapatrzył się w postać, która podeszła teraz do klatki z Gandalfem. Ukucnęła tuż przed nim, a pies zaczął warczeć złowrogo. Miał jeszcze mniej miejsca niż Marcin, nie mógł swobodnie stanąć. Nie szczekał, tylko skomlał. Wyszczерzone kły wyglądały na ostre, lecz Gandalf nie miał już siły być agresywny. Otworzył pysk

i wystawił język niczym w upale. Chciał zapewne zrobić wrażenie na swoim kacie, lecz brakowało mu energii.

Oprawca wyjął w pewnym momencie długi kuchenny nóż i niespodziewanie dźgnął psa przez pręty klatki.

– Gandalf! – wrzasnął Marcin. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

Zakapturzony oprawca zadał jeszcze dwa szybkie ciosy. Pies kulił się w rogu klatki i pisał z bólu.

– Przestań! – wrzasnął Marcin. Zaczął szarpać za pręty klatki, próbował ją przewrócić, odnajdując w sobie ostatnie pokłady siły.

Zdawało się, że oprawca go nie słyszy.

Nagle otworzył drzwiczki i zaczął dźgać psa raz po raz, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. Zadawał ciosy w szyję, w brzuch, w łapy, którymi Gandalf próbował się osłonić. Nie miał jednak żadnych szans. Na podłodze rosła coraz większa kałuża śmierdzącej, parującej krwi. Dotarła aż do Marcina, który nie potrafił oderwać wzroku od gasnących oczu psa. On też patrzył wprost na niego. Smutnym, wręcz przeprasającym wzrokiem, jakby wiedział, że to przez niego się tutaj znaleźli.

– Gandalf... – powtórzył chłopiec, gdy psu opadły już powieki, a ciało stało się zupełnie bezwładne.

Oprawca nie przestawał jednak dźgać. Wrzeszczał na cały głos, zagłuszając uderzenia ostrza o kości, odgłos rozcinanej skóry, mięsa. Krew bryzgała na boki, lecz teraz już mniej intensywnie. Ciało psa przypominało miazgę, kończyny i głowa ledwo trzymały się korpusu, który został podziurawiony tyłoma ciosami, że nie wyglądał już, jakby należał do zwierzęcia.

Oprawca odpuścił po dziesięciu minutach. Był cały zalany krwią. Stał w purpurowej kałuży. W pewnym momencie zanurzył w niej dłoń, napawając się swoim dziełem.

W końcu wyprostował się i odetchnął głęboko. Wszedł i zostawił Marcina samego, omdlewającego z przerażenia. Chłopiec nie mógł złapać oddechu, ale nawet nie próbował. Czuł tak wielki ból, że nagle wszystko stało się obojętne. Chęć przeżycia uciekła wraz z ostatnim oddechem Gandalfa.

17 października

Za każdym razem, gdy Szolc patrzyła na Morawca, miała wrażenie, że ten za chwilę roześmieje jej się prosto w twarz. Powinien to zrobić, mieliby już za sobą te wszystkie irytujące spojrzenia.

– Ja od razu mówiłem, że on nie pasuje do portretu psychologicznego – przypomniał, gdy spotkali się u niej całym zespołem. – To mężczyzna lub kobieta w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, osoba bezdzietna, najprawdopodobniej rozwiedziona, aspołeczna, doskonale znająca teren. Nie na Widzewie, ale na wybrzeżu. Skąd ten idiota miałby się tam w ogóle znaleźć?

– Mógłby być tam na wakacjach – wtrącił Bednarski.

– Z kim?

– Sam, z matką.

– Wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że głupotą byłoby wierzyć w taki scenariusz.

– Głupotą jest nie brać pod uwagę śladów i nie szukać za ich pomocą podejrzanych – huknęła Szolc, bo miała już dosyć Morawca. Wiedziała, że nie popełniła błędu, może co najwyżej za wcześnie zaczęła się cieszyć. Tak czy siak, rozwiązali sprawę, którą dawno temu ktoś spieprzył. Zabito człowieka, a ktoś uznał, że był to nieszczęśliwy wypadek. Jedna śmierć została więc wyjaśniona. Przypadkiem, ale to zawsze coś. – Proponuję nie opierać się na tym, co nam się wydaje, ale na tym, co wiemy.

– O to mi właśnie chodzi – przyznał Morawiec. – Trzeba się oprzeć na przygotowanym przez naszego profilerę portrecie psychologicznym nieznanego sprawcy, zamiast niepotrzebnie ufać domysłom. Tylko o to proszę – dodał, widząc złowrogie miny Szolc i Bednarskiego.

– Może warto przygotować nowy, lepszy portret – zaproponował aspirant, co sprawiło, że Morawiec wstał i po prostu wyszedł.

– On serio to zrobił? – zdziwiła się aspirant Gawron, a Szolc pokręciła tylko głową z niedowierzaniem.

– Dobra, możemy już przynajmniej zacząć normalnie pracować. – Wyjęła z teczki profil, o którym wspominał Morawiec. Nie twierdziła, że jest niepotrzebny. Wręcz przeciwnie, mógł im naprawdę pomóc. Ale do tego obecność komisarza nie była konieczna. Wystarczyło, że go przywiózł, choć prawdę mówiąc, równie dobrze mógł go wysłać mailem.

– Z tego, co ustalił gdański psycholog, profiler Mariusz Ostrowski, sprawca musiał doskonale znać teren, na którym się poruszał. Mieszkał w pobliżu, pracował tam albo tam wypoczywał. Na pewno miejsce to znajdowało się na jego szlaku komunikacyjnym, na którym zapewne bywał także po dokonaniu zbrodni. Sprawdzone wszystkich, którzy później tam biegali lub uprawiali jakieś sporty, lecz nie trafiono na nikogo interesującego – podsumowała kilka akapitów, których nie chciało jej się teraz w całości czytać. – Zbrodni dokonano dokładnie tam, gdzie znaleziono ciało. Nie zostało przemieszczone, sprawca udusił dziecko i zostawił je w miejscu, w którym upadło. Nie zamaskował ciała, jak czynią przestępcy seksualni, a wiemy też, że chłopiec nie został zgwałcony.

– U nas było niemal identycznie, z wyjątkiem tego, że nie wiemy, czy ciało na pewno nie było przemieszczane – wtrącił się Bednarski, a psycholog Zalewska potwierdziła to skinieniem głowy. Na razie zbierała jeszcze materiały. Pracowała nad osobnym profilem, wykorzystując wyłącznie materiały i ślady z ich podwórka, ale na zakończenie prac należało jeszcze trochę poczekać.

– To racja. Ciało zostało zakopane, ofiara nie została zgwałcona. Ukryto je dokładnie, lecz znów w miejscu często uczęszczanym. Mamy park, ale blisko ruchliwej ulicy, w pobliżu osiedla i przystanków autobusowych oraz tramwajowych. To zapewne okolica pracy lub miejsca zamieszkania sprawcy. Musiał tam często bywać, doskonale znał to miejsce. Wiedział, jak i kiedy ukryć ciało, żeby nikt go nie złapał na gorącym uczynku. Być może w Gdańsku ktoś go spłoszył. Albo jeszcze nie miał wprawy i nie wiedział, co zrobić z ciałem, więc od razu zakopał je w piasku.

– Z pewnością była to jego pierwsza ofiara – wtrąciła się Zalewska.

– Kolejnym razem dobrze zamaskował ciało, choć nie na tyle, żeby nie dało się go odnaleźć. Sprawca wiedział już, co ma zrobić, żeby nie został złapany. Możliwe, że był wcześniej karany.

– Dlatego Ciesielski naprawdę był ważnym podejrzanym – dodał Bednarski.

Facet wyparł się, jakoby miał cokolwiek wspólnego ze zbrodnią w parku nad Jasieniem. Oczywiście należało to jeszcze dokładnie sprawdzić, lecz Szolc nie sądziła, żeby jeden mężczyzna popełnił tak różne zbrodnie. Odpowiedział już za kłusownictwo, wraz ze swoim bratem odpowiedzialnością za nieumyślne spowodowanie śmierci, lecz z pewnością nie był poszukiwanym przez nich sprawcą. Teraz już była tego pewna.

– Wiemy, że od chwili śmierci do momentu zakopania ciała nie minęło wiele czasu. Możliwe, że zostało pochowane od razu, a dopiero po czasie ktoś umieścił nad nim ciało psa. On sam mógł być swego rodzaju wabikiem, mającym ujawnić zbrodnie. Co więcej wiemy o samym sprawcy? – zwróciła się do Zalewskiej.

– Nie wiemy jeszcze, czy to mężczyzna, czy kobieta. Z pewnością jest dość wątłej postury, nie ma wiele siły. Ofiary zostały uduszone, lecz w przypadku dzieci łatwiej byłoby skrócić kark, a do tego nie doszło. Na razie nie mam nic więcej – zakończyła zawiedzionym tonem.

– Przeanalizowaliśmy już informacje dotyczące wszystkich osób, które były karane i mieszkają w promieniu pięciu kilometrów od parku, lecz nic nam z tego nie wyszło. Nawet biorąc pod uwagę tylko te elementy, i tak mamy sporo – powiedziała tonem, który zdradzał, że sama w to nie wierzy.

Morawiec znów palił na balkonie i nikt nie miał zamiaru mu w tym przeszkadzać. Oprócz licznych reporterów, którzy pojawili się już od rana pod komendą. Celowali obiektywami w komisarza, więc musiał chować się za wąską ścianą, żeby nie trafić na łamy jakiegoś brukowca. Nie powinien w ogóle im się pokazywać, ale chęć zapalenia była zdecydowanie silniejsza.

– Jak oni się dowiedzieli, że mamy podejrzanego? – spytała Edyta, wyglądając ukradkiem przez okno w gabinecie Szolc.

Stojący obok aspirant Bednarski wzruszył ramionami.

– Cały czas ktoś tutaj czatował. Jak przywieźliśmy skutego Ciesielskiego, to od razu inni podłapali temat. W końcu całe miasto czeka na rozwiązanie tej sprawy.

– Racja, rodzice mają już dość siedzenia z dziećmi w domach i chcieliby znowu móc spokojnie chodzić na plac zabaw. – Edyta zaśmiała się, lecz w jej

słowach było sporo prawdy. Na mieszkańców Łodzi padł blady strach. Wcale się nie dziwiła, że place zabaw opustoszały. Oczywiście sporo osób o sprawie w ogóle nie usłyszało, ale media starały się to zmienić.

Bednarski dostrzegł dwie ekipy telewizyjne. Zastanawiał się, na co właściwie czekały. Ogłoszono już, że konferencja prasowa z udziałem prokuratora odbędzie się w południe, lecz dziennikarze jakby w to nie wierzyli.

– I tak ich wszystkich rozczarujemy – stwierdziła Edyta, wycofując się spod okna.

– Chyba że do południa znajdziemy prawdziwego sprawcę – odparł Bednarski. – Albo Ciesielski przyzna się, że to jednak on. Bo średnio wierzę w te jego wyjaśnienia dotyczące odcisków z butelek.

– Wiesz, to park. Daleko od jego domu, który zapewne rzadko opuszczał, ale w tym koszu było kilkadziesiąt różnych odcisków. Gdyby przeanalizować wszystkie kosze w parku, toby się może okazało, że połowa miasta wyrzucała tam śmieci, z czego część była już za coś karana.

– Ale akurat on też tam musiał być? Karany za znęcanie się nad zwierzętami facet z Widzewa pije z kolegami piwo, a potem wyrzuca śmieci obok miejsca zbrodni? Niemal w centrum miasta?

Edyta rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Mam nadzieję, że jeszcze to jakoś wyjaśnimy. I tak zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, a facet będzie miał proces. Cholera wie, może jutro dostanie zawału i uniknie jakiegokolwiek kary.

– A to śmierć nie byłaby karą? – Bednarskiego zdziwiły jej słowa.

– Śmierć to nieodłączny element życia. Jak oddychanie, jedzenie, sranie. Wszyscy umrzemy. Ale nie wszyscy pójdziemy siedzieć. Dlatego lepiej, żeby jednak przeżył i poczuł choć odrobinę cierpienia, które sam zadał.

– Może trafi do piekła i tam za wszystko odpowie.

– Żeby sprawiedliwości stało się zadość, my musimy widzieć jego cierpienie. Inaczej nasza praca jest chuja warta.

Bednarski pokiwał poważnie głową. Edyta bez wątpienia miała rację.

Kobieta znów siedziała na ławce i zdawała się na coś czekać. Rozglądała się, aż w końcu jej wzrok spoczął na Malwinie.

– Dzień dobry – zawołała dziewczyna z uśmiechem, który dziś wyjątkowo trudno było jej przywołać na twarz. Dzwoniła rano do Doroty. Chciała spytać, czy wiadomo cokolwiek o Marcinie, lecz zdawało się, że nadzieja już umarła. Wszystkie łódzkie media pisały o jego zaginięciu, poszukiwania cały czas trwały. Pies tropiący szukał śladów, policja działała dzień i noc, a mimo to nie trafiono na żaden ślad.

W domku panował grobowy nastrój. Niektóre dzieci zaczęły moczyć się w nocy, miały koszmary. Bały się wychodzić nie tylko za ogrodzenie, ale także na podwórze. Opiekunowie nie spuszczaali ich z oczu nawet na sekundę i pozwalali nie chodzić do szkoły tym, które nie chciały. Starsze dzieci radziły sobie lepiej, bo uważały, że one ani by się nie zgubiły, ani nie dały się porwać.

Chyba nikt już nie wierzył w to, że Marcin się znajdzie.

– Jak się dziś czujesz? – spytała, przechodząc na „ty”. Tak było łatwiej, a nie sądziła, żeby kobiecie robiło to jakąkolwiek różnicę.

– Nijak – odparła, co Malwinę i tak ucieszyło. Sądziła, że tylko wzruszy ramionami i w ogóle nic nie odpowie.

– Brałaś dziś leki?

– Jeszcze nie.

– Czemu?

Agnieszka spojrzała jej głęboko w oczy.

– Lubię poranki. Zawsze dobrze się czułam nad ranem, lubiłam to orzeźwiające powietrze, krzyki ptaków, mgłę i ten charakterystyczny chłód. Ale razem z tymi przyjemnymi powiewami przychodzi coś jeszcze.

– Co takiego? – zainteresowała się.

– Trudno powiedzieć. Widuję ją od lat. Chodzi za mną. Patrzy na mnie. Zawsze z daleka.

– Ale co?

– Ta postać.

Malwina nie rozumiała. Kobieta wskazała gdzieś w bok.

– Dopiero co tam stała.

– Jak wygląda? – Malwina stwierdziła, że niezazywanie leków nie jest jednak dobrym rozwiązaniem.

– Nosi czapkę nasuniętą na brwi. Usta ma zakryte jakimś szalem, ciemny, długi do ziemi płaszcz. Z daleka widzę tylko jej czerwone oczy, bo reszta rozmywa się w tle. Potrafi znikać i pojawiać się w najmniej oczekiwanych momentach.

Malwina nie była pewna, czy Agnieszka przypadkiem nie opowiada jej jakiegoś horroru, który widziała przed laty.

– Dlaczego ta postać cię śledzi?

– Też bym chciała to wiedzieć. Wydaje mi się, że to jakiś demon przeszłości. Jest podobny do mnie, wiesz? – Znów spojrzała jej prosto w oczy, a Malwina nie potrafiła znieść tego intensywnego spojrzenia. – Ale nie wiem, co to może znaczyć. To ja z przeszłości czy z przyszłości?

Malwina nawet nie chciała się nad tym zastanawiać.

– I ten demon był tu dzisiaj?

– Tak, stał tam, między drzewami. Patrzył na mnie i czekał na coś. Czasem czuję na sobie jego wzrok, nawet gdy go nie widzę. W nocy, gdy wyglądam przez okno. To dlatego je zakleiałam.

Malwina była pewna, że chodziło o zatrzymanie ciepła w pomieszczeniu, ale po tym, co Agnieszka mówiła, już nic nie wydawało jej się dziwne.

– Rozmawiałaś z nim kiedyś?

– We śnie.

– I co powiedział?

– Krzyczał. Napadł na mnie.

– No to musisz z nim walczyć.

– Zawsze powtarzano mi to samo. Że muszę stawić czoło problemom i demonom przeszłości.

– Tak, musisz je zwalczyć.

– Siłą?

– Jeśli nic innego nie pomoże, to siła będzie niezbędna – odparła, chociaż nie dało się walczyć fizycznie z czymś, co nie istniało.

– Wiele razy zastanawiałam się, jak by to było, gdyby Rafał cały czas był przy mnie. Wydaje mi się, że jego życie nie miałoby sensu, tak samo jak moje. Zmarnowałabym mu je. Więc może mimo wszystko dobrze się stało.

– Tęsknisz za nim?

Agnieszka spuściła głowę.

– Chciałabym móc spróbować – przyznała. – Nie wiem, jak by to było. Ale teraz, po tych wszystkich latach, żałuję tego, co się stało. Tak, tęsknię – powiedziała, spoglądając na nią. Malwina dostrzegła w jej oczach łzy. Szczere, bolesne. – I codziennie pokutuję za to, co zrobiłam. Czy raczej za to, czego nie zrobiłam.

Malwina miała ochotę ją objąć, ale się nie odważyła. Milczała, a po kilku minutach wstała i oddaliła się, gdy kobieta wzięła już swoją dawkę leków.

Miała nadzieję, że Tomasz będzie w saloniku, gdy podejdzie do niego na kawę. Nie pomyliła się. Rozkładał na półce świeżą dostawę gazet. Wzrok Malwiny od razu spoczął na dużym czerwonym nagłówku.

– „Kto czyha na porzucone dzieci?” – przeczytała głośno, podchodząc. – Widzę, że szukanie taniej sensacji nigdy się nie skończy.

– Czemu taniej? – zdziwił się Tomasz. – To realne zagrożenie.

– Tylko po co aż tak straszyć?

Malwina wzięła gazetę i spojrzała na pierwszą stronę. To był lokalny brukowiec, który pisał o wszystkim i o niczym, dlatego teraz mógł poświęcić tej sprawie aż pięć kolumn.

Dostrzegła zdjęcie domu dziecka, w którym pracowała. Jeden z pracowników udzielił gazetce krótkiego wywiadu na temat działania placówki i zasad w niej panujących.

– Zaczęło się... – mruknęła posępnie, po czym spojrzała na Tomasza. Dopiero wtedy dostrzegła, że ma podbite oko. – Boże, co się stało?

– Nic takiego – odparł szybko, jakby tylko czekał, kiedy będzie mógł odpowiedzieć tak wymijająco.

– Oko ci się raczej samo nie podbiło.

– Raczej nie. Mówię jedynie, że nie ma to większego znaczenia.

Malwina podeszła bliżej do Tomasza.

– Przykładałeś jakiś lód albo coś?

– Jasne. Na pewno niedługo mi to zejdzie.

– Klientów sobie wypłoszysz – zażartowała, cały czas stojąc blisko niego. Naprawdę się zmartwiła. Szkoda jej było Tomasza i jednocześnie była ciekawa, co się stało. Ale nie chciała naciskać.

Zrobiła w końcu krok do tyłu i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że przez kilkanaście sekund, podczas których spoglądała mu prosto w oczy, w ogóle nie oddychała.

Gdyby nie panikowała na samą myśl o umówieniu się z nim, z pewnością mogłaby stanąć tuż przy nim. Bardzo tego chciała. Pytanie tylko, czy on też.

– Wszystko okej? – spytał, gdy nagle ich spojrzenia znów się spotkały.

– No pewnie.

Zajęła się czytaniem. W artykule nie było w zasadzie niczego, co nie byłoby już jej wiadome. Pracownik Zielonego Domu Dziecka chciał chyba zachować anonimowość, bo rozmazano mu twarz na zdjęciu. Po sylwetce Malwina od razu rozpoznała Krzysztofa, który zawsze miał parcie na szkło.

Prawie zamknęła gazetę i odłożyła ją na miejsce, gdy mignęło jej w tekście imię „Tomasz”. Przyjrzała się dokładniej.

Sprawę zgodził się skomentować także pan Tomasz, który miał bezpośredni udział w odnalezieniu zwłok w parku. To jego pies myśliwski wyczuł, że coś jest nie tak, a gdy zaczął kopać, okazało się, że wcale nie szukał smakołyku”.

„Wezwana zaraz potem policja zabezpieczyła teren, więc zostałem od sprawy odsunięty, ale to dobrze. Była zbyt makabryczna, musieli się nią zająć profesjonaliści”, tłumaczył naszemu reporterowi pan Tomasz. „Okazało się jednak, że policja pomija niektóre ślady, jak chociażby odnalezione zwłoki psów. Dla nich najważniejsze stało się ciało dziecka, a przecież nie można zamykać oczu na inne elementy układanki. Dlatego postanowiłem sam je

sprawdzić. Posiadam dokładną listę znalezionych w parku nad Jasieniem ciał, wszystkie psy uciekły swoim właścicielom, a straż miejska nie zanotowała żadnego zaginięcia. Natomiast pobliskie schroniska odnotowały wizyty niektórych właścicieli, którzy szukali swoich psów. Robili to jednak ukradkowo, czasem z pomocą sąsiadów, pod pretekstem adopcji szukali swojego pupila, bez przyznawania się, że to właśnie im się pies zgubił”.

– Skąd to wszystko wiesz? – zdziwiła się. Zaskoczył ją udział Tomasza w tym tekście.

– Wystarczyło powęszyć tu i tam.

– Domyślam się, że właśnie w ten sposób zarobiłeś to limo. – Wyraz jego twarzy utwierdził ją w tym, że zgadła. – Odwiedziłeś któregoś z właścicieli tych psów?

– Śledzisz mnie? – spytał zdziwiony.

Dopiero gdy się zaśmiał, zrozumiała, że raczej żartuje.

– No oczywiście – odparła niepewnie, także siląc się na uśmiech. – Chcę cię mieć cały czas na oku – rzuciła, jak sądziła, zalotnie. – Czyli nie powiesz mi, co się stało?

Wstydził się tej sytuacji. Sam nie do końca wiedział, czy zrobił dobrze, skoro taki był tego efekt.

Skontaktował się z policją i powiedział, do jakich informacji dotarł. Późnym wieczorem czekał nieopodal kamienicy przy Częstochowskiej. Policja pojawiła się jakieś piętnaście minut po godzinie, na którą się umówili. Tomasz z każdą minutą stresował się coraz bardziej. Już miał zrezygnować i odpuścić, ale postanowił dociągnąć sprawę do końca.

Przyjechał aspirant Bednarski – zmęczony i zdenerwowany. Tomasz chciał z nim chwilę pogadać, ale ten od razu przeszedł do rzeczy. Zadzwonili do tamtego mężczyzny i poprosili o szybkie spotkanie. Wyszedł bardzo niechętnie, a gdy zobaczył radiowóz, szybko schował się z powrotem do klatki schodowej. Bednarski wraz z innym funkcjonariuszem poszli za nim i bez problemu trafili pod drzwi mieszkania.

Po kilku minutach wrócili.

– Twierdzi, że nie ma pojęcia, o co chodzi, i nic nie wie o żadnym psie, a jego córka nikogo nie widziała – wyjaśnił Bednarski, kierując się w stronę

radiowozu. – Przykro mi.

Tomaszowi zabrakło słów, nie wiedział, jak to skomentować.

– Tak to zostawicie? – spytał w końcu, podbiegając do nich.

– Nie mamy innego wyjścia. Dziękujemy za informację, ale w tym momencie nie zrobimy nic więcej.

Ręce mu opadły.

– Kurwa, jego córka prawdopodobnie widziała osobę, która odpowiada za morderstwa. Bez różnicy, czy chce współpracować, czy nie. Musi.

Bednarski popatrzył na niego nieprzychylnym wzrokiem.

– Jutro odbędzie się konferencja, na której nie będzie się już pan musiał o to martwić.

– Macie go? – domyślił się.

Policjant wzruszył ramionami, ale Tomasz dostrzegł delikatny uśmiech na jego twarzy.

– Bardzo możliwe.

– Tak czy siak, ona mogłaby to jakoś potwierdzić albo... – Wskazał na budynek, chcąc podkreślić swoje słowa i dać im do zrozumienia, że powinni tam wrócić. Wtedy dostrzegł stojącego przy drzwiach mężczyznę.

– Dostał wezwanie na komendę, jak się nie stawi, to wtedy będziemy się martwić.

– Naprawdę uważa pan, że się pojawi?

– Zobaczymy – odparł Bednarski, po czym odjechali.

Tomasz zdążył się odwrócić, kiedy poczuł mocne uderzenie w twarz.

– Odpierdol się ode mnie i od mojej rodziny! – krzyknął facet.

Tomasza zamroczyło. Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Poczował, że upada. Wykonał dwa kroki w tył, oparł się o ścianę, która pomogła mu utrzymać się w pionie. Słyszał, że tamten coś do niego mówi, lecz nie rozumiał ani słowa.

Ocuciło go splunięcie w twarz.

– Wypierdalaj! – warknął facet, po czym wrócił do swojej kamienicy.

Tomasz przez minutę nie mógł się pozbierać. W końcu jednak nogi przestały się pod nim uginać, więc mógł ruszyć w stronę swojego saloniku.

Tam czekał na niego Qui-Gon.

– Całe szczęście, że cię nie zabrałem i nie musiałeś tego oglądać – zwrócił się do psa, po czym podszedł do małego lustra. Przeraził się swoim widokiem, jednak dopiero nad ranem opuchlizna tak się powiększyła i przybrała zdecydowanie gorszy kolor.

– Może kiedyś ci opowiem, co się stało – odpowiedział Malwinie wymijająco. Choć coraz bardziej wydawało mu się, że nie powinien z nią utrzymywać kontaktu. Był na takim etapie życia, że albo musiałby zatajać wszystkie narastające tajemnice, albo szczerością bezpowrotnie zrazić do siebie dziewczynę. Sam nie wiedział, co jest w tym momencie gorsze.

Aspirant Bednarski nie był w zbyt dobrym humorze. Zresztą jak cały zespół i ta część komendy, która z nim współpracowała. Konferencja prasowa okazała się klapą. Media nie dały się wywieść w pole i wyczuły fałsz prokuratora. Potem dziennikarze rzucili się na niego niczym wygłodniałe hieny i wyciągnęli wszystkie informacje, których oczywiście powinien im udzielić, lecz które wolał w jakiś sposób ukryć.

Nie udało mu się to.

Opowiedział o zatrzymaniu podejrzanego, co jednak okazało się niecelnym strzałem. Dziennikarze domagali się wyjaśnień, bo zdjęcia skutego mężczyzny wyprowadzanego z radiowozu szybko rozeszły się w mediach. Wszyscy ucieszyli się, że sprawa nabrała odpowiedniego biegu. Musiał zaprzeczyć plotkom.

Potwierdzono także, że ze sprawą powiązane jest morderstwo w Gdańsku sprzed trzech lat, a także zaginięcie dwójki innych dzieci. Wcześniej tłumaczono, że to dwie różne sprawy, żeby nie siać paniki.

– Badamy każdy trop, każdą poszlakę i każdy ślad – zapewniał prokurator.
– Jest ich wiele, lecz rozwiązanie sprawy jest jedynie kwestią czasu.

– O jakim czasie mowa? – zawołał ktoś spośród dziennikarzy. – Dzień? Miesiąc? Trzy lata?

– Ej, co ty taki zamyślony? – rzuciła Gawron, podchodząc do Bednarskiego.

– Weź, kurde, nie strasz. – Aż się wzdrygnął, słysząc jej podniesiony głos, a potem śmiech.

– Spokojnie, nie chcę cię porwać. – Zaśmiała się znów, tym razem jednak znacznie bardziej gorzko. – Wiesz, że Ciesielski zaczął się wypierać tego, co powiedział o swoim sąsiedzie?

– Jak to?

– Nagle zrozumiał, że nam od początku wcale nie o to chodziło, więc stwierdził, że teraz się wycofa.

– Co za cyrk.

Wiedział, że osoby, z którymi Ciesielski pił wtedy w parku, potwierdziły jego zeznania. Na butelkach znaleziono szczątkowe odbitki ich linii papilarnych, więc byli wiarygodni.

Bednarski naprawdę chciał, żeby jego starania nie poszły na marne. Co więcej – gdyby to Ciesielski okazał się mordercą, to takie spektakularne zatrzymanie na pewno mocno by zadziało na korzyść aspiranta – medialnie i zawodowo. Tymczasem został z niczym.

– Dodatkowo co chwila dzwoni do mnie ten Lipiński i pierdoli mi, żebym zajął się tropem psów.

– W sensie? – Edyta nie rozumiała.

– On uważa, że nic z tym nie robimy. Że on jako jedyny martwi się losem psów i tylko on szuka śladów z nimi związanych.

– Sądzi, że odpuściliśmy sobie jeden z ważniejszych dowodów?

Bednarski wzruszył ramionami.

– Zgłosiło się kilka osób, które podobno kojarzyły właścicieli tych konkretnych psów. Większość to pomyłki. Ale w dwóch przypadkach udało się trafić.

– I co?

– Nic ciekawego. Wypuszczali psy na noc do parku. Nie chciało im się wychodzić, gdy było zimno, więc wyrzucali psa przez drzwi i czekali, aż wróci.

– To powinno być karane. Kilka stów mandatu każdy powinien zapłacić.

– Najśmieszniejsze jest to, że jak ci zginie pies i potem znajdzie się w schronisku, to dostajesz mandat. A co się dzieje, jak zgubisz dziecko?

Edyta nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej samej chwili podszedł do nich Morawiec, wyraźnie podekscytowany.

– Gdzie pani podkomisarz?

– U naczelnika – odparła Edyta, patrząc na psycholog Zalewską, która stała tuż za komisarzem. – Coś się stało?

– Zdaje się, że mamy motyw – odparła psycholog, a na twarz komisarza wpłynął szeroki uśmiech. Edyta i Kuba nie wiedzieli, czy bardziej zdziwiło ich właśnie to, czy usłyszana wiadomość.

Ośmioletnia Julka nie potrafiła pogodzić się ze stratą psa. Choć uciekł jej już dawno temu, to cały czas pamiętała swojego sznaucera. Tym bardziej że tata nie chciał jej kupić drugiego psa. Już wtedy, gdy przyniósł jej Bolka, zastrzegł, że to jedyne zwierzę, jakie ma wstęp do ich domu.

– Wyłącznie ty się nim zajmujesz. Ani ja, ani matka nie przyłożymy do tego ręki!

– I dobrze, sama się nim najlepiej zaopiekuję.

Już po pierwszym dniu zrozumiała, że nie miała o tej opiece pojęcia. Musiała z nim wychodzić przed szkołą, po szkole i tuż przed snem, czego nie lubiła najbardziej. Kilka razy prosiła tatę, żeby z nią poszedł, bo boi się chodzić po ciemku, ale ten był nieugięty.

– Pamiętasz, co ci mówiłem? – powtarzał tylko, a ona musiała sama sobie radzić.

Wszystkie pieniądze, które dostawała od dziadków albo czasem od mamy, wydawała na psią karmę. Dziewczynka nie miała pojęcia, że to będzie tak wyglądało. Miała dopiero osiem lat. Pamiętała, jak płakała i krzyczała, że chce psa, bo jej najlepsza przyjaciółka też ma, bo połowa szkoły ma. Nalegała, ale zbyt mocno, teraz już to wiedziała. Żałowała tylko, że nikt jej nie uświadomił, o co tak właściwie prosi.

Mimo wszystko nigdy nie chciała stracić Bolka, a teraz myśl, że nie żyje, sprawiała, że za każdym razem w oczach stawały jej łzy. Bardzo go kochała.

– Julka, co się stało? – spytała koleżanka, która dostrzegła ją na przerwie wciśniętą gdzieś w kąt. – Chodzi o Bolka?

Skinęła głową.

Nie mogła znieść myśli, że został zabity. Tym bardziej że zapolowała na niego ta sama osoba, która zabiła to dziecko w parku. Słyszała, jak tata opowiadał mamie o tamtej rozmowie z nieznanym mężczyzną. Szybko znalazła w internecie informacje o tym, co się stało, poza tym w szkole

wszyscy o tym mówili. Gdy trafiła na informację, że jednym z zabitych psów w parku był czarny sznaucer, wybuchła niepoohamowanym płaczem.

Przeraziła się jak nigdy. Szczególnie że widziała tego, kto to zrobił. Kto najpierw uprowadził, a potem zabił jej psa.

– Ja cię rozumiem.

– Jeszcze ten, co go zabrał... Wiesz, ile już razy mi się śnił?

– Kto?

– No ten morderca.

Koleżanka zamarła.

– Widziałas go? – spytała głośno, a wtedy dwie inne dziewczyny do nich podbiegły i zaczęły słuchać.

– To przez niego Bolek uciekł. Nastraszył nas.

– Ale jak? – dopytywały się.

– Wyszłam z nim na spacer wieczorem. I ktoś zaczął za nami iść. Najpierw myślałam, że wiecie, po prostu ktoś idzie w tym samym kierunku. Ale jak przyspieszałam, to on też.

Jedna z dziewczynek pisnęła cicho.

– Chciałam szybko wrócić do domu. Ale nie mogłam mu uciec. Jak już byłam na swojej ulicy, poczułam, jak łapie mnie za ramię. Krzyknęłam, ale nikogo tam nie było. Nikt mnie nie słyszał. Wokół są tylko jakieś stare magazyny i budowy, żadnych domów, nie ma żadnej lampy, drzewa wszystko zasłaniają. Bolek zaczął na niego czekać. Chciał go ugryźć. Wtedy ten ktoś się przestraszył, zaczął kopać Bolka. Chciałam uciec, ale on nie dawał się zaciągnąć do domu. Dlatego... – Julka przełknęła łzy. – Musiałam puścić smycz. Wyrywał się, a ja nie miałam siły go trzymać. I chciałam wrócić do domu.

– Boże, Julka... – szepnęła koleżanka i objęła ją. Tymczasem druga dziewczynka gdzieś pobiegła.

– Obejrzałam się dwa razy. Najpierw ten ktoś złapał mocno Bolka i zaczął go czymś dusić. A potem on już się nie ruszał.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego rodzicom?

– Tata spytał tylko, czy pies mi uciekł. Nie odpowiedziałam, a on zaczął krzyczeć. Nie chciałam już się nic odzywać.

– Julka! – Nagle podbiegła do nich wychowawczyni. – Wstań, chodź ze mną.

Złapała ją za rękę i zaprowadziła do pustej sali lekcyjnej.

– Daria powiedziała mi, że widziałaś tego mordercę. Mówiłaś o tym komuś?

Julka pokręciła głową.

– Trzeba koniecznie! Boże, mogło ci się coś stać. – Nagle przytuliła ją i pogłaskała po głowie. – Biedactwo.

– Wie pani... Bo ja ją chyba skądś znam. Widziałam ją gdzieś na ulicy.

– Ją? – zdziwiła się nauczycielka.

– Tak – odparła szybko Julka. – To była kobieta.

Gdy Malwina wyszła, Tomasz mógł spokojnie przyjrzeć się artykułowi z jego tekstem. Był z siebie bardzo dumny.

Wyrwał ostrożnie kartkę ze swoimi słowami i wyprostował ją na ladzie. Najchętniej oprawiłby ją w ramkę i powiesił obok półki z tytoniem, ale to zdecydowanie byłaby przesada, wiedział o tym.

Wzdrygnął się nagle na dźwięk wiadomości.

Beata: Co ty wyprawiasz?

Dowiedziała się, pomyślał ze smutkiem. Ktoś pewnie od razu jej doniósł, jedna z koleżanek, która potrafiła jedynie plotkować. Z przyjemnością musiała podrzucić jej ten artykuł.

Beata: Zaszyleś się tam i teraz bawisz się w dziennikarza? Coś ci się w głowie poprzestawiało.

Nie zamierzał jej odpisywać. To był jedyny słuszny sposób na radzenie sobie z Beatą. Choć wiedział, że wpadała w coraz większą furję. Żył nadzieją, że jej złość jakoś złagodnieje, ale ona każdego dnia rosła. Chciał już wrócić do domu. Bolały go plecy. Miał dosyć spania na wygniecionym materacu wciśniętym między dwie szafki na zapleczu i szukania dodatkowych zajęć, nawet jeśli ich efektem miały być kolejne artykuły. Poza tym tak bardzo chciał usiąść znów na kanapie z piwem w ręku i o nic się nie martwić. Na to mu pozwalała – samotność pozostawała jego kochanką, o którą Beata nie była zazdrosna.

Jakby w odpowiedzi na te myśli, znów napisała.

Beata: Spotkałeś się z nią, prawda?

Tomasz westchnął głośno.

Beata: Nie rozumiem, czemu nam to robisz, dlaczego cały czas do niej wracasz. Nie możesz tak postępować.

Nie wytrzymał. Wziął telefon i odpisał.

Tomasz: Mogę robić, co tylko chcę, nie jesteś moją matką, a ja nie jestem małym dzieckiem, żebyś mi czegokolwiek zabraniała. Będę się z nią widywał, kiedy tylko będę chciał. To nie twoja sprawa i nie wrócę, dopóki tego nie zrozumiesz!!!

Długo musiał czekać na jej odpowiedź.

Beata: Pożałujesz tego.

Tomasz: Każdego dnia żałuję tego, co zrobiłem. Gdybym mógł cofnąć czas, nigdy bym cię nie prosił o pomoc, nigdy!

Na tę wiadomość już nic nie odpisała. Ucieszyło go to i zmartwiło zarazem, bo gdy Beata była naprawdę zła, to potrafiła być nieobliczalna. Ale nie mógł się teraz poddać.

Wchodząc do domku i z niego wychodząc, trzeba było oganiać się od dziwnych osób, które się tam kręciły. Jedni robili zdjęcia, inni nagrywali. Malwina dostrzegła nawet, że ktoś prowadzi transmisję na żywo. Opowiadał o ich domu dziecka jak o miejscu zbrodni.

Najchętniej wytrąciłaby im wszystkim telefony i aparaty z rąk. Nie chciała się jednak pokazywać od frontu. Cieszyła się, że może używać tylnych drzwi.

Niestety Dorota wpadła na reporterów już jakiś czas temu i do tej pory nie potrafiła się uspokoić.

– Obwiniają mnie o wszystko... – Łkała, a po jej policzkach płynęły łzy. – Najgorsze jest to, że mają rację.

– Nie powinniśmy zadzwonić na policję? – wtrącił się Krzysztof. Był zdania, że to między innymi przez jego słowa zacytowane w artykule wszyscy się dziś tutaj zlecieli.

– Wątpię, żeby przyjechali tylko z takiego powodu – odparła Aneta, która starała się pocieszać płaczącą koleżankę, lecz chyba już straciła do tego cierpliwość.

– Powiedzieli, że pozwoliłam temu mordercy porwać Marcina – mówiła dalej Dorota. – Jeden z nich... – pociągnęła głośno nosem – jeden z nich śmiał się i mówił, że pewnie... – Załamał jej się głos. – Że pewnie jestem z nim w zмовie.

– Z mordercą? – zdziwiła się Malwina.

Dorota skinęła głową, a ona miała ochotę głośno zakląć. Ale oczywiście nie mogła, bo od razu ktoś by ją usłyszał.

– Gdyby tu był Gandalf, moglibyśmy przynajmniej poszczuć ich psem – zauważył Krzysztof, chociaż po raz kolejny powinien ugryźć się w język.

Malwina nie mogła już tego słuchać. Poszła do Fibi, ale najpierw zajrzała jeszcze do pokoju Marcina. Wojtek, chłopak, z którym mieszkał, nie wydawał

się w żaden sposób poruszony całą sprawą. Śmiał się, że ma teraz cały pokój dla siebie, ale Malwina sądziła, że chłopak zamieniał strach na śmiech, żeby jakoś sobie poradzić z tą trudną sytuacją. Chodził do szkoły, nie wdawał się w bójki, lecz była przekonana, że kiedyś to wszystko odbije się na jego psychice, bo będzie próbował pogodzić się ze stratą.

Zdawało jej się, że ona sama już dawno temu pogodziła się z podobnymi myślami, z wszelkiego rodzaju porzuceniem. Ją porzuciła matka, a gdy zaczęła mieć poważniejsze problemy psychiczne – porzucili ją znajomi. Wszystkich ludzi porzucił Bóg, a oni każdego dnia porzucali nadzieję na lepsze jutro. Była do tego przyzwyczajona.

Po południu znów przyjechała policja. Malwina miała nadzieję, że rozgoni reporterów, którzy wciąż koczowali przy bramie, lecz śledczy nic sobie z tego nie zrobili. Po chwili byli już w środku i skierowali się do gabinetu dyrektora. Ten niedługo potem wezwał do siebie Dorotę i przemaglowano ją po raz kolejny, zadając dokładnie te same pytania co wcześniej.

– Po co oni to robią? – spytała szczerze zdziwiona Aneta.

– Może szukają nieścisłości w zeznaniach? Albo jakichś szczegółów, które ich na coś nakierują.

– Uaktywnili się po klapie konferencji prasowej. Szukają dalej, bo okazało się, że tak naprawdę nic nie mają. Jedyne kilka poszlak, które muszą sprawdzić, ale domyślam się, że zaczęli się nimi zajmować dopiero, jak ten Ciesielski okazał się nietrafionym strzałem. Co oni, podzielnej uwagi nie mają czy jak?

Malwina odeszła od niej bez słowa i skierowała się w stronę gabinetu dyrektora. Okazało się, że udostępnił policjantom jedną z wolnych sal, gdzie Malwina wpadła bez pukania.

– Możemy porozmawiać? – spytała, widząc znajomego aspiranta.

Spojrzała na Dorotę. Dziewczyna nadal płakała. Malwina domyślała się, że policjanci nie byli zbyt delikatni i coraz mocniej naciskali. Zapewne mieli w tym jakiś cel.

– Później, dobrze? – odparł Bednarski. – Teraz rozmawiamy z kimś innym – dodał, jakby tego nie zauważyła.

– Tak, jasne.

Wyszła, a po może minucie Bednarski wypadł z pomieszczenia jak oparzony.

– Możemy umówić się na inny termin? – rzucił w biegu, zupełnie jakby chodziło jej nie o zeznania, lecz o randkę. – Dostaliśmy ważne wezwanie.

– Ale mam pewne informacje.

Zwolnił, słysząc to.

– Jakie?

– Pamięta pan tę kobietę, o której opowiadałam na komendzie?

Bednarski westchnął głęboko.

– Gdybym miał pamiętać wszystko, co...

– Twierdziła, że to jej dziecko zamordowano, w czasie gdy znaleźliście już jego rodziców.

Bednarski udał, że się zastanawia, po czym skinął głową. Doskonale pamiętał, o czym wtedy rozmawiali.

– Co z nią?

– Wydaje mi się, że jej dziecko może być jedną z ofiar.

– Już ustaliliśmy, że sobie to uroiła.

Znów przyspieszył. Wyszli razem z budynku i skierowali się w stronę radiowozu.

– Dokąd jedziemy? – spytała aspirant Gawron, który która już wsiadła od strony kierowcy. Dwójka dziennikarzy robiła im zdjęcia z zaparkowanych przy murze samochodów.

– Szkoła przy Siarczanej.

– Kolejne... – Malwina chciała spytać, czy kolejne dziecko nie żyje, lecz nie mogło jej to przejść przez gardło. Aspirant domyślił się tego.

– Nie, nie w tym rzecz.

– Dziecko tej kobiety zaginęło kilka lat temu.

– Nie tylko jej. Coś jeszcze? – niecierpliwił się aspirant.

– Widziałam jego zdjęcia. Zniknęło, ale możliwe, że nie było prowadzonego śledztwa, nie szukano dziecka zbyt dokładnie. Albo nawet w ogóle.

– O czym to świadczy?

Aspirant odpaliła już silnik.

– Mówiła, że jej dziecko zniknęło na działce, obok tego samego parku, jakieś trzy lata temu. To nie może być przypadek. Tym bardziej że wtedy też zamordowano dziecko w Gdańsku, prawda? – Dopiero tymi słowami zainteresowała aspiranta.

– Gdzie to dokładnie było?

– Trudno powiedzieć... Końcówka Tymienieckiego, w okolicy końca ulicy... cholera, nie pamiętam, jak ona się nazywa. Tam za krzakami jest dziura w murze, na wysokości betonowej kładki nad jakimś ściekiem.

– Sprawdźmy to.

– Jedziemy? – zawołała do niego policjantka.

– Zadzwoń jeszcze do pani, dobrze?

Malwina zdziwiła się, że nie pamiętał, o czym wcześniej rozmawiali, ale pamiętał, że ma do niej numer.

– Jeszcze raz o tym porozmawiamy.

– Dobrze.

Odsunęła się, a oni odjechali. Dostrzegła, że podchodzi do niej jakiś dziennikarz.

– Ma pani jakieś ciekawe informacje? Chętnie bym pani wysłuchał.

– Spadaj pan! – Machnęła ręką i zadowolona ze swojej reakcji wróciła do środka.

Tomasz powoli dochodził do wniosku, że w tej całej sprawie tak naprawdę nie chodziło o dziecko, tylko wyłącznie o śmierć psów. Ich było najwięcej, a ból to ból, dla Tomasza cierpienie zwierzęcia było równe cierpieniu człowieka.

Nie rozumiał, jak ktokolwiek mógł uważać inaczej.

Sądził, że dziecko zginęło przez przypadek, może było czegoś świadkiem i należało je uciszyć. Julka, której zabrano sznaucera, też mogła zginąć, ale udało jej się uciec. Może to wcale nie o nią chodziło.

Jego typem był Ciesielski. Sądził, że policja poszła dobrym tropem, lecz facet najwyraźniej się wywinął. Tomasz sądził, że prędzej czy później coś mu udowodnią. Tym bardziej że wciąż siedział w areszcie.

– Inne sprawy mnie nie interesują! – krzyknął, oglądając konferencję prasową, która nie potrafiła rozwiązać żadnych jego wątpliwości i zmartwień.

Otworzył drugą kartę przeglądarki i wszedł na Facebooka. Wpisał nazwę grupy, do której należał już od dość długiego czasu. „Społeczny Animal Patrol – Łódź”. Grupa miała za zadanie wychwytywać wszelkie niewłaściwe zachowania – czy to właścicieli zwierząt, czy po prostu przypadkowych osób wobec przypadkowych zwierząt. To już nie była zwykła tablica ogłoszeniowa, lecz ruch społeczny, mający za zadanie tępić to, co zwyrodniałe. Ostatnio znów zrobiło się tam głośno o Ciesielskim. Facet zdominował wszelkie informacje o osiedlowych trucicielach psów i chłopcu, który znęcał się kilka tygodni temu nad jakimś ptakiem. Trzeba im było odpuścić i zająć się nową sprawą.

Czasem organizowano społeczne patrole. To była ta część obowiązków członka grup, której Tomasz nie lubił najbardziej. Podobało mu się śledzenie poczynąń ludzi w sieci, znajdowanie informacji na ich temat, sprawdzanie doniesień w mediach. Ale bezpośrednie wystawianie się na zagrożenie – to było ponad jego siły.

Wypił już dwie szklanki whisky. Qui-Gon denerwował się, czując zapach alkoholu, lecz Tomasz musiał stępić swoje zmysły przed nocną wędrówką.

Pił i szukał informacji, które mogłyby pomóc w identyfikacji sprawcy. Grupowicze każdego dnia analizowali najróżniejsze szczegóły, lecz nie przynosiło to żadnych efektów poza najczęściej absurdalnymi teoriami.

Zamknął w końcu Facebooka i zauważył, że Qui-Gon zaczął się niepokoić. Wyżeł wstał i węszył przy tylnych drzwiach. Musiał coś usłyszeć. Owca

– Znów jakiś menel się kręci? – spytał psa, po czym wdrapał się na kilkustopniową drabinkę i wyjrzał przez małe okno pod sufitem. Na zewnątrz było ciemno, pobliskie latarnie nie dawały zbyt wiele światła, szczególnie od strony zaplecza. Zdawało się jednak, że nikogo tam nie ma.

Wyżeł pobiegł teraz do głównego pomieszczenia saloniku. Tomasz poszedł za nim i aż podskoczył, gdy dostrzegł jakiś cień za odsłoniętym oknem.

– Kurwa! – zaklął przestraszony. Chyba ktoś próbował się włamać. Gdy dopadł do okna, nikogo już tam nie było. Docisnął twarz do szyby i się rozejrzał. Dostrzegł jakąś postać idącą teraz chodnikiem wzdłuż ulicy w stronę parku.

– Ja pierdołę... – zaklął. Nie do końca wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

Sprawdził, czy drzwi są na pewno zamknięte i opuścił rolety, o których wcześniej zapomniał.

Pewnie ktoś zauważył, że okna są odsłonięte, i chciał spróbować szczęścia, pomyślał, choć wcale w to nie wierzył. Sądził, że to nie był nikt przypadkowy. Być może ktoś, komu wcale nie chodziło o kradzież, lecz o niego. O Tomasza, który też zaglądał innym przez okna, lecz te wirtualne.

Wrócił na zaplecze i dolał sobie whisky. Postanowił, że nigdzie dzisiaj nie wychodzi.

Ten dzień bardzo zmęczył Malwinę. Teraz sama obecność w domu dziecka wykańczała psychicznie jak nigdy. Nastrój był wisielczy, rozmowy tylko o jednym, nikt się nie uśmiechał.

Doszła do ulicy Milionowej i już miała pójść w lewo, gdy postanowiła jeszcze raz wpaść do Agnieszki. Szkoda jej było tej kobiety. Chora psychicznie, wyniszczona przez wydarzenia z przeszłości, czekająca, aż świat albo umrze, albo się zmieni. Żadna z tych opcji nie była teraz możliwa, więc pozostawało jej trwanie w cierpieniu.

Chciałaby jej pomóc. Nie wiedziała tylko jak.

Przed wyjściem zadzwoniła jeszcze do aspiranta Bednarskiego, lecz nie odbierał. Denerwowało ją ich podejście do tematu. Z jednej strony chwalili się liczbą zaangażowanych w sprawę osób, a z drugiej brakowało tej jednej, która sprawdziłaby trop podsunęty pod nos.

– Co się stało? – rzuciła do psa. Fibi zaczęła się cofać, jakby pamiętała tamto miejsce i nie chciała tam wracać. – Dlaczego nie chcesz ze mną pójść?

Nie ustępowała, więc to Malwina odpuściła. Jeszcze kilka sekund spoglądała przez szparę w betonie, po czym ruszyła w stronę parku. Przeszła przez jego środek, rozglądając się za Tomaszem, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Dlatego w końcu dotarła do swojego bloku i postanowiła spędzić ten wieczór, jak najbardziej leniwie się da.

Nalała sobie lampkę wina, włączyła Przyjaciół i usiadła na parapecie. Lubiła patrzeć nocą na park, w tle słuchać znajomych głosów z serialu, który oglądała już milion razy. Spoglądała na Fibi, która śmiesznie przekrzywiała głowę, słysząc swoje imię wypowiedane przez bohaterów. Teraz jednak nie było aż tak sielankowo. Widok za oknem ją przerażał, bo wyobrażała sobie, jak nagle dostrzega kogoś, kto ciągnie zwłoki, aby je zakopać jak gdyby nigdy

nic pod drzewem. Gdyby częściej tak siadała, to jakiś czas temu może naprawdę by to zobaczyła.

Wypiła kieliszek i nalała następny. Dziś wino wyjątkowo jej smakowało, dlatego oglądając kolejne odcinki serialu, wypila pół butelki.

W pewnym momencie na dłużej zapatrzyła się w widok za oknem. Przypomniała sobie opowieść Agnieszki o tajemniczej postaci, która ją prześladowe. Podobno błędziła między drzewami, była cieniem Agnieszki, pojawiającym się jednak daleko, w zasięgu wzroku, ale nie w zasięgu ręki. Mogła tylko patrzeć, a on nigdy nie podszedł na tyle blisko, żeby można było go dotknąć, żeby spytać, kim jest i co robi.

– Myślę, że on stoi za tymi wszystkimi zniknięciami i morderstwami – powiedziała wtedy, gdy Malwina przeglądała zdjęcia z komody. – On musi pochodzić z tego miejsca. Ten demon. Ktoś go skrzywdził, gdy jeszcze był człowiekiem, a teraz się mści. Nie rozumiem tylko, czemu mnie prześladowe. Zabrał mi dziecko, a teraz obserwuje każdy mój krok, jakby chciał mi dać znać, że nadal źle żyję, że nadal nie jestem człowiekiem, którym powinnam być. Ale jakim powinnam?

Malwina nic jej nie odpowiedziała.

Nagle otrząsnęła się z myśli. Odgoniła dudniące w głowie słowa Agnieszki i utkwiała wzrok w miejscu, w którym niespodziewanie dostrzegła jakiś ruch. W pierwszej chwili pomyślała, że to wiatr poruszył gałęziami albo wrona zatrzepotała skrzydłami. Wiedziała jednak, że ruch wykonało coś dużego. Po chwili okazało się, że to wysoka, zakapturzona postać, sunąca między drzewami niczym zjawa.

– Cień... – przestraszyła się, lecz zaraz potem parsknęła śmiechem, słysząc, jak to słowo wypowiedziane na głos głupio brzmi.

Lecz z każdą sekundą patrzenia na wolno idącą między drzewami postać docierało do niej, że to nie jest ktoś, kto wyszedł na spacer. Miał zakrytą głowę, długi ciemny płaszcz, a jego ruchy zdradzały, że albo czegoś szuka, albo na coś czeka. Ten ktoś rozglądał się, przyczajał za drzewami i obserwował.

– Co jest... – jęknęła Malwina, czując narastający niepokój.

Postać nagle przestała się rozglądać. Stała tuż obok grubego pnia drzewa i poprawiła kaptur. Wtedy spojrzała wprost na Malwinę.

– Boże! – krzyknęła Malwina, przestraszona, i odskoczyła od okna. Zrobiła dwa kroki do tyłu i potknęła się o stół, na którym stał laptop. Zatrzymała serial i podeszła do lampki. Zgasiła światło i dopiero wtedy bardzo powoli na drżących nogach podeszła z powrotem do okna.

Postać wciąż tam była. Patrzyła dziwnie błyszczącymi oczami w okno mieszkania Malwiny, lecz teraz, gdy nie mogła nic dostrzec, wycofała się w głąb parku.

Drżącą dłonią sięgnęła po telefon, lecz kompletnie nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić. Wpatrywała się w ekran, byleby tylko nie spoglądać przez okno.

– Fibi... – wyszeptała, a suczka wyczuła strach w jej głosie. Przytuliła się nagle do drżących nóg Malwiny, która była jak sparaliżowana. – To nie on, prawda? – spytała. – Morderca. Demon, o którym wspominała Agnieszka. – Starła się dużo mówić, żeby opanować strach i okiełznać gonitwę myśli. – Ktoś po prostu chodzi po parku. Jest ciemno, może komuś uciekł pies i go szuka. Prawda? – Zdawało jej się, że Fibi skinęła łbem. – Ktoś wyszedł się przewietrzyć, zapalić papierosa wśród drzew albo...

– Słucham?

Aż podskoczyła, słysząc czyjś głos. Spojrzała na telefon. Okazało się, że mimowolnie wybrała numer aspiranta Bednarskiego.

– O co chodzi? Czemu dzwoni pani o tej godzinie?

Malwina podniosła telefon do ucha i chrząknęła, chcąc dać znać, że zaraz coś powie, żeby policjant się nie rozłączył.

– Ja... – wydukała, po czym wzięła głęboki wdech. Spojrzała za okno, ale tam już nikogo nie było. To dodało jej odwagi i pewności siebie. Udało jej się pokrótce opisać, co właśnie zobaczyła, nie wiedziała jednak, czy zrobiło to na aspirancie jakiegokolwiek wrażenie. – Cały czas w pamięci mam słowa tej kobiety, Agnieszki, która twierdziła, że to jej dziecko zostało zamordowane. Pamięta pan?

Bednarski westchnął ostentacyjnie.

– Myślę, że ona też jest ofiarą. Opowiadała mi o jakimś prześladowcy, o człowieku, który za nią chodzi. Ma zakrytą twarz i cały czas ją straszy. Sądziła, że to właśnie ta postać – wolała nie używać określenia „demon” – stoi za morderstwami i zaginięciami. Mówiła, że chodzi nocą po parku. Jest zamaskowana. Tak samo jak ta, którą właśnie widziałam.

– Przecież to mógł być ktokolwiek – odparł w końcu.

– Taki ktokolwiek też mógł zabić to dziecko. Nie uważa pan, że widok podobnej postaci w okolicach miejsca zbrodni jest podejrzany?

– Cóż...

– Naprawdę sądzi pan, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, normalny człowiek spacerowałby nocą po parku? Sam? – W tym momencie prysnęły wszystkie myśli, które miały ją samą wcześniej uspokoić. Teraz jednak najważniejsze było przekonanie aspiranta, że coś trzeba z tym zrobić.

– Może rano... – zaczął, ale Malwina mu przerwała.

– Rano już będzie po wszystkim i to pan będzie się tłumaczył z kolejnej ofiary. Tego właśnie pan chce? Skoro tak – mówiła dalej, nie czekając na odpowiedź – to będzie pan miał także mnie na sumieniu, bo mam zamiar tam pójść.

– Proszę tego nie robić!

– To niech pan jakoś zareaguje!

Rozłączyła się w złości. Nie miała siły, żeby go dalej przekonywać. To nie była jej rola.

Usiadła w fotelu i patrzyła na Fibi, która merdała ogonem, choć w jej oczach można było dostrzec niepokój.

– Zostaniesz na chwilę sama? – spytała ją. Suczka usiadła. – Zaraz wrócę, dobrze?

Malwina wzięła kurtkę, włożyła buty. Dopiero gdy już wyszła z klatki, zorientowała się, że zapomniała telefonu. Ale już się po niego nie wróciła. Przeszła przez ulicę, minęła rząd sypiących się garaży i doszła do betonowej kładki, prowadzącej nad głębokim, gęsto zarośniętym rowem. W parku nie było ani jednej latarni, za to jasno świecił księżyc, a od okolicznych bloków ciągnęła się żółta poświata.

Doszła do ławki, na której raz siedziała z Tomaszem. Miała nadzieję, że może go spotka, bo być może to jego widziała przez okno. Rozpoznała płaszcz, lecz nie było z nim Qui-Gona, a to wydało jej się niemożliwe. Nie sądziła, żeby kiedykolwiek zostawiał psa samego. Byli nierozłączni. Ta postać miała kaptur na głowie, a w kapturze nigdy Tomasza nie widziała. Mimo to musiała się przekonać. W dziwny sposób myśl o nim podnosiła ją na duchu. Kiedyś nigdy nie wyszłaby nocą do parku, a tym bardziej po takich

wydarzeniach. Sądziła jednak, że zaraz wpadnie na Tomasza, uśmieje się, że wzięła go za mordercę, a potem może spędzą ze sobą chwilę. Albo i kilka przyjemnych chwil. Bardzo ich potrzebowała.

Odwagi dodało jej wypite wino. Nie było go wiele, lecz brane niegdyś leki w dziwny sposób zmniejszyły jej tolerancję na alkohol i teraz już po jednym kieliszku potrafiło jej szumieć w głowie. Dodatkowo dziś niewiele jadła, więc drugi kieliszek to było już naprawdę sporo.

Będiesz tego żałowała, powiedziała w myślach.

Przeszła przez cały park. Nie natknęła się na nikogo. Nie zaszczekał żaden pies, jedynie ptaki dwa razy poruszyły suchymi liśćmi.

W pewnym momencie odbiła w lewo i dotarła do kładki, o której mówiła jakiś czas temu aspirantowi. Przeszła na drugą stronę rowu i dotarła do betonowego ogrodzenia. Spojrzała przez szczelinę, ale nic nie dostrzegła. Nie dostrzegła także żadnego jasnego punktu w okolicach domku, w którym mieszkała Agnieszka, ani dymu na tle nieba. Widocznie nie napaliła w kozie, co wydawało się dość dziwne.

Przeszła chwiejnym krokiem przez wyrwę i skierowała się w stronę małego budynku. Obeszła go od lewej strony. Kłódka wisiała na drzwiach, była zamknięta. Malwina pociągnęła za nią, chcąc mieć pewność, a wtedy usłyszała jakiś trzask po drugiej stronie. Zamarła, lecz zanim zdążyła się ruszyć, w polu jej widzenia pojawiła się ciemna postać.

Pisnęła ze strachu, lecz sekundę później dostrzegła jej twarz.

– Całe szczęście, że to... – zaczęła, widząc Tomasza, lecz nie dokończyła, dostrzegając, że ten dziwnie trzyma ręce na wysokości piersi. Były czerwone. Czerwone od świeżej, lśniącej w blasku księżycy krwi. Bardziej jednak przeraziło ją to, co zobaczyła za nim. – To ty... – dokończyła bezwiednie i poczuła, jak grunt osuwa jej się spod nóg.

18 października

Aspirant Bednarski przecierał oczy ze zmęczenia. Żona zapaliła światło i usiadła na brzegu łóżka. Czekala, aż skończy rozmawiać. On sam oparł się o ścianę i mówił z zamkniętymi oczami. Otworzył je tylko na chwilę, żeby sprawdzić, która jest godzina.

Dochodziła druga.

Kuba był zaspany i nie do końca rozumiał, co rozmówczyni ma mu do przekazania. Krzywił się i unosił brwi, ale to nie pomagało mu podnieść powiek.

– Po co ty jej podałeś prywatny numer? – zapytała z irytacją żona, gdy skończył rozmawiać.

– Właśnie z takiego powodu – odparł i w końcu na dobre otworzył oczy. Spojrzał na wyświetlacz, sprawdzając, czy Malwina Król naprawdę się rozłączyła, czy może tylko zapadła cisza.

– Czyli?

Zablokował telefon. Nie wiedział, czy powinien oddzwonić, czy spać dalej.

– Podobno ma jakiś trop, ale średnio mi się chce w to wierzyć. No tak czy siak, na komendzie od razu by ją zignorowano, więc lepiej, że zadzwoniła bezpośrednio do mnie.

– Ale chyba też ją zignorujesz, prawda?

Bednarski usiadł na brzegu łóżka i zapatrzył się bezmyślnie w ścianę. Wstał. Żona myślała, że idzie tylko do łazienki, ale gdy usłyszała ekspres do kawy, zrozumiała, że kolejna noc będzie zarwana.

– Ty śpij – krzyknął do niej z kuchni. – Szybko to ogarnę, za godzinę będę z powrotem.

– No jasne... – burknęła i weszła z powrotem pod kołdrę. Po chwili wstała jednak i poszła do kuchni. Napiła się wody, a gdy odstawiała szklanekę do zlewu, Kuba kierował się już w stronę drzwi.

– Śpij. Kocham cię. – Pocałował ją w czoło, a ona przytuliła go mocno i wróciła do łóżka.

Bednarski wypił espresso podczas szukania patrolu, który był w pobliżu i mógł pojawić się przed blokiem Malwiny Król. Najbliższy znajdował się na Piłsudskiego, więc za chwilę powinien dać mu znać, czy coś widzą.

Zrobił sobie jeszcze jedną kawę, z większą ilością wody, i wziął ją ze sobą do samochodu. Dopił ją przed komendą, gdzie czekał już na niego młodszy aspirant Fabian Cieślik. Akurat miał dyżur.

– No cześć – przywitał się aspirant. Wsiedli razem do radiowozu. – Gotowy na wycieczkę?

Cieślik się skrzywił.

– Miałem nadzieję na nieco spokojniejszą noc.

– Uwierz mi, że ja też.

Fabian należał do grupy, która przeczesywała ostatnio teren. W zimnie, deszczu, dniem i nocą. Bednarski doskonale rozumiał, że nie miał teraz ochoty nigdzie jeździć, bo dawno nie dostał żadnego spokojniejszego dyżuru, ale wolał mieć obok kogoś, kogo znał i komu ufał.

Wyjął telefon i wybrał numer do Malwiny Król, lecz nie odbierała. Zaraz potem zadzwonił do patrolu, który miał się pojawić w parku. Okazało się, że mieli po drodze inną interwencję i jeszcze tam nie dotarli.

– Dzięki, naprawdę można na was liczyć – sarknął do słuchawki, po czym się rozłączył.

Po kilku minutach wjechali na ulicę Tymienieckiego. Zalali ciemny park światłem reflektorów. Dojechali do końca drogi i zaparkowali tak, żeby cały czas oświetlać główną część parku. Drzewa rzucały przerażające cienie, a każdy mocniejszy podmuch wiatru sprawiał, że ziemia zdawała się falować niczym wzburzone morze. To utrudniało obserwację.

– Nawet jeśli Malwina Król mówiła prawdę, to przecież park nie jest własnością prywatną czy po prostu zamkniętym terenem – stwierdził Fabian. – Obecność kogoś w tym miejscu nie jest dziwna.

– Ona twierdziła, że jest.

– Ty też tak uważasz?

Bednarski chciał odpowiedzieć twierdząco, bo mimo wszystko wydawało mu się to podejrzane. Dochodziła trzecia, nikt normalny o takiej godzinie by

się tu nie kręcił. Chyba że ktoś, kto chciał specjalnie trafić na podejrzaną osobę albo sam nią był.

Malwina po raz kolejny nie odebrała telefonu.

– Idź w tamtą stronę – rzucił do Fabiana, pokazując mu bloki od północnej części parku. Podał mu konkretny adres, miał sprawdzić, co z dziewczyną, skoro wezwany wcześniej patrol cały czas się nie zjawiał. – Ja przejdę się tam. – Wskazał na betonową kładkę. Przypomniał sobie, że właśnie o tym miejscu wspominała mu Król, dlatego uznał, że warto się tam skierować.

Najpierw zahaczył o miejsce, gdzie odkopano ciała. Cały teren otoczono setkami metrów taśmy. To miało zapobiec zdeptaniu śladów, które cały czas mogły im coś powiedzieć. Sprawdzone już każdy fragment, obejrzano każde drzewo, każdy kosz na śmieci, podniesiono każdy kamień i przeczesano każdą kępkę trawy, lecz wciąż mogły pojawić się nowe informacje, zmuszające policję do powrotu tutaj.

Taśmy wyglądały na nienaruszone, w środku też nikogo nie było. Bednarski świecił latarką, bo nie docierało tutaj światło z radiowozu.

– Nie ma jej. – Fabian dał znać przez krótkofalówkę. – Co teraz?

Bednarski zaklął w myślach. Nie sądził, że odważy się wyjść, skoro dostrzegła coś, co tak mocno ją zaniepokoiło.

– Wróć do parku. Rozejrzyj się, za piętnaście minut spotkamy się przy radiowozie.

– Okej, zrozumiałem.

Bednarski wrócił na ścieżkę i dotarł nią do kładki. Rozpoznał betonowe ogrodzenie. Kilka minut błądził między krzakami, zanim znalazł wspomnianą przez Malwinę wyrwę w ogrodzeniu.

– Pani Malwino? – zawołał, sądząc, że z jakiegoś powodu mogła właśnie tutaj przyjść.

Zrobił dwa kroki po wilgotnej, gnijącej trawie. Snop światła z jego latarki trafił w pewnym momencie na ścianę małego budynku, a wtedy aspirant zamarł.

– Co do... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

W pierwszej chwili pomyślał, że ciemne rozbryzgi na ścianie to po prostu farba, lecz wystarczył jeszcze jeden krok, żeby zorientować się, że to nieprawda.

Wyjął krótkofalówkę.

– Chodź tu, szybko! – zawołał do Fabiana.

– Czyli gdzie?

Bednarski nie mógł zebrać myśli, żeby mu to wyjaśnić. Podszedł jeszcze bliżej i zrozumiał, że ściana wcale nie została oblana krwią. Były na niej rozległe plamy i daleko sięgające rozbryzgi, jakby ktoś raz po raz uderzał krwistym mięsem, chcąc zrobić z niego miazgę.

Przełknął głośno ślinę, czując słodki odór, ciągnący się z za rogu budynku. Nie chciał tam iść.

– Widzisz światło? – Pomachał latarką w stronę parku. Słyszał, jak Fabian biegnie.

– Chwila... – Przystanął, ale za chwilę znów biegł. – Tak, widzę.

– Kilka metrów za mną jest dziura w betonowym płocie.

– Okej.

Rozłączył się.

Wpiął krótkofalówkę w pasek i zrobił jeszcze jeden krok. Zaczął oglądać ścianę. Nie znalazł nawet centymetra kwadratowego bez plamy.

Krew spływała szerokimi strumieniami na ziemię, ciągnęła się od kilkunastu, jeśli nawet nie kilkadziesiątu miejsc, w które coś uderzyło. Bednarski szukał się, że ktoś użył do tego zwykłego mięsa, chcąc stworzyć jakieś chore, makabryczne dzieło.

Przyjrzał się ziemi. Dało się dostrzec dość szeroki, także zalany krwią rów w wygniecionej trawie, ciągnący się za róg budynku. Bednarski wyciągnął pistolet z kabury i wymierzył przed siebie, z latarki robiąc celownik. Obejrzał się jeszcze, sprawdzając, czy Fabian może go dogonić, lecz wciąż nie było go widać.

Aspirant w końcu odważył się pójść dalej. Od momentu wejścia na ten teren minęło może kilkanaście sekund, lecz zdawało mu się, że czas zwolnił, a on każdy krok wykonuje o wiele dłużej niż w rzeczywistości.

– Jest tu kto? – spytał na tyle głośno, żeby usłyszał go sprawca, ale także Fabian, którego dynamiczne kroki słyszał już gdzieś w oddali.

Nikt mu nie odpowiedział.

Krwawa ścieżka w trawie zakręcała. Bednarski szedł tuż obok, śledząc ją światłem latarki. W pewnym momencie dotarł do ogrodzenia, a wtedy dostrzegł leżącą pod nim bezkształtną masę mięsa, zdeformowaną tak bardzo, że nie dało się zgadnąć, co to właściwie jest. Bednarski stanął jak wryty, świecąc na zakrwawione kończyny, rozdarty korpus, z którego wylewały się poszarpane, cuchnące wnętrzności.

Obszedł budynek, lecz na szczęście nie trafił na żadne kolejne ciało.

– Halo! – zawołał, podchodząc do lichych drzwi domku. – Policja, proszę otworzyć!

Zadudnił w drzwi. Odskoczyły od nierównej framugi. Metalowa kłódka poleciała na ziemię, a Bednarski dopadł bokiem do ściany, nie chcąc stać bezpośrednio przed wejściem.

Uchylił drzwi stopą i dostrzegł, że Fabian w końcu pojawił się w polu widzenia. Na migi pokazał mu, żeby podszedł od drugiej strony. Aspirant odsłonił całe wejście i wpadli do środka, asekurowając się nawzajem.

– Stój! – wrzasnął Bednarski, widząc ruszającą się w jednym z dwóch pomieszczeń postać. Wymierzył w nią, a ona podniosła ręce do góry.

– Spokojnie... – rzucił stojący w środku mężczyzna. Aspirant dostrzegł jego zakrwawione ręce i leżącą na brudnym materacu kobietę. Rozpoznał Małwinę Król.

– Na ziemię! – rozkazał, podchodząc. – Ręce na głowę i gleba!

Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie. Fabian szybko do niego dopadł i skuł mu nadgarstki za plecami. Bednarski natomiast podszedł do leżącej dziewczyny. Była cała we krwi. Miała otwarte oczy. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

W ciągu kilku godzin zabezpieczono cały teren parku i ogrody działkowe. Nikt nie mógł tam wejść ani stamtąd wyjść. Okazało się, że poza Tomaszem Lipińskim i Malwiną Król na terenie działek znajdowała się jeszcze jedna, starsza kobieta, która, jak twierdziła, sprzątała swój ogród. Wyszła, gdy tylko pojawiły się kolejne radiowozy i karetka.

– Często nie mogę spać – tłumaczyła. – Dlatego też się nie dziwię, gdy czasem widzę tu kogoś, bo domyślam się, że ma podobnie jak ja.

– A często to się zdarza? – dopytywał Bednarski, zanim jeszcze została przewieziona na komisariat.

– W zasadzie codziennie nie mogę zasnąć.

Bednarski przewrócił oczami.

– Chodzi mi o to, czy często pani tu kogoś napotyka.

– Czasem. Częściej po prostu słyszę, że ktoś coś robi.

– A tej nocy słyszała coś pani?

– W pewnym momencie, jakąś godzinę temu, usłyszałam, jak ktoś trzepie dywan.

– Co konkretnie pani słyszała? – Bednarski domyślał się, ale musiał spytać.

– Takie... głucho uderzenia. Wie pan, jak to trzepanie dywanu. Uderzenie, a po nim przychodziło echo, które roznosiło się po okolicy.

Bednarski cały czas miał przed oczami krwawą ścianę i leżące przy ogrodzeniu zmiażdżone ciało. Okazało się, że to truchło psa. Bednarski poczuł niesamowitą ulgę, gdy tam wrócił, oświetlił dokładnie bezkształtną masę i nie zobaczył tego, czego najbardziej się obawiał.

Tomasz Lipiński tłumaczył, że nie ma z ciałem nic wspólnego, że trafił w to miejsce przypadkiem, a Malwina Król zemdląła, widząc go.

– Domyślam się, że nakryła pana podczas...

– Boże, nie! – Lipiński nie dał mu dokończyć. – Nie mam z tym nic wspólnego. Ja tylko...

– Wszystko wyjaśni pan w komendzie – uciał aspirant, otwierając drzwi radiowozu.

– Co mamy? – spytała podkomisarz Szolc, gdy dopadła wreszcie Bednarskiego.

– Zmasakrowane ciało psa, zakrwawionego faceta, który wypiera się, że miał z tym cokolwiek wspólnego, i dziewczynę, która gdy go zobaczyła, straciła przytomność. To Malwina Król, oglądają ją. – Aspirant wskazał na stojącą kilkanaście metrów dalej karetkę. – Razem z nim – skinął w stronę mężczyzny w radiowozie – znalazła wtedy te ciała. Poza tym mamy kilka klatek na terenie jednego ogrodu działkowego i budynek, w którym ktoś mieszka. Domownika nie zastaliśmy.

– Kto tam mieszka?

– Malwina Król mówi, że to niejaka Agnieszka. Lipiński twierdzi, że nie ma pojęcia.

– Kryje kogoś.

– To na pewno.

– Zaraz się nim zajmiemy. – Szolc była bardzo zasadnicza i z pewnością skoczyło jej ciśnienie. – Trzeba wszystko zabezpieczyć, zamknąć wszystkie wejścia na teren ogródków działkowych.

– Wcześniej wezwałem patrol. Ociągali się, ale na szczęście udało im się w końcu pojawić. Pilnują głównej bramy. Fabian się rozgląda, wezwałem już wsparcie, bo teren jest cholernie duży. Poza tym ciemno tutaj jak... – nie dokończył. – O, chyba pojawił się prokurator.

Czarny mercedes zatrzymał się gwałtownie na mostku, prowadzącym do budynku Wójtowskiego Młyna. Chwilę później, zanim prokurator do nich dotarł, z dwóch stron zamigotały liczne koguty.

Bednarski się wycofał. Należało jak najszybciej przeczesać teren. Każda sekunda dawała czas na ucieczkę temu, kto mógł odpowiadać za zbrodnie bądź się do nich przyczynił. Zatrzymany mężczyzna był tak przestraszony i bezradny, że nie mógł być głównym sprawcą. Bednarski od razu to wiedział.

Mógł co najwyżej w tym uczestniczyć, ale z pewnością był w to zamieszany ktoś jeszcze.

Zapewne kobieta, jak sugerowały zeznania dziewczynki od sznaucera, która najprawdopodobniej widziała osobę odpowiedzialną za śmierć swojego psa. To brzmiało jeszcze bardziej absurdalnie, lecz nie mogli w tym momencie niczego wykluczać. Tyle że dziewczynka tak naprawdę niewiele widziała. Zarys postaci podczas ucieczki. Dość wysokiej, zakapturzonej, z zasłoniętą twarzą i przenikliwym wzrokiem.

Technicy mieli pojawić się lada chwila, więc na razie nie można było niczego ruszać. Bednarski nawet nie miał takiego zamiaru. Wszedł tylko jeszcze raz do środka, żeby się rozejrzeć. Szukał jeszcze jakichś śladów, jakichś wskazówek.

Ostrożnie otworzył szufladę jedynej komody w pokoju. Dostrzegł zdjęcia dziecka i najprawdopodobniej jego matki.

Zabezpieczył jedno, na którym najlepiej było widać kobietę. Od razu poszedł z nim do Szolc.

– Wiesz, kto to jest? – zapytała groźnie Lipińskiego, który siedział skulony na tylnym siedzeniu. Bednarski pomyślał, że wygląda teraz niczym cień człowieka. Nagle wydał mu się wyjątkowo wąły, a tym samym...

Czy dziecko mogłoby pomylić go z kobietą, gdyby miał zasłoniętą twarz? To przecież mogła być jego przykrywka. Jego sposób na zmylenie śledczych. W końcu z jakiegoś powodu Morawiec pierwotnie szukał mężczyzny, nie kobiety.

Należało przeszukać jego mieszkanie i spróbować znaleźć rekwizyty, które mogłyby potwierdzać tę teorię. Zakonotował sobie, żeby powiedzieć o tym Szolc, gdy tylko znajdą się w komisariacie i będą planować kolejne kroki.

Lipiński tymczasem nawet nie spojrzał na zdjęcie. Od razu pokręcił głową.

– Wiem, że kłamiesz – powiedziała. – Inaczej jak byś tu trafił?

Mężczyzna nie odpowiedział. Szolc kazała jak najszybciej powielić zdjęcie i przekazać je patrolom, choć już teraz wiedzieli, że powinni zatrzymać każdą kobietę w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, która pojawi się w okolicy.

– Wie pan, że może nam bardzo pomóc? – Szolc starała się mówić łagodnie, choć przychodziło jej to z trudem. – Wystarczy kilka słów

wyjaśnień. One z pewnością panu nie zaszkodzą, a wręcz przeciwnie, postawią pana w lepszym świetle. Bo na razie jest naprawdę kiepsko.

Wydawało się, że jej nie słucha, jakby nagle odciął się i zatopił w swoim wnętrzu.

– Słyszysz mnie pan?

Milczał.

Szolc już chciała spytać o coś jeszcze, gdy nagle Fabian odezwał się do Bednarskiego przez krótkofalówkę. Głos mu drżał.

– Mam coś – powiedział tylko i zaniósł się kaszlem. – Nie mam pojęcia, jak to opisać.

– Jest źle? – spytał tylko Bednarski.

– Cholernie źle.

Razem z Szolc puścili się biegiem w jego kierunku.

Szolc zawołała dwóch policjantów, którzy byli najbliżej, a trzeci wraz z prokuratorem został przy Lipińskim. Po chwili podkomisarz i Bednarski znów znaleźli się w labiryncie ogrodzeń i tandetnych altanek, otoczonych różnymi śmieciami. Teren ten bardziej przypominał miejskie slumsy niż działki rekreacyjne.

Jacy mieszkańcy, taki ich odpoczynek, pomyślał Bednarski, biegnąc wzdłuż zardzewiałej, pogiętej i podziurawionej siatki. Tym razem weszli jakąś boczną furtką. Któryś z policjantów zerwał kłódkę, udostępniając im w ten sposób krótszą drogę. Nie trzeba już było szukać wyrwy w ogrodzeniu.

Skrećili w boczną uliczkę i dostrzegli Fabiana machającego do nich latarką.

W tej części zabudowania wyglądały naprawdę źle. Większość wydawała się opuszczona. Tym terenem zawładnęły dzikie krzewy i wysoka trawa, która porastała ogrodzenia i ściany, no i oczywiście ci, których sumienia były równie paskudne co cała okolica.

– No? – rzuciła Szolc, stając obok Fabiana.

Aspirant wskazał na budynek w ruinie stojący kilkadziesiąt metrów od tego, przy którym prowadzili akcję.

– Co tu mamy? – spytała podkomisarz, wchodząc na teren zaniedbanego ogrodu. Pośrodku znajdowała się drewniana altana, otoczona kiczowatym murkiem z cegły z odzysku. Z pewnością kradzionej.

– Tam, gdzie znaleźliśmy Lipińskiego, stało kilka metalowych klatek.

– No tak. – Przypomniała sobie zardzewiałe i porośnięte bluszczem pręty.

– Gdy w świetle latarni mi coś błysnęło, od razu wiedziałem, że mamy tutaj to samo. – Fabian wskazał na przestrzeń między dwiema belkami altany. Snop światła odkrył przed nimi metalową konstrukcję, w której odbijał się blask.

Ominęli altanę i zatrzymali się w miejscu, w którym można było w pełni zobaczyć klatkę. Była ustawiona w dziwny sposób, jakby przewrócona

w biegu. Ktoś musiał nią rzucić niczym kostką, choć nie mogła się potoczyć zbyt daleko z powodu tego, co znajdowało się w środku.

– Ja pierdolę... – mruknął Bednarski, dopadając do klatki.

W środku znajdowało się ciało. Ciało dziecka. Niesamowicie blade, z fioletową pręgą na szyi i czerwono-sinymi plamami opadowymi na twarzy. Ciało leżało w pozycji zdradzającej gwałtowne przemieszczanie klatki z nim w środku. Ktoś rzucał nią, turlał bądź potrząsał.

– Nie żyje przynajmniej od kilku dni – stwierdziła posępnie Szolc, podchodząc bliżej. – Mój Boże...

Bednarski się cofnął. Dał znać, że potrzebują wsparcia i lekarza sądowego.

– Ktoś musiał tę klatkę przenieść – wtrącił się Fabian. – Inaczej na pewno by ją zauważono.

– Chyba nawet wiem, skąd została przyniesiona. Zostań tu.

Podkomisarz wycofała się i wróciła na pierwsze miejsce zdarzenia. Nie podchodziła zbyt blisko, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów traseologicznych. Poświeciła latarką i przy kilku pustych klatkach dostrzegła miejsce z wygniecioną trawą.

– Hej! – zawołała, widząc, jak dwóch techników, którzy zdążyli już przyjechać, biegnie alejką. – Potrzebuję jednej osoby.

Ubrana w białą uniform kobieta podeszła do niej. Szolc wytłumaczyła, o co chodzi, więc od razu zabrała się do pracy. Otworzyła przyniesioną walizkę i zaczęła szukać śladów, których zapewne żaden śledczy gołym okiem by nie dostrzegł.

Wróciła do Bednarskiego.

– Znamy go, prawda? – spytała.

– Owszem – odparł aspirant.

– Tyle dobrego, że liczba pokrzywdzonych się nie powiększyła.

– Sukces – odparł ironicznie Bednarski. – Odnaleźliśmy zaginionego. Wszyscy na pewno się ucieszą.

– Na pewno... – burknęła Szolc, nie mogąc patrzeć na dociśniętą do prętów klatki, opuchniętą twarz i wybałuszone oczy o zimnym, przerażającym spojrzeniu, które, była pewna, zapamięta do końca życia.

Kilkanaście minut później na miejscu pojawił się lekarz i prokurator, który właśnie przed chwilą przekazał Lipińskiego do aresztu. A wraz z pierwszymi jasnymi pasmami na niebie pojawił się deszcz, jakby pogoda chciała dać im znać, że zawsze może być jeszcze gorzej.

Malwina noc spędziła w szpitalu, choć cały czas powtarzała, że bez względu na to, jak się czuje, musi wrócić do domu, bo czeka na nią Fibi.

– Obiecałam jej, że zaraz wrócę – mówiła do pielęgniarki, która podawała Malwinie leki uspokajające.

– Poradzi sobie – odpowiedziała.

– Muszę... – Powtórzyła kilka razy, najpierw zapadając w sen, a potem budząc się co jakiś czas.

Po przyjeździe do szpitala wciąż była bardzo niespokojna, dlatego musieli dać jej coś naprawdę mocnego. Spała do ósmej rano. Wtedy przyjechał po nią aspirant Bednarski.

– To dla pani dobra – wycedził tylko w odpowiedzi na pytanie, co tu właściwie robi. – Nie chcieliśmy, żeby coś się pani stało.

– Takie ataki to dla mnie codzienność.

– Ale my o tym nie wiedzieliśmy – odparł. – Poza tym musieliśmy sprawdzić, czy ten mężczyzna na pewno nic pani nie zrobił. Nie mogliśmy się dogadać, dlatego należało wszystko dokładnie sprawdzić.

Jak się okazało, nie została ranna. Tomasz musiał przenieść ją do pomieszczenia w momencie, gdy zemdląca, ale nie zrobił nic więcej.

– Niewiele pamiętam z tego, co się tam działo.

– A coś mimo wszystko pani pamięta? – spytał, gdy już w komendzie usiedli w małym, jasno oświetlonym pomieszczeniu z lustrem obserwacyjnym na jednej ze ścian. Domyślała się, że po drugiej stronie ktoś ich słucha.

– Dzwoniłam do pana... Nie pamiętam, o której to było godzinie.

– O pierwszej pięćdziesiąt trzy – odparł, spoglądając do notatnika.

– Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Sądziłam, że może dochodzi dwudziesta druga.

– Często traci pani rachubę czasu?

– Raczej nie...

– A często pani pije?

Malwina się skrzywiła. Poczowała, jak dłonie zaczynają jej się pocić. Przeszkadzało jej to, że znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu. Gdy wchodzili, poprosiła Bednarskiego, żeby zostawili uchylone drzwi, ale powiedział, że niestety nie jest to możliwe.

– Wypiłam dwa, może trzy kieliszki wina – odpowiedziała wymijająco.

– Po takiej ilości człowiek potrafi ocenić, która jest godzina.

– Tak, ale... – Malwina nie potrafiła tego wytłumaczyć. To zdarzało się rzadko, najczęściej w stresujących sytuacjach. Gdy wiedziała, że jest w bezpiecznym miejscu, jej mózg po prostu czasem się wyłączał. Gdy miała obok siebie Fibi, siedziała w domu, w tle słychać było jakieś kojące, znajome dźwięki, potrafiła nagle odpłynąć, jakby ktoś nacisnął przycisk „off”. Śniła na jawie. Często orientowała się, że ma na sobie piżamę, łóżko jest już pościelone. Albo budziła się rano i nie pamiętała zbyt dokładnie, co właściwie robiła wieczorem. Dlatego zawsze musiała wcześniej nastawiać budzik, żeby nie zasnąć do pracy. – Biorę leki, których nie powinnam łączyć z alkoholem – przyznała się, choć wiedziała, że to tylko część prawdy.

– To czemu pani to robi?

– Bo życie jest ciężkie i trudne. Czasem trzeba się odurzyć, żeby jakoś przetrwać.

Bednarski uniósł brwi, ale Malwina domyślała się, że doskonale ją rozumie. Przecież każdy miał w życiu problemy i każdy co jakiś czas miał wszystkiego dosyć. Tylko rzadko kto się do tego przyznawał.

– Powiedziała mi pani, że widziała kogoś przez okno.

– Tak, to był Tomasz Lipiński.

– Już wtedy to pani wiedziała?

– Nie... Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że to mógł być on, dlatego wyszłam. Po tej całej aferze z odkryciem ciał w parku rozmawialiśmy jeszcze kilka razy. Wyglądał na człowieka zagubionego i mocno skrytego. Zmartwiłam się, gdy zobaczyłam go nocą w parku.

– Nie bała się pani?

– Nie sądziłam, że miałabym czego. To prawda... To prawda, że wcześniej wydawało mi się, że widzę kogoś, kto może być sprawcą. Dlatego od razu do pana zadzwoniłam. Wino mnie trochę ośmieliło, poza tym... Nie myślałam trzeźwo. Chyba dlatego wyszłam, bez telefonu, bez Fibi.

– Dzwoniłem do pani, chciałem sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

– Miałam zamiar zaraz wrócić. Przypomniałam sobie o tej kobiecie. Agnieszce. Opowiadałam panu o niej.

– Tak, racja... – przyznał niechętnie i spuścił wzrok. Musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby wcześniej się nią zainteresował, to wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Ale nic nie wskazywało na to, że ta kobieta może za cokolwiek odpowiadać.

– Chciałam sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Wtedy zobaczyłam Tomasza.

– Całego we krwi.

– W pierwszej chwili ucieszyłam się, bo zdałam sobie sprawę, że to naprawdę jego widziałam. Że nie mam się czego obawiać. Ale potem dostrzegłam jego zakrwawione ręce... – Malwina poczuła mrowienie w koniuszkach palców. Spojrzała na drzwi. Tak bardzo by chciała, żeby ktoś je chociaż delikatnie uchylił.

– Zaraz skończymy – pocieszył ją aspirant. – Jeszcze tylko kilka pytań.

– Czy ja jestem o coś oskarżona? – wypaliła nagle.

Zaskoczyła go tym pytaniem.

– A jest coś, co chciałaby mi pani powiedzieć?

– Po prostu mam świadomość, że już drugi raz znalazłam się w złym miejscu w złym czasie. I zastanawiam się, jakie to będzie miało konsekwencje.

– Jeśli tylko powie nam pani wszystko, co wie, to żadnych.

– Sęk w tym, że ja niewiele wiem.

– Przede wszystkim chcemy wiedzieć, co panią łączyło z Tomaszem Lipińskim.

– Spotkałam się z nim kilka razy. W parku, w jego saloniku prasowym.

Bednarski szybko coś zapisał.

– Poda mi pani dokładny adres?

– A on wam nie powiedział?

Podyktowała nazwę ulicy. Nie była pewna numeru. Wytłumaczyła, gdzie dokładnie stoi budynek, w którym mieści się salonik, chociaż czuła, że nie powinna tego robić.

– Tomasz Lipiński uparcie milczy. Wraz z żoną, Agnieszką Lipińską, jest podejrzewany o zamordowanie dwóch osób.

Malwina myślała, że się przesłyszała, choć to nie było możliwe.

– Agnieszka jest jego żoną?

Bednarski skinął głową, dziwiąc się, że właśnie o to najpierw spytała. Dopiero po chwili dotarł do niej sens reszty zdania wypowiedzianego przez aspiranta.

– Jak to zamordowanie?

Zadrzała, czując ogarniające ją na zmianę fale chłodu i gorąca.

Bednarski pozwolił jej na chwilę wyjść. Dostrzegł, że blednie; zanim poczuła się jeszcze gorzej, wytłumaczył jej, że kolejną znaną ofiarą nie był ich wychowanek. Nie zdradził, że to Tomasz Piechowiak, chłopak, który zniknął jakiś czas temu spod sklepu. Malwinie ta informacja wystarczyła.

Przeszła się po korytarzu, znalazła łazienkę. Opłukała twarz wodą i po dziesięciu minutach wróciła do aspiranta.

– Uważa pani, że Tomasz Lipiński mógł mieć coś wspólnego z morderstwami?

– Chyba nie mnie należy o to pytać.

– Tak, ale czy zauważyła pani coś podejrzanego w jego zachowaniu? Coś, co mogłoby wskazywać, że cokolwiek ukrywa.

– Nawet jeśli, to nie miałam pojęcia, że ma żonę, a co dopiero... – nie dokończyła. Bednarski dostrzegł dziwny błysk w jej oku, nie wiedział tylko, czy to smutek, czy złość. – A pan jak uważa?

– Jeśli naprawdę to jego pani widziała wtedy w parku, na chwilę przed spotkaniem go na terenie ogrodu działkowego, to może być podejrzanym o współudział. Zabójstwa dokonano wcześniej. Ślady krwi na ścianie wskazują, że godzinę, może dwie, to jeszcze trzeba będzie dokładniej ustalić. Sprawdzimy też okoliczne kamery monitoringu. Jeśli Lipiński wychodził wcześniej, w czasie gdy zdążyłby dokonać mordu, a pani naprawdę widziała go wtedy w parku, to automatycznie zyska alibi. Dlatego musi pani odpowiedzieć jednoznacznie. To był on, wtedy, gdy dzwoniła pani do mnie?

Malwina miała mętlik w głowie. Z jednej strony chciała pomóc Tomaszowi, ale nie miała pewności, czy to na pewno jego widziała. W końcu uświadomiła to sobie dopiero po chwili, nie od razu. Piła wino, zapadła w letarg, może umysł wytworzył reakcję obronną, którą było przeświadczenie, że widzi Tomasza. A mógł to być ktoś zupełnie inny.

– Dlaczego był ubrudzony krwią? – spytała.

– Jeszcze na miejscu powiedział, że zobaczył ciało, przestraszył się, że to człowiek i chciał pomóc. Ale zorientował się, że na pomoc nie ma żadnych szans.

– To ma sens. A co z ciałem dziecka? Wiadomo już cokolwiek? Coś wskazuje na Tomasza?

– Nawet gdybym mógł cokolwiek w tym momencie powiedzieć, to nie miałbym zbyt wielu wiadomości do przekazania – odparł dyplomatycznie. – Na razie musimy ustalić coś innego.

Musiała w końcu odpowiedzieć.

– Tak, osobą, którą wtedy widziałam, był Tomasz Lipiński.

– Czemu pierwotnie twierdziła pani, że nie wie, kto to jest?

– Po prostu nie miałam pewności.

– A teraz ją pani ma?

Przytaknęła.

– Drugą ważną sprawą jest odnalezienie Agnieszki Lipińskiej. Ona stała się w tym momencie naszą główną podejrzaną. Jeśli wie pani, gdzie może teraz przebywać, to będę wdzięczny za wszelkie informacje.

– Widziałam ją tylko kilka razy. W parku i na terenie ogródków działkowych. To wszystko, nie mam pojęcia, gdzie może teraz być, jeśli tam jej nie ma.

Zadał jej jeszcze kilka formalnych pytań, zapowiedział, że może powtórnie zostać wezwana do komendy i zabronił wyjazdu z miasta. Malwina zapewniła, że nie ma zamiaru się nigdzie ruszać i w razie czego znajdą ją w mieszkaniu albo w pracy.

Wychodząc, spytała jeszcze, kiedy wypuszczą Tomasza.

– Dopiero gdy będziemy pewni, że nie jest winien. – Bednarski zauważył, że Malwina przejmuje się losem Lipińskiego bardziej, niż powinna, szczególnie że prawie wcale się nie znali. – Tymczasem pozostaje w areszcie. Jeszcze jedno – zawołał za nią, gdy stanęła w progu. – Proszę się przygotować, że niedługo... – Przełknął głośno ślinę. – Zapewne znów się na coś natkniemy.

Nie musiał kończyć. Doskonale wiedziała, co ma na myśli. Znaleźli ciało chłopca, który wyszedł ze sklepu i zniknął. Nie żył od kilku dni, najprawdopodobniej od dnia, w którym zaginął. Należało się więc

przygotować na to, że w którymś momencie odkryją grób albo kolejną klatkę. Z dzieckiem, które Malwina doskonale znała.

Poczuła, że oczy ma pełne łez. Wcześniej nie dopuszczała do siebie tej myśli, lecz aspirant właśnie zabił w niej nadzieję, że ta część historii dobrze się skończy.

– Rozumiem. Przygotuję się – odparła. Kłamała. Oboje o tym wiedzieli. Na coś takiego nie można się było przygotować.

Wyszła i zapatrzyła się w okna komendy. Miała nadzieję, że w którymś zobaczy Tomasza, choć nawet nie wiedziała, czy właśnie tutaj go trzymano. Dlatego po minucie bezowocnej obserwacji ruszyła na przystanek i czterdzieści minut później wysiadła przy Śmigłego-

-Rydzia. Szybko wróciła do mieszkania.

– Cześć, kochana! – zawołała do Fibi, która bardzo ucieszyła się na jej widok. Skoczyła na Malwinę, oparła się o nią całym ciężarem i omal jej nie przewróciła.

Przez pierwsze pięć minut tylko się przytulały, lecz gdy Fibi usłyszała słowo „jedzenie”, od razu pobiegła do miski i nie zwracała uwagi na Malwinę, dopóki wszystkiego nie zjadła.

– Przepraszam cię – powiedziała Malwina, patrząc, jak suczka pochłania ostatnie chrupki. Nie głodowała zbyt długo, powinna dostać jedzenie zaledwie pięć godzin temu. Mniej więcej wtedy, gdy budziliby się podopieczni jej pani. Dziś zajmował się nimi ktoś inny. Malwina dostała zwolnienie na cały dzień, które załatwił jej ktoś z komendy. Domyślała się, że w domku raczej się z tego powodu nie ucieszyli.

Gdy Fibi już się najadła i wypijała pół miski wody, Malwina od razu wyszła z nią na spacer. Szerokim łukiem ominęła stojące przy ogródkach działkowych radiowozy, a także sam park. Najdłuższą możliwą drogą doszła do saloniku Tomasza. Stała przed nim po kilkunastu minutach. Obeszła go i zatrzymała się przed bocznymi drzwiami, które prowadziły prosto na zaplecze.

Zapukała.

– Qui-Gon? – szepnęła do dziurki w zamku. Odpowiedziało jej ciche skomlenie i dwa drapnięcia w drzwi, na które Fibi zareagowała szczeknięciem. Wyżeł też dał głos. Malwina domyślała się, że był równie związany ze swoim panem co Fibi z nią. Albo i bardziej. Musiał bardzo przeżyć jego nagłe zniknięcie.

Pociągnęła za klamkę, ale nic to nie dało. Nie do końca wiedziała, co właściwie chce zrobić.

Podskoczyła, słysząc nagle dzwonek telefonu.

– Boże... – jęknęła, żałując, że tym razem nie zapomniała go wziąć z mieszkania. Serce od razu zabiło jej szybciej, gdy na ekranie dostrzegła, kto dzwoni.

– Tomasz? – rzuciła zdziwiona.

– Cześć, ja... Chciałem cię przeprosić.

Nic nie odpowiedziała.

– Ja nie rozumiem, co się dzieje. Nie wiem, co miałabym ci...

– Mam do ciebie prośbę – zmienił nagle temat. – Nie mogę rozmawiać zbyt długo, pewnie to wiesz. Ale pozwolili mi wykonać jeden telefon. – Wziął głęboki oddech, po czym zaczął mówić ciszej. – Jak będziesz miała chwilę, to poszłabyś do Qui-Gona? Jest w saloniku, a ja...

– Właśnie go słyszę za drzwiami.

Teraz to on na chwilę zamilkł.

– Jak to?

– Domyśliłam się, że został sam. Przyniosłam trochę karmy, chciałam mu rzucić przez okno, ale chyba nie dam rady.

– Powiem ci, gdzie jest klucz.

Zaskoczył ją.

– Gdzie? – Tym pytaniem dała znać, że mu pomoże. Poza tym bardziej chodziło o psa niż o samego Tomasza.

Wytłumaczył jej, że jedno z okien ma betonową wypustkę. Tuż pod nią, w wąskiej szczelinie, schowany jest klucz. Malwina ledwo tam dosięgała, lecz w końcu udało jej się go wyłuskać.

– Mam – zawołała, zadowolona z siebie. – Po co właściwie go tutaj zostawiłeś? Nie bałeś się, że ktoś go znajdzie?

– Jeśli będziesz o tym mówiła tak głośno, to komuś rzeczywiście się to uda – zganił ją. Był bardzo zestresowany. – Czasem już mi się przydawał, bo... – Nie dokończył, jakby chodziło o coś złego lub wstydliviego.

– Domyślałam się, że to łączy się jakoś z Agnieszką. Twoją żoną. – Zaakcentowała mocno słowo „żona”. Nie miała pojęcia, jak zapasowy klucz

mógł się z nią łączyć, ale bardzo chciała do tego nawiązać. Po prostu.

– Czyli już wiesz?

– Trudno, żebym po tym wszystkim się nie dowiedziała. Nie wiem, co tam się zdarzyło, co ty i ona macie z tym wspólnego, ale...

– Zapewniam cię, że ja nie mam nic.

– A ona?

– Tego nie wiem. Dlatego milczę. Chcę ją chronić, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Myślę, że ktoś ją wrabia, bo to niemożliwe, żeby ona za cokolwiek odpowiadała.

– Kurwa, Tomasz, oni tam znaleźli ciało dziecka! – podniosła głos i pierwszy raz przy nim zaklęła. Emocje tak w niej buzowały, że musiała je jakoś rozładować. – To nie może być przypadek.

– Też tak sądzę. Dlatego wydaje mi się, że ktoś chce zrzucić na nią winę. Tym bardziej że zniknęła. Musiała się czegoś dowiedzieć. Albo kogoś zobaczyć. Uciekła. Albo ktoś ją uprowadził. Nie wiem, Malwina, nie mam pojęcia, co się dzieje. Bardzo chciałbym znać odpowiedź chociaż na jedno pytanie.

– Gdybyś zaczął współpracować, to policja na pewno by pomogła i tobie, i jej. Ale to, że nie chcesz, świadczy tylko na twoją niekorzyść.

– Sam już nie wiem, co jest dobre, a co złe. Być może nikt z nas nie wie. Dlatego trzeba znaleźć jeszcze inne wyjście.

– Jakie?

– Na razie nakarm Qui-Gona i daj mu wody, dobrze? Wyprowadzisz go? Będę bardzo wdzięczny. – Nie dał jej odpowiedzi. – Mam do ciebie jeszcze tylko dwie małe prośby.

Malwina westchnęła głośno.

– Jakie?

– Weź go do siebie. – Zaczął mówić szeptem. – Dosłownie na chwilę. I... nie zamykaj potem tylnych drzwi na klucz, dobrze? – spytał tak cicho, że prawie go nie usłyszała.

– Czemu?

– Po prostu nie zamykaj. Zrobisz to dla mnie?

– Zastanowię się.

– Liczę na to, że mi zaufasz. Tym bardziej że to jedyny telefon, który mogłem wykonać. Raczej nie będzie już ze mną kontaktu.

– Jak długo?

– Postaram się jak najszybciej odebrać Qui-Gona.

– A co, jeśli zamkną cię na dłużej?

– Nic na mnie nie mają.

– A teraz trzymają cię dla zabawy, tak? Nie mają co robić, więc przymknęli niewinnego gościa, który wcale nie był upaprany krwią na miejscu zbrodni?

Nic nie odpowiedział.

– Muszę kończyć. Liczę bardzo na ciebie. Na nikogo innego nie mogę. Trzymaj się!

Nagle się rozłączył, nie czekając, aż Malwina cokolwiek więcej powie. Domyślała się, że mu kazali, lecz to tylko wzmogło jej nieufność w stosunku do Tomasza. Wcześniej wzbudził w niej zaufanie, był normalnym facetem, z którym dobrze się rozmawiało, z którym chętnie poszłaby na randkę i wypła w milczeniu kawę. Bo z pewnością niewiele by mówili. Teraz okazało się, że ma żonę i jest podejrzany w sprawie morderstwa. Miał dziecko, ale zaginęło kilka lat temu. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Po prostu nie mógł.

Ale Qui-Gon musiał coś zjeść, dlatego w końcu włożyła klucz do zamka. Pies zdziwił się na jej widok i nie podszedł.

– Twój pan niedługo wróci – powiedziała do wyżła, który zamierzał ogonem, gdy zobaczył Fibi. Ją rozpoznał, a Malwinę po prostu zaakceptował, gdy dała mu wodę i jedzenie. Po raz kolejny zdziwił się, gdy założyła mu smycz i wyprowadziła go na zewnątrz. Na szczęście nie stawiał oporu.

Zamknęła za sobą drzwi, lecz zatrzymała się przed nimi, ściskając w dłoni klucz.

– Zrobić to czy nie? – spytała oba psy.

Długo biła się z myślami, ale w końcu musiała podjąć decyzję, której powagi jeszcze nie rozumiała.

– Chcemy wiedzieć podstawowe rzeczy – poinformował zrezygnowany Bednarski. Szolc siedziała obok ze splecionymi na piersi rękoma. Nie miała już siły do Lipińskiego. Najpierw uparcie milczał, potem jakby sobie o czymś przypomniał. Chciał zadzwonić, lecz koniecznie z własnego telefonu. Musieli złamać zasady, żeby mu to umożliwić, ale zastrzegli, że pójdą mu na rękę, jeśli w końcu zacznie gadać. Poza tym miał jeszcze jedno żądanie – musiał udać się do swojego saloniku prasowego, gdzie czekał na niego pies.

– Co wy wszyscy z tymi psami? – Szolc pokręciła głową z niedowierzaniem. – Czy są w tym mieście ludzie, którzy nie zamęczają zwierząt w blokach?

– Co ma pani na myśli? – Tomasz ściągnął brwi i skrzywił się mocno.

– Nic, nic... – Machnęła ręką. – Po prostu zdaje mi się, że każdy, kogo spotykamy, ma jakieś zwierzę. To się robi nudne.

– Taki już urok tej sprawy – wtrącił się aspirant.

– Dobra, mniejsza z tym – ucięła w końcu. – Możemy przejść dalej? – zwróciła się do Tomasza, którego najchętniej zamknęłaby na dwadzieścia cztery w jakimś ciemnym pomieszczeniu i poczekała, aż sam się podda. Ale nie mieli na to czasu.

Musieli działać szybko, a on był jedyną osobą, która mogła im coś powiedzieć. Przeszukiwali ogródki działkowe i pobliskie tereny, lecz na nic nie mogli trafić, a godziny mijały nieubłaganie. Należało znaleźć osobę, która za to wszystko odpowiadała. Szolc trudno było uwierzyć, że to była Agnieszka Lipińska, kobieta raczej drobna. W jej domku znaleźli kilka zdjęć. Zdjęto z nich odbitki linii papilarnych. Część należała do Malwiny Król, ale aspirant już wcześniej wiedział, że je oglądała. Poza nimi nie natknęli się na nic ciekawego. Domek wypełniały starocie, drewno, jakieś skrzynki, doniczki. Był jedynie szpadel, ale podobne zapewne znajdowały się na większości posesji, każdym można było wykopać groby ofiar. Żadnych ukrytych rzeczy

pod materacem, żadnych śladów krwi poza tymi, które dziś w nocy nanieśli tam Król i Lipiński.

– To niemożliwe, żeby tak nagle zniknęła.

– Możliwe – odparł. – Ona bardzo często znika.

Zamilkł, choć czekali na rozwinięcie tematu. Tomasz jednak nie podjął wątku.

– Do cholery jasnej, niech pan zacznie wreszcie gadać! – zdenerwowała się Szolc, po czym odruchowo spojrzała na lustro obserwacyjne. Stali za nim prokurator, Morawiec wraz z psycholog Zalewską i naczelnik. Przysłuchiwali się rozmowie, nie powinna tak przy nich wybuchać.

– Powiem wszystko, co wiem, ale nic, co miałoby działać na niekorzyść Agnieszki.

– Nie rozumie pan, że ona jest w tym momencie naszym głównym podejrzanym? Musimy wszystko o niej wiedzieć.

– Właśnie dlatego nie chcę jej obciążać.

– Ale... – zaczął aspirant, lecz Tomasz nie dał mu dojść do słowa.

– Nie wierzę w jej winę. Już i tak życie za mocno ją sponiewierało. Nie chcę, żeby cierpiała jeszcze bardziej. Choć tyle jestem jej winien.

– Domyślam się, że nie bez powodu mieszkała w tamtym miejscu.

– Owszem.

– Jak do tego doszło?

Musiał się chwilę zastanowić, nim odpowiedział na to pytanie. Ale w końcu to zrobił.

– Rozstaliśmy się w dwa tysiące dziewiętnastym, mniej więcej rok po zaginięciu Rafała. Wynajmowaliśmy wspólnie mieszkanie, ale po rozstaniu rozwiązaliśmy umowę i każde poszło swoją drogą. Ja wynająłem inne, a ona przeniosła się na działkę. Było lato, mówiła, że to tylko na chwilę. Ale tak już zostało.

– Dlaczego się rozstaliście?

Tomasz westchnął ciężko. Szolc zauważyła też, że zaraz potem przełknął z trudem ślinę. Wytarł spoconą dłoń o spodnie i dopiero odpowiedział.

– Rok wcześniej zaginał nasz syn. Nigdy go nie odnaleziono. Szukaliśmy go intensywnie, ale nasz związek tego nie wytrzymał. Rafał nigdy się nie

odnalazł, a my już nigdy nie potrafiliśmy wrócić do tego, co było kiedyś. Agnieszka też zaczęła się gorzej czuć.

– Psychicznie? – dopytała się Szolc.

– Tak. Sam umówiłem ją do specjalisty. Z tego, co wiem, nadal do niego chodzi.

– Od razu poproszę nazwisko i adres.

Tomasz podał z pewnym wahaniem.

– Czasem sam jej załatwiałem odpowiednie leki – przyznał się. – Od razu uprzedzam. Ona nie pojawiała się u niego zbyt chętnie, a nie chciałem, żeby odpuściła. Wtedy byłoby jeszcze gorzej.

– Jak się zachowywała? Skąd pomysł, żeby zaczęła się leczyć?

Tomasz musiał się zastanowić, czy może poruszyć ten temat. W końcu jednak się przełamał. Wystarczyło wypytać sąsiadów, żeby się tego dowiedzieć.

– Przede wszystkim problemem była jej depresja poporodowa. Odrzucała naszego syna, nie chciała się nim w żaden sposób zajmować. Myślałem, że to przejdzie. Ale mijały tygodnie i nic się nie zmieniało. Nie tylko nie chciała się nim zajmować, ale nie chciała nawet na Rafała patrzeć, nie chciała, żeby jej dotykał. Pewnego razu zabrała go na działkę. Wtedy właśnie zniknął.

– Sama go tam zabrała?

Tomasz się zmieszał.

– To ja chciałem, żeby to zrobiła. Zawiozłem ich, a gdy wróciłem wieczorem, okazało się, że Rafała nie ma. Agnieszka wcale się tym nie przejęła.

Szolc nachyliła się do aspiranta.

– Trzeba będzie przekopać cały ten teren – zauważyła.

Bednarski odwrócił się bokiem do Lipińskiego.

– Z tego, co mi wiadomo, nigdy nie prowadzono żadnych poszukiwań Rafała Lipińskiego – odparł. – Niemniej rzeczywiście niezbędne będzie dokładne przeczesanie działki.

Z powrotem odwrócili się do skonsternowanego Lipińskiego, który miał na czole krople potu. Coraz mocniej się denerwował, choć usilnie starał się tego po sobie nie pokazywać.

– Czyli na wasze rozstanie bezpośredni wpływ miało zaginięcie dziecka? – Szolc podjęła przerwany na chwilę wątek.

– Tak. Agnieszka stała się zupełnie inną osobą. Oschłą, nieczułą, zrobiła się zgorzkniała. Brała leki, lecz po nich była jeszcze bardziej otępiała. Co prawda mniej się zamartwiała życiem, ale stawała się nieobecna. Z każdą kolejną dawką zdawała się ode mnie oddalać, jakby leki wypaczały jej pamięć i mnie z niej wymazywały. Czasem prosiłem ją, żeby zaczęła ze mną rozmawiać, ale wtedy była nieprzyjemna. Klóciliśmy się, ona bez przerwy obwiniała mnie o... – urwał nagle.

– O co pana obwiniała?

Tomasz wiedział, że nie powinien tego mówić, ale było już za późno. Wyrwało mu się, a podkomisarz pewnie i tak by drążyła.

– Ja namówiłem ją na dziecko. Ona go od początku nie chciała.

– Taka decyzja powinna być mimo wszystko podjęta wspólnie.

– Tak, oczywiście, ale to przy okazji była wpadka. – Dało się wyczuć, że albo kłamie, albo mocno naciąga prawdę. Nie chcieli go osądzać, lecz skoro to on chciał mieć dziecko, to może specjalnie się nie zabezpieczył. Bez informowania Agnieszki.

– Rozumiem. – Teraz musiała zadać jedno z ważniejszych pytań. – Proszę mi powiedzieć, co pan i żona robiliście piętnastego lipca dwa tysiące osiemnastego roku.

Mina Tomasza zdradzała wielkie zdziwienie.

– A co to ma do rzeczy?

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie mam pojęcia. To jakiś szczególny dzień? – Tomasz wyglądał na naprawdę zaskoczony tym pytaniem.

– Właśnie tego dnia został zamordowany na wydmie w Gdańsku sześćioletni chłopiec, Artur Bielawski.

Tomasz nagle poczerwieniał na twarzy. Jakby coś do niego dotarło.

Aspirant Bednarski położył na blacie stołu dwa zdjęcia.

– To fotografie, które znaleźliśmy w pana telefonie. Przedstawiają plażę nad Bałtykiem. Metadane zdradziły nam, że zostały wykonane na plaży w Gdańsku Brzeźno. Data powstania pierwszego zdjęcia to czternasty lipca dwa tysiące osiemnastego roku. Data drugiego to piętnasty lipca. – Szolc

i Bednarski spojrzeli wymownie na Tomasza. – Już przypomina pan sobie, co wtedy robił?

Nie odpowiedział.

Tomasz wyglądał na skołowanego. Wiedział, że wszystko zaczyna się sypać, ale zdawał sobie sprawę, że musi się bronić. Nie chciał pogrążyć Agnieszki, ale teraz to on był na celowniku. Należało to zmienić.

– Nie miałem pojęcia, że... – Zamilkł.

– Czy był pan wtedy w Gdańsku? – Podkomisarz powtórzyła pytanie, gdy zastanawiał się, czy jednak ma szansę skłamać i jakoś się wybronić.

Zamknął oczy i dopiero po kilku kolejnych sekundach odpowiedział.

– Tak.

– Sam?

Pokręcił głową.

– Z moją żoną Agnieszką.

Poprosili o adres hotelu. Nie pamiętał dokładnie, ale wystarczyła nazwa i przybliżona lokalizacja.

– Co tam robiliście?

– Po prostu wybraliśmy się na wakacje.

– Tak po prostu? – dociekała Szolc, jakby ta odpowiedź nie była logiczna.

– Chcieliśmy... Trochę odpocząć od tego wszystkiego. Chciałem, żeby Agnieszka oderwała się od poszukiwań Rafała. Tym bardziej że nie mogliśmy już liczyć na poprawę sytuacji. Agnieszka... Ona zaczęła bardzo mocno przeżywać to porwanie.

– Skąd pomyśl, że to porwanie, a nie na przykład nieszczęśliwy wypadek?

– Bo wtedy zapewne znaleziono by ciało. Po jakimś czasie albo od razu.

– Ale jak rozumiem, od samego początku brano pod uwagę tylko porwanie?

– Sam nie wiem... – Zamyślił się. – Na początku na pewno rozważane były różne opcje. Tak myślę. To było już dawno temu.

– Pamięta pan, gdzie bywał podczas wakacji w Gdańsku?

– Na pewno na plaży, gdzieś w restauracjach. Teraz raczej nie podam konkretnych miejsc. Chociaż na plaży byłem może raz czy dwa przez te... Trzy dni? – spytał, jakby to oni mieli wiedzieć. – Chyba właśnie tyle tam byliśmy. Agnieszka o wiele częściej gdzieś chodziła, nie chciała ze mną siedzieć. – Zasepił się. – Wolą wychodzić i wracać późno.

– Wie pan, gdzie wtedy była?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, nie śledziłem jej. Też chciałem odpocząć, a w pokoju hotelowym udawało mi się to najlepiej.

Wiedział, że za dużo gada, ale już chyba nie było odwrotu. Nie sądził, żeby Agnieszka miała z tym cokolwiek wspólnego. Poza tym policja nie miała żadnych dowodów świadczących na ich niekorzyść.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

– Można więc podejrzewać, że w dniu, w którym znaleziono ciało na wydmie, pańska żona przebywała na plaży? – To pytanie zrównało z ziemią jego nadzieje. – Pamięta pan, kiedy ostatni raz ją tego dnia widział i kiedy wróciła do pokoju?

Pokręcił głową.

– Wróćmy jednak do zaginięcia pana syna.

Tomasz przełknął głośno ślinę.

– Zastanawiamy się, czy jego porwanie może być powiązane z aktualnymi zbrodniami. Jak pan myśli?

Tomasz w odpowiedzi tylko zmarszczył brwi.

– Jesteśmy pewni, że to nie może być przypadek. Mamy to samo miejsce, tę samą podejrzaną.

– Sądzicie, że Agnieszka mogła zrobić coś własnemu dziecku? – Zachnął się.

– Przecież sam pan mówił, że nie chciała się nim zajmować. Odrzącała je. Nie byłoby dziwne, gdyby popełniła zbrodnię tylko po to, żeby się uwolnić od dziecka. To nie może być przypadek – powtórzyła Szolc. – Dla nas te sprawy bez wątplenia są powiązane. Być może porwanie pana dziecka będzie kluczem do rozwiązania naszej aktualnej zagadki. Agnieszka Lipińska jest w tym momencie naszym głównym podejrzanym, rozumie pan?

Nie odpowiedział.

– Nie można jej kryć. Wciąż nie odnaleźliśmy ostatniego zaginionego dziecka, nie wiemy, czy przypadkiem nie dojdzie zaraz do kolejnego porwania. Nie odnaleziono pana syna – powiedziała to głośno i dobitnie. – Nie chciałby się pan w końcu dowiedzieć, co się wtedy stało?

– Ale... Ona... – Zaczął się jąkać. – Ona go nie nienawidziła. – Wrócił do wcześniejszego wątku. – Nic z tych rzeczy. Ona była obojętna. Ona nienawidziła tylko mnie i...

– I... – Szolc chciała, żeby dokończył myśl. – Dlaczego właściwie ją pan zostawił z synem, skoro wiedział, że nie będzie się nim zajmować? – zaczęła z innej strony.

– Nie mogłem sam z nim cały czas być.

– Nikt panu nie pomagał?

Tomasz znów zamknął oczy, jakby to miało mu pomóc uciec.

– Co z jej siostrą? Ona nie chciała?

– Między innymi przez nią Agnieszka mnie znienawidziła.

– Co pan przez to rozumie?

– Beata jako jedyna mi pomagała w tym trudnym czasie. I wcześniej też.

– Dobrze rozumiem, że miał pan romans z siostrą Agnieszki Lipińskiej, Beatą Cieślak?

Skinął głową.

– Jeszcze przed zaginięciem pana syna?

Znów przytaknął.

– Czy pana żona się o tym dowiedziała?

– Tak.

– Kiedy?

– Na początku dwa tysiące piętnastego roku.

– Była wtedy w ciąży? – zapytała Szolc.

– Tak.

– W którym miesiącu?

– To było na początku, może trzeci miesiąc – przyznał niechętnie, po czym zapadła cisza. Musiał coś powiedzieć, żeby ją przerwać, bo stawała się

nieznośna. – Od tamtego momentu nasze życie bardzo się zmieniło.

Podkomisarz Szolc pokręciła głową zdegustowana.

– Nie wątpię – stwierdziła tylko.

Tomasz oparł głowę na blacie stołu i miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Jeśli wcześniej trudno było dostrzec działania policji, tak teraz na każdym kroku widziało się kogoś w mundurze. Ściągnięto wszystkie możliwe jednostki, pojawili się nawet stołeczni funkcjonariusze. Oczywiście w ślad za nimi ruszyli się dziennikarze. Nie zadowalało ich odsyłanie do rzecznika ani zapowiedź kolejnej konferencji prasowej, bo jak było wiadomo, nigdy nie wносиła do sprawy tyle, co krwiste plotki lub nawet urywki sensacyjnych, choć podanych nieoficjalnie informacji.

Przygotowywano się do licznych przesłuchań – ściągano dane wszystkich właścicieli ogródków działkowych, szczególnie tych położonych najbliżej terenu należącego do Agnieszki Lipińskiej i jej męża. Działka była ich własnością, odziedziczyli ją w dwa tysiące dwunastym roku. Tyle wiedział zarząd Związku Działkowców. Ich radca prawny od razu zaczął działać, bo obawiał się, że związek wpadnie w kłopoty. Na razie jednak policja potrzebowała informacji i swobodnej współpracy, żaden konflikt nie był im potrzebny.

Więcej informacji o Agnieszce Lipińskiej mieli nadzieję uzyskać od jej męża, lecz ten znów się zaciął i nie chciał współpracować.

– To niemożliwe, żeby on nie miał nic wspólnego ze sprawą – stwierdził Morawiec, wyglądając przez okno gabinetu Szolc. Zrobili przerwę. Tomasz stwierdził, że musi wszystko przemyśleć i potrzebuje kilku minut. Podkomisarz też potrzebowała przerwy, dlatego przystali na tę propozycję.

Tomasz został w pokoju z kubkiem wody. Oni zrobili sobie mocną kawę i przeszli do gabinetu.

– Mogę zapalić? – spytał komisarz, uchylając okno. Dziennikarz stojący obok jednego z wozów transmisyjnych od razu spojrział w górę, ale nie namierzył Morawca.

Szolc machnęła ręką, dając mu znać, żeby się nie krępował. W dziwny sposób myśl o zadymionym pomieszczeniu w ogóle jej nie przeszkadzała.

Próbowała skupić się na planie dalszej rozmowy z Lipińskim, który powoli pękał. Dobrze im szło. Wszyscy to czuli. Tyle że Tomasz cały czas kręcił i albo zmyślał, albo obchodził temat, byleby nie zdradzić najistotniejszych kwestii. Szolc zastanawiała się, jak go podejść, żeby nie miał innego wyjścia niż zdradzenie prawdy.

Prokurator stanął obok Morawca i też zapalił. Zapatrzył się w dziennikarzy, którzy nagrywali przebitki do wiadomości bądź po prostu fotografowali komendę. Dziś jeździli po całym mieście, od komendy do prokuratury, od prokuratury do parku.

W Łodzi pojawiły się dosłownie wszystkie stacje telewizyjne, wszystkie ważniejsze portale i czasopisma wysłały swoich reporterów. Od rana w wiadomościach mówiło się wyłącznie o kolejnym „zabójstwie nad Jasieniem”. Pierwsze przeszło bez większego echa, bo policja starała się utrzymać szczegóły w tajemnicy. Teraz szybko wypłynęły, bo media natarły jednocześnie z siłą, której nie dało się odeprzeć.

– Może zrobimy nieco dłuższą przerwę? – zaproponował prokurator. – Skoro nakaz przeszukania jest już gotowy, to nie lepiej byłoby powęszyć i złamać Lipińskiego jakimś mocniejszym dowodem? Wtedy na pewno zaczęłyby gadać.

– Może to i racja – odparła Szolc, która wyglądała na naprawdę zmęczoną bezowocnym przesłuchaniem. – Na Lipińskiego niewiele mamy poza tym, że naruszył miejsce zbrodni. Nic go ze sprawą nie łączy, co najwyżej to, że jest mężem naszej głównej podejrzanej i był dwa razy w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Pora znaleźć coś jeszcze.

– Sama obecność to już coś – rzucił Morawiec.

– Ale to niezbyt silna poszlaka. – Prokurator poparł Szolc. – Trzeba coś na niego znaleźć, żeby tu dłużej posiedział. Z tym, co mamy, wiele nie zdziałamy. Należy znaleźć Agnieszkę Lipińską. Jeśli on nie chce pomóc, to trzeba szukać gdzie indziej. Ktoś już sprawdził jego mieszkanie?

Wszyscy spojrzeli na Bednarskiego.

– Aspirant Gawron pojechała pod wskazany adres, ale tak jak uprzedzał Lipiński, mieszka tam już nowa rodzina.

– Czyli jego żona przeniosła się do ogrodu działkowego, a on zaczął mieszkać w saloniku prasowym? – zdziwił się Morawiec. – Coś mi tu nie pasuje.

– Bo Lipiński udziela informacji wybiórczo – odparła Szolc. – Pamiętam, że raz wspomniał o nowym mieszkaniu, potem się tego wypierał. Trzeba go mocniej przycisnąć, ale musimy znaleźć coś konkretnego. Więc do roboty!

Szolc i Bednarski poszli po Lipińskiego i chwilę później wsiedli razem z nim do radiowozu. Zastrzegł, że chce być obecny przy przeszukaniu, bo w saloniku od wczoraj jest jego pies. Głodny i niebezpieczny.

Prokurator jechał tuż za nimi. Mieli zgarnąć ze sobą jeszcze jeden patrol, ale w tym momencie wszyscy byli zajęci. Ostatecznie stwierdzili, że przeszukanie małego pomieszczenia nie powinno im sprawić wielkiego kłopotu.

Zaparkowali od frontu. Tomasz siedział spięty na tylnym siedzeniu. Nie odzywał się, miał dziwnie skamieniałą minę, jakby nagle go coś sparaliżowało.

– Idziemy – rozkazała Szolc.

Wyprowadzili go. Nie był skuty. Szli obok niego na tyle blisko, żeby w razie choćby jednego podejrzanego ruchu od razu go powstrzymać. Nic na niego nie mieli, ale należało szukać. Malwina Król dała mu szansę na alibi, ale jej zeznania nie były zbyt wiarygodne.

Tomasz powiedział, że gdy przechodził pod pobliskim wiaduktem, mijał go autobus. Od razu sprawdzono nagranie z monitoringu i okazało się, że mówił prawdę. Wstępnie ustalono czas zgonu psa, którego truchło znaleziono na terenie działki Agnieszki Lipińskiej, na pół godziny do godziny wcześniej. Ktoś roztrzaskał go o ścianę budynku. Krew była bardzo świeża, wciąż spływała po nieregularnej powierzchni, gdy technicy jej się przyglądali, chociaż w wielu miejscach zaczęła już zasychać. Za to krew na dłoniach Tomasza była najświeższa, musiał dotknąć ciała zaraz przed tym, jak znalazł go Bednarski. Były więc dwie opcje – albo to nie była sprawka Tomasza, albo zdążył się umyć, a potem biegiem okrążył teren, tylko po to, żeby uchwycić go jakaś kamera.

Zastanawiali się jednak, po co miałyby potem wracać na miejsce zdarzenia.

– To jedyne wejście? – spytała Szolc.

Skinął głową, wsuwając klucz do zamka. Wszedł do środka, a zaraz za nim Szolc i prokurator.

– Gdzie pies?

– Na zapleczu. Pewnie śpi. Obudzę go i założę mu smycz. I kaganiec.

– Jasne – burknęła Szolc, po czym zaczęła się rozglądać po saloniku. Prokurator stanął przy oknie, a ona weszła za ladę i od razu zaczęła przeglądać szuflady przy kasie.

Tomasz otworzył drzwi na zaplecze.

– Cześć, Qui-Gon – powiedział do pustego pomieszczenia.

Bednarski zatrzymał się na progu zaplecza, bo nie chciał mieć do czynienia z psem.

Tomasz sięgnął w bok, jakby szukając włącznika światła.

– Już, spokojnie – szepnął, choć Bednarski nie usłyszał choćby najcichszego warknięcia.

Aspirant chciał w końcu zrobić krok za próg, bo coś mu nie pasowało, ale w tym samym momencie Tomasz zamaszystym ruchem zamknął za sobą drzwi. Uderzył nimi aspiranta w nos.

– Kurwa! – zaklął Bednarski, paskudny ból momentalnie zaczął promieniować mu na całą twarz.

Zatoczył się to tyłu, słysząc szcęknięcie zamka. Szolc od razu do niego podbiegła i razem zaczęli napierać na drzwi. Tomasz tymczasem dopadł do tylnego wyjścia i z mocno bijącym sercem nacisnął na klamkę. Wydała z siebie cichy zgrzyt, a drzwi ustąpiły pod naporem jego pchnięcia.

Malwina zdębiała, gdy zadzwonił do niej aspirant Bednarski i spytał, czy wie, gdzie może teraz przebywać Tomasz Lipiński.

– Przecież go zatrzymaliście – zdziwiła się, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Była akurat w sklepie. Jakaś starsza pani spojrzała na nią podejrzliwie.

– Owszem, ale teraz potrzebujemy nowych informacji.

– Uciekł wam? – zapytała, zdziwiona. To jedyne, co przyszło jej do głowy. Taka kwestia mogłaby paść w filmie akcji. Nie sądziła, że może być prawdziwa, ale zawahanie aspiranta potwierdziło, że trafiła.

– W tym momencie nie mogę wiele powiedzieć. Kontaktował się dziś z panią?

– Nie, po co?

Wierzyła, że Tomasz nie ma z całą sprawą nic wspólnego, ale skoro im się wymknął, to znaczy, że jednak musi mieć coś na sumieniu. Inaczej jego postępowanie nie wydawało się zbyt logiczne.

Bednarski poprosił ją, żeby o wszystkim informowała policję.

Dokończyła zakupy i szybkim krokiem wróciła do domu, uciekając przed mżawką. Weszła do klatki i powolnym już krokiem zaczęła wdrapywać się po schodach. Zamarła, gdy spostrzegła, że Tomasz siedzi na ostatnim stopniu, tuż przy drzwiach jej mieszkania.

– Co ty tu robisz?

Przeszył ją dreszcz. Znała Tomasza, ale nagle zaczął jawić się w jej myślach jako osoba niebezpieczna. Zbiegom nie wolno ufać. Ktoś, kto nie zrobił niczego złego, zawsze stara się współpracować, żeby nie tylko oczyścić siebie samego, ale po prostu pomóc.

Z jakiegoś powodu on nie chciał tego zrobić.

Przypomniała sobie rozmowę z aspirantem, jedną z pierwszych. Wspominał wtedy, że czasem łatwo rozpoznać sprawcę po odruchowym

zachowaniu. Istnieją bowiem dwa sposoby radzenia sobie z popełnioną zbrodnią. Albo dana osoba nie chce się angażować w sprawę, odsuwa się od niej, albo wręcz przeciwnie – cały czas docieka, na jakim etapie są śledczy, chce wiedzieć, czy robią postępy, a także stara się na inne sposoby pokazać swoje zaangażowanie. Jak chociażby poprzez rzekome szukanie sprawcy na własną rękę, udzielanie wywiadów. Chce być zawsze na bieżąco, aby móc odpowiednio wcześniej planować swoje dalsze kroki i zwodzić policję albo w odpowiednim czasie się ulotnić.

Tomasz zaczął jej idealnie pasować do tej drugiej opcji. Okazało się jednak, że w pewnym momencie znalazł się zbyt blisko sprawy. Został aresztowany, więc potrzebował szybko działać. Musiał uciekać, żeby dać sobie czas na zaplanowanie nowej strategii działania.

– Musisz mi pomóc.

– Nic nie muszę – odparła oschle.

– Gdzie jest Qui-Gon? – zainteresował się nagle, dostrzegając, że nie ma przy jej boku żadnego z psów.

– W mieszkaniu. Wyszłam po zakupy. – Wskazała na trzymaną w dłoni torbę.

– Była u ciebie policja?

– Dzwonili tylko.

– I co ci powiedzieli?

Malwina popatrzyła po drzwiach sąsiadów. Domyślała się, że jeden z nich już pewnie stoi przy wizjerze i słucha ich rozmowy.

– Długo tu siedzisz? – Zmieniła temat. Chciała wejść do mieszkania, żeby nie stać cały czas na schodach, ale nie wiedziała, czy może Tomaszowi zaufać.

– Może dziesięć minut. Nie musisz się mnie obawiać – dodał, widząc jej skonsternowaną minę. Dostrzegła, że Tomasz jest cały w błocie. Buty i spodnie do kolan miał pokryte dziwnym brudnym szlamem.

– Tego właśnie nie wiem.

– Ja nic nie zrobiłem. Chciałbym ci to udowodnić.

– Jak?

– To już nieco trudniejsza kwestia. Ale wiem, że mi wierzysz.

– Niby skąd?

– Zostawiłaś otwarte drzwi, tak jak cię prosiłem.

Dopiero wtedy do niej dotarło, do czego mu to było potrzebne. Od razu zaplanował ucieczkę. To zmaćło jej myśli jeszcze bardziej.

Nagle rozległo się szczekanie. Qui-Gon usłyszał głos swojego pana i zaczął węszyć.

– Mogę? – Wskazał na drzwi, gdy wyżeł zaczął w nie drapać.

– Chyba nie mam wyjścia – odparła, przeszła niepewnie obok Tomasza i wsunęła klucz w zamek. Po chwili wpuściła go do środka. Wyżeł zaczął cieszyć się jak szalony. Od razu przeszli dalej. Malwina miała świadomość, że robi źle. Ale już nie było odwrotu.

Zamknęła za sobą drzwi i przeszła do kuchni. Dostrzegła ścieżkę z pokruszonego błota, która ciągnęła się za Tomaszem.

– Mógłbym prosić o kawę? – spytał. – Całą noc nie spałem i wątpię, żebym miał niedługo okazję to nadrobić.

– Jasne – syknęła rozeźlona.

Wstawiła wodę i schowała zakupy do lodówki. Tomasz usiadł na krześle przy małym stoliku, a Malwina na łóżku. Podciągnęła nogi pod brodę i patrzyła, jak Fibi cieszy się z tego, że wyżeł w końcu się ożywił.

– Skoro nie jesteś w to wszystko zamieszany, to co właściwie tam robiłeś? – spytała w końcu.

– Widziałem ją przez okno – odparł po chwili zastanowienia.

– Kogo widziałeś? – dopytała, choć domyślała się.

– Agnieszkę. Poznałaś ją, prawda? Byłaś u niej?

Malwina skinęła głową. Tomasz odetchnął głęboko i zaczął opowiadać.

– Myślałem, że znów jej odwaliło. W pierwszej chwili się przestraszyłem, bo w takich momentach bywała nieobliczalna. Kłóciła się, wyzywała, często rzucała, czym popadnie. Wiele już razy spotykałem ją gdzieś na mieście, w parku, na działce. Te spotkania nigdy dobrze się nie kończyły. Dlatego nie chciałem do niej wychodzić. Ale wiedziałem, że może potrzebować mojej pomocy, bo nigdy nie przychodziła tak po prostu. Dlatego za nią poszedłem. Zwykle tylko ją obserwowałem, co jakiś czas odnajdowałem ją wzrokiem i patrzyłem, co robi, ale teraz musiałem sprawdzić, co się dzieje.

Malwinie wszystko złożyło się w całość. Tomasz musiał być tym prześladowującym Agnieszkę cieniem.

– Stwierdziłem, że muszę zareagować, żeby sobie jeszcze bardziej nie odpuściła.

– Czego?

– Życia. Po prostu. Wtedy... – Wrócił do przerwanej wątku. – Poszedłem tam i myślałem, że to ona leży na ziemi, że coś jej się stało. Widziałem krew. Chciałem

coś zrobić, ale nie miałem pojęcia co. Na szczęście szybko się zorientowałem, że to nie jest krew Agnieszki. Szukałem jej, ale nie mogłem znaleźć. Jak zresztą wiele razy. Często się przede mną chowała, a teraz uciekła gdzieś naprawdę daleko, skoro policja nie może jej znaleźć. Też chciałem zacząć szukać, ale po chwili pojawiłaś się ty.

– Nic dziwnego, że przed tobą uciekała, skoro ją zostawiłeś...

– To nie tak. – Westchnął przeciągle. – Musiałem ją zostawić. Nie było innego wyjścia. Już od dawna niewiele do siebie czuliśmy. Dziecko miało to zmienić, ale jej wtedy jeszcze bardziej odbiło. Nie potrafiłem z nią żyć, musiałem się wynieść. Rzuciła pracę, gdy urodziła Rafała, ja nas utrzymywałem. I nagle przestała sobie radzić. Depresja po porodzie przerodziła się w załamanie psychiczne. Dodatkowo...

– Jak można zostawić kogoś w takim stanie? – wtrąciła nagle Malwina.

Patrzyła na Tomasza i nie rozumiała, jak mógł tak spokojnie o tym mówić, jak mógł uznawać takie postępowanie nie tylko za logiczne, ale po prostu normalne. Potraktował Agnieszkę jak ostatniego śmiecia. Inaczej tego Malwina nazwać nie mogła.

– Musiałem...

– Straciła dziecko, załamała się, a potem jeszcze straciła męża. Dlaczego jej to zrobiłeś?

– Musiałem wybrać, kto jest ważniejszy.

Malwina nic z tego nie rozumiała.

– Co masz na myśli?

Tomasz znowu westchnął. Wiedział, że powinien jej w końcu powiedzieć prawdę.

W ciągu kilku sekund udało im się wejść do środka. Bednarski aż zaniemówił, gdy zobaczył drugie drzwi, otwarte, prowadzące na zewnątrz.

– Kurwa mać! – zaklął i wybiegł na dwór. Szolc zrobiła to samo i razem okrążyli budynek, ale Lipińskiego nigdzie nie było.

– Naprawdę mu zaufaliśmy? – zdziwiła się Szolc. – Naprawdę pozwoliliśmy mu tam samemu wejść, sądząc, że nie zrobi niczego głupiego?

– Racja, to było wyjątkowo niemądre – przyznał prokurator.

– Miał tylko jeden krok przewagi, ja... – uciał Bednarski, nie wiedząc, jak się wytłumaczyć, choć nie sądził, żeby popełnił jakikolwiek błąd. Tomasz go zaatakował w najdogodniejszym dla siebie miejscu.

– Nie mógł daleko uciec.

Bednarski przeczesał pobliski parking, ale Lipiński nie schował się za żadnym samochodem. Sprawdził drzwi do klatek sąsiedniego bloku. Wszystkie były zamknięte.

– Nie mam więcej pomysłów – zwrócił się do Szolc. Ona sprawdziła pobliskie przejście pod wiaduktem, a prokurator zarośla przy przystanku autobusowym.

– Przecież się nie rozpląnął. – Bednarski nie mógł sobie darować, że od razu za nim nie poszedł.

– Zna ten teren znacznie lepiej od nas – zauważyła Szolc. – Z pewnością gdzieś tu jest. Schował się i może nawet teraz nas obserwuje. – Rozejrzała się, mając nadzieję, że dostrzeże jakiś ruch. Zauważyła tylko, że dziennikarz po drugiej stronie ulicy robi jej zdjęcie. – Zaraz zlecą się tutaj te hieny.

Szolc z prokuratorem weszli z powrotem do saloniku, żeby dokończyć przeszukanie. Bednarski natomiast stwierdził, że rozejrzy się jeszcze raz po okolicy.

– Nawet jeśli się gdzieś tu schował, to zaraz będzie musiał z tej kryjówki wyjść – zauważył.

Przeszukanie zaczęli tym razem od zaplecza, gdzie dostrzegli ślady psa, ale jego samego z pewnością od jakiegoś już czasu tu nie było.

– Sprytnie to sobie zaplanował – stwierdziła Szolc, siadając do jego laptopa. – Ktoś musiał mu w tym pomóc. Nie bez powodu dzwonił i chciał koniecznie się tu pojawić.

– Od razu usunął listę ostatnio wybieranych kontaktów, ale jak dostaniemy bilingi, to się wszystkiego dowiemy – odparł prokurator.

– Czyli zbyt późno, bo teraz jest nam to potrzebne.

– Zapewne – przyznał jej rację.

Szolc pobieżnie przejrzała pliki w komputerze, ale nie trafiła na nic ciekawego. Historia wyszukiwania była wyczyszczona, Lipiński wylogował się też z konta na Facebooku.

– Zabezpieczył się, jakby wiedział, że będziemy u niego węszyć – zauważyła.

– Co tylko potwierdza, że maczał w tym wszystkim palce.

– Tak czy siak, coś musimy znaleźć. Chociaż jeden adres, jedną lokalizację, która może nam wskazać, gdzie teraz znajduje się jego żona. Albo on. Cholera, na pewno by nas do niej doprowadził, gdybyśmy teraz za nim poszli.

Gdy to powiedziała, przed salonikiem pojawił się wezwany przez Bednarskiego patrol. Od razu wiedzieli, co mają robić. Zaczęli przeszukiwać okolicę. Aspirant w tym czasie po kolei dostawał się do kolejnych klatek w pobliskim bloku, lecz mógł jedynie sprawdzić schody i jedno otwarte zejście do piwnicy. Jeśli Lipiński miał w bloku jakiegoś znajomego, który go ukrył, to już z nimi wygrał. Ale nie można się było poddawać.

– Mamy adres Beaty Cieślak – powiedział aspirant, gdy Szolc ostatni raz rozglądała się po saloniku. Już nie szukał Tomasza. Na razie nie potrafił go znaleźć. – Skoro Lipiński nie chciał go nam podać, to może właśnie tam będzie teraz. Z pewnością wszystko sobie wcześniej zaplanował.

– Daleko stąd mieszka Beata Cieślak?

– Przy Morcinka. – Aspirant otworzył szybko mapy Google. – Dwadzieścia minut pieszo.

– Okej, ja z prokuratorem dokończymy przeszukanie, ty jedź na miejsce. Niech Gawron do ciebie dołączy. A wy – zawołała do patrolu, który wrócił z niczym – idźcie najprostszą drogą na Morcinka. Może się natkniecie na Lipińskiego.

Od razu przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli we wskazanym kierunku. Aspirant wsiadł do radiowozu. Wjeżdżając na Śmigłego-Rydza, wezwał aspirant Gawron.

Na miejscu pojawił się kilka minut później. Zaparkował kilkanaście metrów za blokiem, tuż za dwoma wysokimi koszami na śmieci, chcąc nieco zamaskować swoją obecność.

– Jakim cudem dojechałaś tu tak szybko? – zdziwił się, gdy dostrzegł przy oknie czarnowłosą aspirant Edytę Gawron.

– Byłam w pobliżu – odparła. Poczekala, aż Bednarski wysiądzie z radiowozu. Po chwili ruszyli w stronę konkretnej klatki schodowej.

– Gdzie zaparkowałaś? – spytał, rozglądając się.

– Wiesz co, Tokarski mnie podrzucił i pojechał na komendę. Ma coś do załatwienia. Przesłuchują właścicielkę jednego z ogródków działkowych, który znajdował się w pobliżu tego należącego do Lipińskiej. Bardzo dobrze się znały. Wiesz, co powiedziała? Tokarski miał od razu dzwonić do Szolc.

– Podkomisarz nic o tym nie wspominała.

– Podobno w dniu zaginięcia ich syna Tomasz Lipiński i siostra Agnieszki byli wraz z nią na działce.

– No tak, przywieźli ją i dziecko...

– Nie, nie – weszła mu w słowo. – Oni tam byli cały czas. Najprawdopodobniej także w momencie, w którym zniknęło dziecko. Co więcej, – sąsiadka nie ma pojęcia o tym, że ono zaginęło.

– Lipiński twierdził, że go szukano.

– Ale my też nic o poszukiwaniach nie wiemy. Najpierw sądziłam, że może akta sprawy gdzieś się zawieruszyły po zakończeniu poszukiwań, zdarza się, że dokumenty giną już po roku. Ale Tokarski przekopał archiwum i nic. Ani jednej wzmianki.

– Czyli co, nie było żadnego dziecka?

– Może było, a teraz leży zakopane na działce. To by miało sens. Pozbyli się niechcianego dzieciaka i sprawa by się nie wydała, gdybyśmy teraz nie

zaczęli węszyć.

– Tak bardzo im się to spodobało, że zaczęli potem wspólnie zabijać?

Edyta już nie odpowiedziała.

Doszli do drzwi. Bednarski sprawdził numer, aby się upewnić, że to odpowiednia klatka. Nie chciał korzystać z domofonu, żeby nie spłoszyć Tomasza, jeśli tutaj dotarł.

– Znaleźliście coś w tym jego saloniku? – spytała Edyta.

– Nic ciekawego. Ale cały czas zastanawia mnie jego relacja z Beatą Cieślak. Zalewska wyciągnęła z niego, że to ona zabiegała o względy Tomasza, to ona naciskała na romans, gdy jej siostra zaszła w ciążę. On po prostu uległ.

Edyta prychnęła. Oparła się o ścianę i patrzyła, jak Bednarski się rozgląda. Sądził, że prędzej trafią na Lipińskiego, gdy będzie tu szedł, niż w samym mieszkaniu.

– Po prostu uległ, też mi coś.

– Podobno już wtedy zaczęły się problemy z Agnieszką, a Beata chciała go od nich odciągnąć. To brzmi tak nierealnie i głupio, że musi się za tym kryć coś naprawdę mocnego – stwierdził Bednarski. – Wydaje mi się, że chciała być blisko chłopca. To głównie ona zajmowała się Rafałem, gdy Agnieszka go odtrącała.

– Dlaczego właściwie nie on sam? – zdziwiła się Gawron. – Zrobił żonie dziecko, a ostatecznie to Beata Cieślak się nim zajmowała? W ogóle mi to nie pasuje.

– No przyznaję, że jest to zagmatwane. Lipiński twierdzi, że to miał być ich sposób na uratowanie związku.

– Czyli już wcześniej mieli problemy? Cięża, a potem zdrada wcale nie były początkiem końca?

– Tego już nie wytłumaczył. Mówił coś, że byli ze sobą od bardzo dawna, uczucie wygasało, chcieli być razem, ale nie wiedzieli, co zrobić, żeby znów było dobrze.

– Więc wybrali taki sposób?

Aspirant wzruszył bezradnie ramionami. W końcu zadzwonił pod przypadkowy numer. Gdy nikt nie odebrał, wybrał inny.

– Może ona nieco więcej nam powie – bąknął i zaraz potem ktoś odezwał się przez domofon. – Dzień dobry, policja, proszę otworzyć drzwi.

Po chwili konsternacji po drugiej stronie rozległ się krótki pisk. Mogli wejść do środka. Wdrapali się na trzecie piętro i stanęli przed drzwiami mieszkania Beaty Cieślak. Zadzwonili i czekali.

– Tak? – dobiegł ich w pewnym momencie kobiecy głos.

– Dzień dobry, aspirant Jakub Bednarski, chcielibyśmy porozmawiać.

Kobieta chwilę milczała, zapewne spoglądała przez wizjer. W końcu uchyliła drzwi.

– Pani Beata Cieślak?

W szparze między drzwiami a futryną dostrzegli dość puciołowatą twarz młodej, może dwudziestopięcioletniej dziewczyny o czarnych, tłustych włosach.

– Nie – ucięła bez wyjaśnień.

– Możemy wejść?

– A o co chodzi? – Widok dwójki policjantów zdziwił ją i zaniepokoił. Wyraźnie miała ochotę zamknąć drzwi i się nie odzywać, ale chyba za bardzo przestraszyła się mundurów. – Coś się stało?

– Szukamy Beaty Cieślak. Wiemy, że tutaj mieszka. Pani także?

– Nie, ja tylko... – urwała nagle, po czym spojrzała za siebie, jakby w głębi mieszkania Cieślak jednak była. Bednarski pchnął delikatnie drzwi. Niezbyt mocno, lecz na tyle stanowczo, żeby zaniepokojona dziewczyna puściła kłamkę.

– Możemy wejść? – powtórzył pytanie, po czym zrobił krok do przodu. Wtedy dziewczyna się wycofała. Aspirant stanął w progu i patrzył, jak ta stara się zasłonić swoim ciałem wejście do salonu. – Czy pani Cieślak jest w mieszkaniu?

– Nie ma jej – wyjąkała.

– A co pani tu robi?

– Ja... Ja tylko...

– Tak? – nalegał na wyjaśnienia. Wtedy dostrzegł ruch. Zawiesił dłoń nad kaburą z bronią, chcąc w razie czego od razu interweniować, lecz okazało się,

że z za dziewczyny nie ukazała się ani Beata Cieślak, ani Tomasz Lipiński, lecz...

– Zajmuję się dzieckiem – odparła w końcu.

Policjanci zauważyli siedmioletniego chłopca, który oparł się o jej nogę i wyjrzał zza niej niczym zza pnia drzewa.

– Czyje to dziecko?

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę, lecz nie odpowiedziała.

– Rafał? – Po raz pierwszy odezwała się Edyta Gawron. Stała tuż obok aspiranta, schyliła się i spojrzała dziecku prosto w oczy. – Nazywasz się Rafał Lipiński, prawda?

Chłopiec skinął nieśmiało głową. Bednarski nie wierzył w to, co właśnie się działo.

– Że co? – Malwina sądziła, że się przesłyszała, choć Tomasz mówił głośno i wyraźnie. Miała pójść zrobić kawę, woda dawno już się zagotowała. Dziewczyna nie potrafiłaby się w tym momencie ruszyć.

– Upozorowaliśmy porwanie Rafała – powtórzył. – To był jedyny sposób na to, żeby zająć się nim w odpowiedni sposób.

– Niby dlaczego?

– Bo Agnieszka nie chciała.

– A ty? Gdzie w tym wszystkim byłeś ty?

Tomasz się zmieszał. Przyznanie się do porwania własnego dziecka nie wprawiło go w zakłopotanie, lecz to pytanie już tak.

– Ja sam nie wiedziałem, co mam robić. Nie ja tu byłem najważniejszy.

– Tylko kto?

– Beata.

– Kto?

– Siostra Agnieszki. To ona zajmowała się Rafałem, gdy Agnieszka go odrzuciła. Jako jedyna była dla niego czuła i opiekuńcza.

– Jako jedyna? A co z tobą?

– Ja... Nie miałem pojęcia, co właściwie mam robić. – Tomasz ukrył twarz w dłoniach. Malwina myślała, że ma ochotę się rozpłakać, lecz on po prostu nie chciał na nią patrzeć, jej wzrok peszył go z każdą chwilą coraz bardziej. – Nie miałem pojęcia o zajmowaniu się dzieckiem. Chciałem go, ale... sądziłem, że opieka nad nim nie będzie spoczywała wyłącznie na moich barkach. Poza tym... Zaraz po porodzie, gdy Beata zauważyła, że Agnieszka nie chce zajmować się Rafałem, od razu go przejęła. Nie potrafię tego wytłumaczyć... To wyglądało tak, jakby Agnieszka z pełną świadomością oddała go siostrze, jakby się umówiły. Nagle Rafał stał się jej własnością. Nie było już ani Agnieszki, ani mnie. W jakiś sposób stałem się bezradny, zdany

na łaskę kobiety, która od początku ciąży siostry przygotowywała się do przygarnięcia Rafała. Tym bardziej że... – Przełknął głośno ślinę. – Tym bardziej że kilka razy się z nią przespałem.

– Co?! – zapytała wielce zdziwiona Malwina.

– Już od dłuższego czasu nie dogadywałem się z Agnieszką. Noc, kiedy chyba zaszła w ciążę, była ostatnią, którą spędziliśmy razem tak blisko. Beata o tym dobrze wiedziała i wykorzystała fakt, że brakuje mi bliskości.

– Przecież to nienormalne...

– Zamieszkała u nas po narodzinach Rafała – opowiadał dalej, jakby nie usłyszał słów Malwiny. Zdawało się, że bardzo potrzebował w końcu o tym opowiedzieć. Policji nie mógł, bo nie chciał zeznawać na niekorzyść Agnieszki. Ale Malwinie ufał. – Ja pracowałem, a ona zajmowała się Rafałem, domem. Agnieszka całymi dniami leżała w łóżku albo chodziła po mieście, gdy już nabrała sił po porodzie. Cały czas próbowałem przekonać żonę, że źle robi, że powinna zacząć działać, ale wydawało się, że jej to wszystko jest na rękę. Czekałem, sądziłem, że to minie. Że za tydzień, za miesiąc wszystko się poprawi. Ale minęło wiele miesięcy, które nie przyniosły żadnych zmian. W pewnym momencie Beata zasugerowała, żebyśmy przenieśli się do niej. Miała większe mieszkanie, chciała do niego wrócić, ale nie bez Rafała i nie beze mnie, bo...

– Bo twoja obecność usprawiedliwiała to, że ona zajęła się dzieckiem – dokończyła za niego.

– Tak. Musiałem być przy niej. Ona chciała dziecka, którego nigdy nie mogła mieć. A gdy ja byłem przy niej, to wszystko było w porządku. Rodzic nie może porwać własnego dziecka.

– Zaplanowała to od samego początku – mruknęła zrezygnowana Malwina.

– Dopiero niedawno to sobie uświadomiłem. Beata nigdy nie miała faceta. Zawsze pragnęła dziecka. Przeszła kiedyś jakąś kobiecą operację, ale doszło do zrostów, nie pamiętam dokładnie, o co chodziło. Jediną możliwością zajścia w ciążę było in vitro. A tego nie chciała. Podobno była minimalna szansa na naturalne zapłodnienie, ale to wymagałoby wielu prób, których Beata nie chciała podejmować.

– Do czasu, aż Agnieszka zaszła w ciążę?

– Tak, to był chyba ten krytyczny moment, w którym musiała spróbować. Padło na mnie. Nie udało się, więc musiała zrealizować zgoła inny plan.

Zawsze też zazdrościła Agnieszce, że nie ma problemów z płodnością, że może mieć dziecko. I złościło ją, że tego dziecka nie chce. Nie rozumiała, czemu najpierw Agnieszka nie chciała zajść w ciążę, a potem odrzuciła Rafała.

– To ona przekonała ją do ciąży? W ogóle coś takiego jest możliwe?

– Od lat mieszała jej w głowie. Ja sam też temu uległem. Bardzo chciałem dziecka, więc w to namawianie się włączyłem.

– Żałujesz tego?

Wziął głęboki oddech.

– Nie. Mam syna, którego naprawdę mocno kocham. Tego właśnie chciałem. Myślałem, że Agnieszka też go pokocha, że to wzmocni nasze małżeństwo, ale tak się nie stało. Potem wydawało mi się, że Beata będzie potrafiła zastąpić Agnieszkę.

– To obrzydliwe...

– Ale i wtedy się pomyliłem. Beata w dziwny sposób potrzebowała atrapy szczęśliwego związku. Partnera, dziecka. Zamieszkałem z nią. Ona najpierw przez dziewięć miesięcy nie pojawiała się w swojej okolicy, a potem wróciła z dzieckiem. Sąsiedzi nawet się nie zdziwili. Ba! Byli zachwyceni, a ona mogła napawać się ich uwagą. Ich pochwałami, jakiego to ma wspaniałego faceta, jakie to ma wspaniałe dziecko.

– A tobie to odpowiadało?

– Dopóki mogłem w spokoju pracować i wracać do domu, w którym czekał na mnie syn i opiekująca się nim z czułością kobieta, to tak. Odpowiadało mi to.

– Ale? – Wiedziała, że coś musiało w końcu przestać działać.

– Problemy zaczęły się, gdy chciałem odnowić kontakt z Agnieszką. Ja przeprowadziłem się do Beaty, umowa najmu się skończyła, więc Agnieszka musiała się wyprowadzić. Wybrała działkę. Praca w saloniku obok pozwalała mi jej doglądać. Czasem wpadałem do niej, szedłem z nią do lekarza, kupowałem leki, jedzenie. Nie stać mnie było, żeby jej coś wynająć, a ona też nie chciała wrócić do pracy. Była wrakiem człowieka.

– Dobiło ją to, że ją zostawiłeś.

– Tak naprawdę nie wiem, co ją dobiło. Może zrozumiała, że źle traktowała Rafała? Wiedziała, że to było powodem mojego odejścia. Jej depresja

poporodowa, którą dłuższy czas nikt się nie zajął, przerodziła się w coś poważniejszego, co zaważadnęło nią całą. Chciałem jej pomóc, ale Beata się na to nie godziła. Miałem być cały czas przy niej, nie mogłem wychodzić nigdzie sam, szczególnie na działkę. Nie wiem, skąd wiedziała, że właśnie tam się pojawia, ale wpadała w szal, gdy to robiłem. Wszczynała awantury, nie przejmowała się tym, że Rafał się boi. Dlatego ostatnio zamieszkałem w saloniku. Chciałem przeczekać jeden z większych napadów jej złości. Nie potrafiłem go znieść, dlatego musiałem się tam zaszyć.

– Te awantury nie minęły?

– Z każdym dniem narastały. Co prawda wszystko ograniczało się do wypisywania mi wiadomości i nagrywania się na pocztę głosową, ale każdego dnia robiła to z coraz większą złością.

– I nie przyszła do ciebie?

– Sądziłem, że w końcu to zrobi. Ale najwyraźniej nie chciała zostawiać Rafała samego. Odpowiadało mi to. Ja chciałem zająć się Agnieszką. W nocy zauważyłem, że kręci się przed moim salonikiem. Zobaczyłem kogoś przez okno. W pierwszej chwili sądziłem, że to Beata, i nieźle się przestraszyłem. Ale potem doszedłem do wniosku, że się pomyliłem. Że Agnieszka potrzebuje pomocy.

– Widziałam cię wtedy przez okno. Dlatego też wyszłam.

– Poszedłem na działkę, a tam... Tam było dużo krwi i ciało, które... Nie miałem pojęcia, co to było. Musiałem sprawdzić. Było ciemno, a chwilę później pojawiłaś się ty. Zemdlałaś, więc zaniósłem cię do środka, żebyś nie leżała na mokrej trawie. Czekałem, aż oprzytomniejesz. Nie chciałem dzwonić na policję, bo wiedziałem, że Agnieszka nie ma z tym nic wspólnego. Policja się myli. Wiem o tym. Tym bardziej że to nie Agnieszka tam była na działce.

Tomasz nagle wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się w przestrzeń za nim. Rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma policji. Podejrzewał, że w końcu tu przyjdą. Ale najwyraźniej miał jeszcze czas.

– Czyli jednak ktoś tam był? – zdziwiła się Malwina. – Kto?

Tomasz odwrócił się od okna i spojrzał Malwinie głęboko w oczy.

– Sądzę, że się domyślasz.

Szolc przyglądała się zdjęciom satelitarnym rozłożonym na jej biurku. Teren, który na nich widniał, podzielono na trzy strefy. Najważniejsze były dwie – park nad Jasieniem i przylegający do niego teren ogródków działkowych. Trzecim elementem układanki na biurku był obszar przy stawie opodal Przędzalnianej. Razem to niemal czterdzieści pięć hektarów powierzchni, nie wliczając w to prawie czterohektarowego stawu. Z dwóch stron te tereny zamknięte były wysokimi murami. Od wschodu stał długi betonowy płot, biegnący wzdłuż ulicy Do Folwarku, a od zachodu znajdowały się odgradzone stalowym płotem tereny dawnej przędzalni Scheiblera i przylegającego do nich Miejskiego Centrum Medycznego im. dr. Karola Jonschera.

Wzięty pod lupę teren nie był zbyt rozległy, dzięki czemu dało się dość prosto rozmieścić jednostki na wszystkich prowadzących do niego ulicach. Lustrowało je non stop osiem patroli, a trzy inne przeczesywały nieustannie tereny niedostępne dla radiowozów, na które nie miały w tym momencie wstępu żadne postronne osoby.

W sumie działania policyjne prowadzone były na ponad dziesięciu ulicach; przerażało to okolicznych mieszkańców i ściągało w tę okolicę licznych reporterów.

Szolc zaznaczyła na mapie wszystkie miejsca zdarzenia, miejsca zbrodni i miejsca, w których byli widziani ich podejrzani – Tomasz Lipiński i Agnieszka Lipińska. W tym momencie skupiali się wyłącznie na nich.

– Domyślam się, że współpracują – powiedziała wcześniej Szolc. – Nawet jeśli Tomasz nie brał bezpośrednio udziału w zbrodniach, mógł pomagać żonie. Znamy mniej więcej ich relację i wiemy, że domniemany motyw do nich pasuje, prawda? – zwróciła się do Zalewskiej, która pracowała aktualnie z Morawcem nad profilem psychologicznym sprawcy.

– Owszem – odparła tamta. – Począwszy od faktu, że oboje mieszkają w pobliżu i doskonale znają teren, a park przecina ich szlaki komunikacyjne.

Morderca albo znał zwyczaje dzieci, czy raczej ich rodziców, albo wypatrywał przypadkowych ofiar w miejscach, w których było to najłatwiejsze. Sprawca wiedział, że w parku często pojawiają się też psy bez właścicieli, a w okolicach domu dziecka, sklepu i bloku można wypatrzeć dzieci pozostawione bez opieki.

– Podobnie na plaży – wtrącił Morawiec. – W końcu co rusz zdarzają się tam mniej lub bardziej poważne zaginięcia.

– A to nie wszystkie są ważne? – zdziwiła się ironicznie Szolc.

– Jeśli dziecko ginie na chwilę, pół godziny, godzinę, to...

– Tak, rozumiem, wiem, o co chodzi – przerwała mu, nie chcąc słuchać tych jego poważnych wyjaśnień, których wcale nie oczekiwała.

– Ani Tomasz Lipiński, ani Agnieszka Lipińska – podjęła wątek Zalewska – nie należą do osób postawnych. Są średniego wzrostu, szczupli. Byliby w stanie udusić, ale nie uszkodzić kręgosłup. Sprawca raczej nie pracuje fizycznie. Trudno mu zapewne powalić dorosłego człowieka i być może dlatego na ofiary typuje istoty niemal bezbronne.

– Za winą Lipińskiej przemawia fakt, że jest kobietą – dopowiedział Morawiec. – Wiem, jak to brzmi, ale ona, prowadząc dziecko za rękę, z pewnością wzbudziłaby mniejsze podejrzenia. Nawet gdyby dziecko płakało i się wyrywało.

– To fakt – przyznała mu rację Zalewska. – Wszystkie dzieci zostały uprowadzone w miejscach, w których było wielu potencjalnych świadków, a tymczasem nie mamy żadnego. Mimo licznych komunikatów nie znaleźliśmy nikogo, kto widziałby tam cokolwiek podejrzanego. Monitoring przy sklepie nie wyłapał sprawcy, dom dziecka kamer nie ma w ogóle, podobnie jest w parku. Sprawca doskonale znał teren. W napadach złości wiedział, gdzie szukać. – Zalewska w końcu przeszła do meritum.

– Właśnie – ponaglił ją Morawiec.

– Bez wątpienia sprawca funkcjonuje w związku emocjonalnym, lecz jest to raczej związek zaburzony. Gdyby emocje w nim nie wyglądały niczym sinusoida, zbrodnie pojawiłyby się w jednym czasie, nastąpiłyby po sobie i być może na nich by się skończyło. Tymczasem mamy trzyletnią przerwę między dwiema zbrodniami i trzecią zbrodnię w krótkim odstępie czasu. Coś musiało się ostatnio wydarzyć, co sprawiło, że emocje odżyły. Emocje, którym sprawca dawał upust poprzez zabijanie psów, gdy potrzebował nieco

słabszego „odreagowania”. – Zalewska zrobiła palcami cudzysłów w powietrzu. – Badania psychologiczne jasno wskazują, że seryjni zabójcy często atakują po kłótniach z partnerką, do której żywią ambiwalentne uczucia.

– Brzmi znajomo – mruknęła Szolc.

– I choć jednocześnie kochają i nienawidzą, to partnerka jest dla sprawcy osobą niezwykle ważną, mimo że to ona dominuje w związku. Używam formy męskiej, bo przeważa w badaniach, lecz nie wykluczam, że ten element może się odnosić także do kobiety.

– Zwłoki zostały ukryte, żeby sprawca mógł zdobyć alibi przed ich ewentualnym znalezieniem. – Dalej opowiadał Morawiec. – Zbrodnie zostały popełnione najprawdopodobniej bez planowania, w napadach złości. Śmierć została zadana szybko, choć brutalnie. W żadnym przypadku nie ma nadzabijania, nie zadano większej liczby ciosów, niż było potrzeba do uśmiercenia ofiary. Zrobiono tylko tyle, by szybko zabić, więc sprawcy nic nie łączyło z ofiarami. Dwa pierwsze ciała zostały ukryte tak, żeby nie udało się ich odnaleźć.

– Inaczej jest teraz – wtrąciła się Zalewska. – Ciało dziecka zostawiono na środku ścieżki.

– Być może sprawca nie zdążył go ukryć – podesunęła Szolc.

– Gdyby chciał, to znalazłby odpowiednie miejsce na zamaskowanie zwłok.

– Czyli tym razem pragnął, żeby jego czyny zostały dostrzeżone?

– Tak sędzę – zawyrokowała psycholog. – Z Agnieszką Lipińską nie połączyliśmy sprawy sprzed trzech lat, nie połączyliśmy z nią śmierci dziecka i psów, których ciała zostały zakopane kilkaset metrów od jej ogrodu działkowego. Chciała się ujawnić. Być może Tomasz Lipiński się o tym dowiedział. Chciał ją nakłonić do zmiany zdania. Możliwe, że wyrządził krzywdę jej samej, lecz zanim zatarł ślady, natrafiła na niego Malwina Król.

Szolc pokiwała poważnie głową.

– To ma ręce i nogi.

– Król wspomniała, że widziała, jak oboje, Lipiński z żoną, się kłócą. Nie dosłyszała, o co chodziło, lecz Tomasz był wyraźnie wzburzony – zauważyła Zalewska. – Być może wtedy opowiedziała mu o swoim planie ujawnienia się. Niemniej założenie, że razem w tym siedzieli, kłóci się z wykrytym przez nas

motywem – stwierdziła. – Zakładamy, że sprawca wyładowywał złość. Złość powstała na skutek konfliktu z partnerem.

– Albo inną osobą – dopowiedział Morawiec.

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że tylko ich wieloletnia znajomość, małżeństwo, depresja Agnieszki, związek Tomasza z jej siostrą i upozorowane porwanie dziecka mogły wywołać tak silne emocje, których wyładowanie wymagało śmierci ofiary. Dlatego po raz kolejny stawiam na Agnieszkę, która nie wiedziała, że jej dziecko jest całe i zdrowe. Miała depresję, dodatkowo dotknął ją być może na tyle silny stres pourazowy, że nie potrafiła poradzić sobie z tym bólem.

– Dlatego postanowiła, że komuś innemu będzie tak źle jak jej?

– Być może chciała przenieść swój ból na inne osoby. Chciała, żeby ktoś poczuł to samo, co od lat czuła ona. Najpierw strach, potem ból po stracie, aż w końcu wszechogarniającą rozpacz. Możliwe też, że chciała niejako ukarać rodziców za to, że pozostawili dziecko bez opieki, co mogłoby być ekwiwalentem kary, którą podświadomie chciała wymierzyć sobie samej. Zabijanie stało się dla niej terapią, tylko nie wiadomo, czy przyniosło jakikolwiek efekt, może każda kolejna śmierć potęgowała potrzebę jej zadawania.

– Tomasz twierdził, że ona i tak nie chciała dziecka, więc czemu jego strata tak mocno ją dotknęła? – zastanawiał się Morawiec. Nagle uleciał z niego zapal, jakby słowa Zalewskiej, z którymi być może wcześniej nie do końca się zgadzał, brzmiały znacznie logiczniej niż jego własne przemyślenia. Ale to ona była psychologiem i ona zajmowała się profilowaniem.

– Mimo wszystko to było jej dziecko. Jej syn. Urodziła go. Odtrąciła, ale wciąż był obok, wciąż był z jej mężem lub siostrą. Wtedy nie odczuwała tego jako straty, ale być może uznawała za odpowiednie rozwiązanie. Do czasu, gdy strata pojawiła się naprawdę, wtedy możliwe, że zaczęła obwiniać się o to, co się stało. Odszedł od niej mąż, odebrała go jej siostra. Straciła pracę, mieszkanie. Każdy późniejszy kontakt z mężem, a wiemy, że dochodziło do spotkań, sprawiał, że musiała wyładować emocje. Kumulowały się w niej i dawała im upust w momentach najbardziej kryzysowych.

– Ale i tak nie wiemy, co to były za momenty – wtrącił się Morawiec.

– Wiemy natomiast, że Agnieszka Lipińska przyjmuje silne leki antydepresyjne, które mogły wpłynąć na osłabienie barier psychologicznych.

Podobnie mógłby zadziałać alkohol, choć nie wiemy, czy go spożywała. Lipiński niestety nie zdążył nam powiedzieć, co mogłoby w niej wywoływać tak silną złość. Nie chciał zeznawać na jej niekorzyść. Być może wiedział, że kobieta ma coś na sumieniu. Zastanawiam się jednak, czy gdyby panował między nimi tak duży konflikt, to naprawdę chciałby jej bronić?

– Jak na profil psychologiczny strasznie dużo w nim niewiadomych. – Szolc skrzywiła się na tyle wyraźnie, żeby oboje to dostrzegli.

Zalewska i Morawiec puścili tę uwagę mimo uszu.

– Choć trzecie ciało zostało niejako nam wystawione, to zdziwiłam się, gdy Tomasz nie chciał zeznawać. Domyślałam się, że sprawca będzie zaskoczony i postanowi milczeć, żeby kupić sobie trochę czasu, ale taki scenariusz zakładałam tylko po dwóch pierwszych zbrodniach. Teraz powinien chętniej odpowiedzieć na nasze pytania, bo wystawił przed nami swoje dzieło. Lipiński zamiast tego zatajał prawdę, aż w końcu uciekł. Dlatego jego wykluczyłabym z kręgu podejrzanych. Tym bardziej że dziecko w klatce, jak przypuszczamy, zostało zabite przed kilkoma lub kilkunastoma dniami. Ciało przetrzymywano, jakby w oczekiwaniu na dobry moment na jego ujawnienie. To z pewnością było zaplanowane zagranie.

– Jak dla mnie to za mało, żeby wykluczyć Lipińskiego – odparła Szolc.

Spojrzała na Bednarskiego, jakby chciała, żeby ten ją poparł, lecz on od dłuższego czasu wydawał się nieobecny. Patrzył tępo w ekran laptopa, którego trzymał na kolanach. Przeglądał mapę, ale nie miał pojęcia, czego szukać. Do momentu, w którym dostrzegł, że na mapie coś nie gra. Coś, co mogło być równie dobrze cenną wskazówką, jak i zwykłym niedopatrzaniem, którym tylko by się wygłupił. Nie wiedział, czy powinien w ogóle o tym wspominać. Zamarł, rozważając w myślach, czy jego spostrzeżenie ma sens.

– Po pierwszej zbrodni sprawca pozostał bezkarny, miał więcej pewności siebie. Pierwszego zabójstwa dokonał w Gdańsku, daleko od domu. W końcu zaczął atakować coraz bliżej, w pobliżu miejsca zamieszkania, aż w końcu na swoim własnym terenie. Być może ciało miało zostać ukryte gdzieś niedaleko, ale ktoś sprawcę spłoszył. Być może klatka z ciałem miała zostać przeniesiona na inną opuszczoną działkę, ale sprawca nie zdążył tego zrobić.

– Nurtuje mnie jeszcze jedno pytanie – odezwała się Szolc, gdy zauważyła, że ani Zalewska, ani Morawiec nie będą już dalej mówić. – Dlaczego, jeśli bierzemy pod uwagę Lipińskich, sprawca uśmiercał dzieci tak bardzo podobne do jego własnego?

– Agnieszka nie chciała dziecka, być może uśmiercanie chłopców w wieku, jaki osiągnąłby jej syn, miało wyładować nagromadzone napięcia i emocje, których właśnie on był powodem. On czy raczej jego zniknięcie – wyjaśniła Zalewska. – Trudniej byłoby to wytłumaczyć w przypadku Tomasza, dlatego...

– Tak, wiem – bąknęła, nie chciała, żeby Zalewska po raz kolejny powtarzała, że według niej mężczyzna nie powinien być podejrzany.

Nagle ciszę rozdarł odgłos nerwowo odsuwanej krzesła. Aspirant Bednarski odstawił laptopa na parapet i podszedł do niej. Nachylił się i powiedział coś na tyle cicho, żeby tylko ona mogła to usłyszeć.

– Sprawdzisz to? – zapytała.

Bednarski skinął głową i skierował się w stronę wyjścia. Nerwowym krokiem wyszedł na zewnątrz. Zamknął za sobą drzwi, przeczesał włosy i nagle miał już pewność, że w końcu na coś trafił.

Edyta Gawron oparła się o pień drzewa. Miała nadzieję, że gałęzie nieco ochronią ją przed deszczem. Okazało się jednak, że z nich kapało jeszcze bardziej niż z nieba.

– Pieprzona jesień... – sarknęła, odsuwając się.

W polu widzenia Gawron cały czas pozostawał Tokarski, który mniej więcej co minutę świecił w jej stronę latarką, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie chcieli chodzić ramię w ramię, bo przy takim mroku mogliby patrzeć jedynie w te same miejsca. A przecież szukali choćby najdrobniejszych śladów, nasłuchiwali najcichszych szelestów, które mogły przecież pojawić się wszędzie.

Oboje aż podskoczyli, gdy rozdzwonił się jej telefon.

– Boże, nie strasz... – rzuciła, szybko odbierając.

– Coś się stało? – zmartwił się Bednarski.

– Nie, ale wiesz, jak tu jest.

– No wiem, wiem.

– Już po spotkaniu? Jakieś nowe ustalenia?

– Gdzie teraz jesteś?

– Będziemy się teraz przerzucać pytaniami? – odparła, zirytowana, czując, że zimna kropla wsączyła jej się za kołnierz.

– Daleko masz do Jasienia? Do tej małej rzeczki, która płynie między...

– Między stawem przy Przędzalnianej a stawem w parku? – weszła mu w słowo. – Wszyscy doskonale znamy już ten teren, nie musisz tłumaczyć mi takich rzeczy.

Cieszyła się, że nie zaczął opowiadać o włókienniczej przeszłości rzeki i o fabrykach, które ją wykorzystywały jako kanał ściekowy. Wiedziała, że w innych okolicznościach byłby do tego zdolny.

– Gdzie teraz jesteś?

– W północno-wschodniej części parku.

– Okej, za jakieś piętnaście minut będę na Zbiorczej. Czekaj na mnie przy ostatnim bloku, dobrze?

– Ty myślisz, że ja tu na spacerze jestem? – spytała i zorientowała się, że Bednarski się rozłączył. – Cholera...

– Co jest? – zainteresował się Tokarski.

– Będziemy w kontakcie. Zaraz wracam – rzuciła do niego. Była przekonana, że Bednarski chce tylko pogadać.

Minęła głęboki wykop pod nieistniejące już, dawno temu rozkradzione tory. Po prawej widziała wzniesienie zarośniętego drzewami nasypu kolejowego, a po chwili z mroku przed nią wyłoniły się ściany bloku, przed który zaraz potem podjechał Bednarski. Zaparkował i zamknął radiowóz, choć Edyta sądziła, że porozmawiają w środku.

– Już niedługo zrobi się tu gorąco – powiedział na powitanie.

– To dobrze, bo strasznie przemarzłam. – Spróbowała zazartować, ale Bednarski miał wciąż tak samo kamienną twarz. – Znaleźliście coś?

Bednarski zatrzymał się tuż przed nasypem kolejowym i zaczął oświetlać go latarką.

– Pieprzoną babę wodną.

– Co? – Nie zrozumiała, ale Bednarski już ruszył dalej, zamiast jej choćby cokolwiek wytłumaczyć.

– Prześwietliliśmy historię Agnieszki Lipińskiej, ale nic z tego nie wyszło.
– Szolc zaczęła nowy wątek. – Mamy listę jej pracodawców, znajomych, sąsiadów, kolegów z ostatniej pracy – kontynuował podsumowanie, które, miała nadzieję, przyniesie jakieś nowe refleksje. – Wszystkie najbliższe jej osoby zostały już przesłuchane, lecz nie dostaliśmy od nich żadnych istotnych informacji. A przynajmniej nie dowiedzieliśmy się niczego, czego byśmy już nie wiedzieli. Zarząd Związku Działkowców przekazał nam listę wszystkich właścicieli ogrodów, skupiliśmy się na tych w pobliżu działki Lipińskiej, ale większości właścicieli nie było tam od sierpnia bądź od września. Sprawdzimy ich obecność z wcześniejszych dni, ale w tym momencie potrzebujemy czegoś aktualnego. Na razie... – zamilkła, bo nagle rozdzwonił się jej telefon. Na wyświetlaczu dostrzegła nazwisko patologa.

Wzięła głęboki oddech i dopiero odebrała.

– Tak? – spytała. – Co masz?

– Nic specjalnego – odpowiedział Wojnarowski. – Raport będę miał gotowy później, na razie...

– Tak, rozumiem, nieoficjalne wyniki.

– Śmierć chłopca nastąpiła pięć dni temu.

Szolc przywołała w myślach kalendarz.

– Zniknął około godziny osiemnastej trzydzieści trzynastego października.

– I mniej więcej w tym samym czasie został zamordowany. Wstępnie ustaliłem, że był to wieczór trzynastego października.

– Czyli zginął zaraz po porwaniu – powiedziała bardziej do zespołu niż do patologa. – Więc podejrzenie motywu się sprawdza. – Spojrzała w oczy Morawcowi.

– Sprawca morduje w gniewie – odparła Zalewska. – Być może nie planuje tego, ale wyłapuje z tłumu osoby, na których może wyładować złość. Nie

porywa, nie przetrzymuje. Szuka ofiar, które będą dla niego niczym worek treningowy.

Morawiec chrząknął zdegustowany, słysząc to porównanie, ale zaraz potem skinął głową, przyznając jej rację.

– Chłopiec został uduszony w identyczny sposób jak ten znaleziony w parku i na wydmie. Zero śladów obronnych, żadnych siniaków czy zadrapań. Żadnych śladów po sprawcy. Przykro mi – mruknął patolog.

– Kurwa... Dobra, dzięki!

Już się prawie rozłączyła, ale Wojnarowski mówił dalej.

– Na tym jednak moja praca się nie skończyła – powiedział spokojnie, jakby miał w nosie to, czy podkomisarz będzie go dalej słuchać.

Zaciągnął się spokojnie papierosem.

– To znaczy? – Szolc nie zrozumiała.

– Przede wszystkim warto wspomnieć, że ciało było przemieszczane. Stężenie pośmiertne i odcisnięte na skórze pręty wskazują, że po śmierci znajdowało się w zupełnie innej pozycji niż ta, w jakiej je znaleźliście.

– Klatka leżała w miejscu, w którym łatwo było ją dostrzec, gdyby znajdowała się tam dłuższy czas. Domyślałam się, że została przemieszczona zaraz przed tym, jak na nią trafiliśmy.

– Z pewnością ciało było przemieszczane, ale zdaje mi się, że nie w klatce. Na pewno nie w tej konkretnej.

– Jak to?

– Właśnie dostałem wstępne wyniki z laboratorium. Ciało, nim je znaleźliśmy, znajdowało się w zupełnie innym miejscu niż klatka, to nie ulega wątpliwości. Na niej zabezpieczono ślady roślinności, gleby, kurzu charakterystycznego dla otwartego terenu, natomiast nie ma śladów, że ciało było w niej dłużej, nie ma chociażby fragmentów skóry, która została mocno naruszona i z pewnością, kolokwialnie mówiąc, przykleiłaby się do zardzewiałych prętów. Natomiast na ciele dziecka znalazłem ceglany pył, wbite w skórę okruchy betonu i kilka drewnianych drzazg. Przede wszystkim jednak znalazłem plamy po rzeczonym mule.

– Jesteś pewny?

– Laboratorium nie ma wątpliwości, ale też nie mają materiału porównawczego.

– Czyli...

– Przepraszam, nie mieli – poprawił się, a Szolc po tonie jego głosu zorientowała się, że ten musi się teraz szeroko uśmiechać. – Dokładnie przebadalem ciało zakopanego w parku chłopca. Było całe utylane w ziemi. Ale udało się wyodrębnić różne rodzaje gleby. W tym także, jak teraz sprawdzili w laboratorium, muł rzeczny.

– Ten sam?

– Ten sam.

– Czyli miejsca ukrycia zwłok należy szukać po śladach mułu?

Wojnarowski milczał, nie wiedząc, czy powinien to w jakikolwiek sposób komentować.

– Na to wychodzi – odparł w końcu. – Jeszcze nic więcej nie wiem. W razie czego będę dzwonił. Postaram się jak najszybciej dostarczyć pełny raport.

– Jasne, dzięki.

Odsunęła telefon od ucha, ale rozłączyła się dopiero po chwili, żeby mieć pewność, że patolog naprawdę nie ma już nic więcej do powiedzenia. W końcu schowała telefon do kieszeni i usiadła przy biurku. Spojrzała na krzesło, na którym dopiero co siedział Bednarski, po czym pochyliła się nad mapą. Wzięła do ręki czerwony marker i zaczęła zaznaczać wszystkie miejsca, z których mógł zostać przeniesiony muł rzeczny.

– Co tak milczycie? – rzuciła do członków zespołu, którzy wpatrywali się w nią pytająco. Dopiero po chwili dostrzegła, że Tokarski przejął laptop Bednarskiego i zdążył już zaznaczyć na mapie bieg rzeki Jasień, ciągnącej się wzdłuż ich miejsca zdarzeń.

– O cholera... – syknęła, zaskoczona.

W końcu znaleźli wspólny punkt dla nich wszystkich.

Technicy, gdyby tylko zaszła taka potrzeba, rozebraliby cały dom stojący na tej działce. Szukali śladów tak dokładnie i skrupulatnie, że równie dobrze mogliby zacząć wygrzebywać zaprawę spomiędzy cegieł, byleby tylko dowiedzieć się czegoś nowego.

Czterech innych przeczesywało teren w pobliżu miejsca znalezienia ciała dziecka. Przy deszczowej pogodzie ważna była traseologia. Z jednej strony w błocie łatwo odciskały się ślady butów, ale z drugiej należało je jak najszybciej znaleźć i zabezpieczyć, bo zaraz się rozmywały. W tym momencie ustalono, że klatka została przeciągnięta z posiadłości Lipińskiej, ale jeszcze bez ciała w środku. Ono zostało najprawdopodobniej przeciągnięte z przeciwnej strony. Stamtąd bowiem, od południa, prowadziły ślady butów, ale urywały się na wyłożonej deskami ścieżce. Jej początek znaczyły brudne plamy, gdzie z butów spadło najwięcej błota. Resztę dokładnie rozmył padający deszcz. Technicy byli pewni, że ślad prowadził prosto do ciągnącego się między działkami rowu, którym płynęła Jasień.

Dom Agnieszki Lipińskiej został ogołocony ze wszystkiego, co się w nim znajdowało. Najpierw zdjęto odblaski palców. Niedługo potem zestawiono je z odblaskami Lipińskiego i Król. Potwierdzono ich obecność. Znaleziono też odciski palców trzeciej osoby, także na klatce. Bez wątplenia należały do Lipińskiej.

Po zabezpieczeniu wszystkich innych śladów, w tym krwi, wielu włosów i śliny na poduszce, jeszcze dokładniej przeszukano wszystkie pomieszczenia. Okazało się, że krew do środka naniósł wyłącznie Tomasz Lipiński. Próbkę od razu powędrowały do laboratorium, lecz ślady były świeże i znaczyły ścieżkę, którą przebył Lipiński z Malwiną.

– Gdyby ktoś został tu uduszony, coś byśmy znaleźli, choćby jeden włos którejś ofiary – stwierdziła kobieta, która zabezpieczała znajdujące się w komodzie rzeczy Lipińskiej. – Tymczasem mamy wyłącznie włosy należące do właścicielki.

– Laboratorium to potwierdzi – uciął technik, choć uważał podobnie.

Przeszukali już cały dom, lecz poza kilkoma zdjęciami nie trafili na nic ciekawego. Na prześcieradle znaleziono sporo materiału biologicznego. Zabezpieczenie go zajęło technikom najwięcej czasu, dlatego prześcieradło zdjęto w momencie, w którym oba pomieszczenia były już dokładnie sprawdzone. Odsunięto suwak pokrowca materaca i okazało się, że w dużej części jest on pozbawiony wypełniającej go pianki.

– O cholera... – zaklęła kobieta, widząc, że ubytki uzupełniono ubraniami. Były tam najróżniejsze zatechłe szmaty. U wylotu znajdowało się natomiast coś, co zainteresowało techników najbardziej.

– Czy to nie jest przypadkiem... – zaczął mężczyzna, ale urwał.

Zrobił kilkanaście zdjęć, po czym wyciągnął uważnie ciemnozielony, zwinięty w kulkę szalik. Miał dość charakterystyczny odcień – przywodził na myśl kolor usychającej rośliny. Technicy już go kiedyś widzieli. W innej formie. Mieli bowiem okazję bardzo uważnie przyglądać się kilku włóknom, które sami zdjęli z ciała zakopanego w parku chłopca.

Przysunęli lampę i skierowali strumień światła na materiał. Musieli go dokładnie obejrzeć, zanim trafi do laboratorium, ale technik natychmiast zadzwonił do podkomisarz Szolc. Takie sprawy musiał konsultować bezpośrednio z nią. Tym bardziej że chciał usłyszeć jej podekscytowany głos. Zawsze sprawiało mu to przyjemność i mile łechtało ego.

Malwina dała Tomaszowi ciepłe skarpety, które na nią były za duże, a doskonale sprawdzały się zimą. Na niego były idealne, miał stopę prawie dziesięć rozmiarów większą. W szafie znalazła stare bojówki, ale te już okazały się za małe. O butach nie było mowy. Tomasz wszystkie swoje brudne rzeczy wytarł, jak najdokładniej się dało, potem wysuszył je suszarką, choć to niewiele pomogło.

– Powiesz mi w końcu, czemu jesteś tak ubłocony? – spytała, gdy centymetr po centymetrze osuszał materiał.

– Musiałem im jakoś uciec.

– Jakoś, czyli jak?

– Przy moim saloniku jest wejście do kanału przykryte jedynie kawałkiem blachy. Po remoncie ulicy chyba zapomnieli je odpowiednio zabezpieczyć. Prowadzi do spustu pod ulicą. Do Jasienia, tuż przy pobliskim stawie – doprecyzował.

– Tam się tak utyłałeś w błocie?

– Dokładnie tam – przyznał. – Bo okazało się, że... – Zastanowił się chwilę, nie wiedząc, czy powinien o tym wszystkim opowiadać. Ale chyba musiał, skoro w ogóle zaczął. – Na ścianie kanału biegnącego pod ulicą dostrzegłem ślady dłoni. Nie wiem, czy to było błoto. Może krew.

– Kurde...

– Wiesz, dokąd prowadzi kanał?

Malwina pokręciła głową.

– Najpierw pod ulicą, potem między ogródkami działkowymi. W tym przy...

– Przy działce Agnieszki? – domyśliła się.

Skinął głową.

– Dziś pada, więc w rzece zebrało się sporo wody. Do jej koryta wpadają okoliczne kanały deszczowe. W innym czasie dałoby się przejść betonową podmurówką przy ścianie. Teraz musiałem brodzić w tym szlamie.

– Musiałeś?

– Chciałem sprawdzić, czy da się tamtędy przejść. Przekonać się, czy Beata dałaby radę. Poza tym musiałem uciec policji, a w pobliżu cały czas ktoś się kręcił. I spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy – powiedział z zadowoleniem, ale zaraz potem zorientował się, że nie powinno to wywoływać uśmiechu na jego twarzy. Niemniej był dumny, że wykiwał policję. – Potem wszedłem między działki. Nawet mimo deszczu dało się przejść po zboczu. Nie doszedłem... tam. Wszedłem w pewnym momencie na jakąś ścieżkę, znalazłem furtkę i dotarłem tutaj. Nie wiedziałem, co innego mógłbym w tym momencie zrobić.

– Też bym nie wiedziała – przyznała Malwina.

– Ale teraz wiem, że muszę działać.

Wyłączył w końcu suszarkę. Odłożył ją i wyszedł z łazienki.

– A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? – Zaśmiał się, ale tym razem bez żadnego zadowolenia. – To, że Agnieszka boi się wody. Wręcz panicznie.

– Jak to?

– Nie potrafi pływać. Dodatkowo kiedyś się podtopiła. Nic wielkiego, ale od tamtego czasu unika wody. Szczególnie większych zbiorników, rzek. Nie sądzę, żeby była zdolna tamtędy przejść.

– A skąd w ogóle pomysł, że taką drogą ktokolwiek miałby się przemieszczać?

– Żeby się ukryć przed spojrzeniami przypadkowych osób.

– Wystarczy iść przez chaszczę albo... – Zawahała się.

– To nie takie łatwe, kiedy się niesie ciało. Prościej iść po płyciźnie. Szczególnie że koryto rzeczki doprowadzi cię do wielu miejsc. Do gęstego zagajnika, gdzie zakopano ciała. Do działki osoby, którą chcesz zrobić w morderstwo. A ostatecznie do kryjówki.

– Wiesz, gdzie ukrywa się Beata? – zapytała zaskoczona.

– Nie, ale znając te dwa punkty, zagajnik i działkę, łatwo byłoby ją namierzyć.

– Chcesz tam pójść? – zmartwiła się Malwina.

– A czy mam inne wyjście? Ona chce zrobić Agnieszkę. Jeśli policja najpierw znajdzie Agnieszkę, to ona z pewnością się nie wywinie.

Malwina miała ochotę zapytać, czy nie mógł o tym wszystkim pomyśleć wcześniej, bo teraz było trochę za późno na działanie, ale ugryzła się w język.

Agnieszka Lipińska obudziła się cała obolała. Zdrętwiały jej kończyny, a ból szczęki był nie do zniesienia. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie się stało i gdzie jest. Czuła wilgoć i wszechogarniający chłód. Leżała w oleistym szlamie. Nie było to błoto, ale jakby zasychająca skorupa ścieków, która rozrywała się przy każdym ruchu niczym rozdrapywany strup.

Nie wiedziała, czy spała, czy może straciła przytomność. Na minutę, na godzinę, może na całą noc. W głowie miała zupełną pustkę, a przed oczami ciemność. Nie słyszała nic, choć po chwili zorientowała się, że wszelkie dźwięki zagłusza świst wypełniający jej głowę.

Minęły dwie, trzy sekundy, a wtedy w głowie eksplodował ból. Przyćmił szum w uszach i rozrywał jej potylicę. To przypomniało jej o uderzeniu, które spadło na nią znienacka, zanim zemdląca.

Obróciła się bezsilnie na bok, a wtedy dostrzegła przed sobą ciemną postać.

– Jakiś czas po „porwaniu” Rafała Agnieszka zaczęła go szukać. Cały czas wmawialiśmy jej, że policja pracowała tylko przez pierwsze tygodnie, ale już odpuściła, że teraz po prostu trzeba czekać na rozwój wydarzeń. Ale ona nagle zaczęła się wszystkim interesować i nie odpuszczała. Wywieszała plakaty, więc Beata chodziła za nią niczym cień i je zrywała. Wypytywała ludzi, sama starała się znaleźć Rafała. Może ruszyło ją sumienie, nie wiem. Musieliśmy coś z tym zrobić. Poza tym z Agnieszką każdego dnia było coraz gorzej. Piła, brała leki, zaczynało jej odwalać tak mocno, że trudno było sobie z tym poradzić. Czuję się winny.

– Próbowałeś jakoś naprawić sytuację?

– Tak. Co ciekawe, Beata mi w tym pomagała. Chociaż teraz widzę, że to była część jej misternego planu.

– Jak to?

Tomasz przeszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Nie było tam wiele jedzenia. W końcu wyjął napoczęty paprykarz, a w chlebaku znalazł suchą bułkę.

– Mogę? – spytał, lecz zanim Malwina cokolwiek odpowiedziała, zaczął robić sobie kanapkę. – Beata poradziła mi, żebym zabrał Agnieszkę na wakacje. Żeby odpoczęła, żeby przestała rozwieszać te cholerne plakaty. Musieliśmy ją stąd na chwilę wywieźć. Poparłem ten pomysł. Beata przygotowała mi plan. Chciała, bym zabrał ją nad morze, w miejsce, w które często razem jeździli, gdy były jeszcze w liceum. Beata jako starsza siostra zawsze opiekowała się młodszą, chociaż ja nigdy nie rozumiałem tej relacji.

– To, że jest się siostrą, nie wystarczy, żeby razem jeździć na wakacje?

– No właśnie nie do końca. Beata zawsze traktowała Agnieszkę z góry. Dlatego że była oczkiem w głowie ich rodziców. Wydaje mi się, że Beata czuła się wykluczona, w pewien sposób upokorzona tym, że w ogóle ma

siostrę. Co więcej, – to Agnieszka zawsze miała lepsze stopnie, dostała się na lepsze studia, rodzice zawsze ją otaczali opieką, okazywali najwięcej uczuć.

– Aż w końcu znalazła sobie faceta, a na domiar złego, urodziła mu dziecko – dokończyła za niego Malwina.

– No właśnie. Agnieszka była lepszą wersją Beaty. Wydaje mi się, że właśnie tak Beata ją postrzegała. Ale i tak zabierała ją nad morze. Chyba dlatego, żeby w końcu mieć nad nią nieograniczoną władzę. To ona wybierała miejsca, gdzie spały, gdzie jadły, gdzie odpoczywały. Pewnie w jakiś sposób się nad nią znęcała. Tak mi się wydaje, bo Agnieszka nigdy nie chciała o tym opowiadać. Tak czy siak, Beata zaproponowała, żebym zabrał Agnieszkę w doskonale znane im obu miejsce. Pomyślałem, że czemu nie. I wiesz co?

Spojrzał na nią, policzki mając wypchane bułką. Przełknął kanapkę i dopiero mówił dalej.

– Właśnie wtedy zamordowano to dziecko. Na wydmie w Gdańsku. Jakies pięć minut pieszo od miejsca, w którym nocowaliśmy.

Malwinę zatkało.

– Czekaj, bo nie rozumiem.

– Też nie rozumiałem, gdy mi o tym powiedziała policja. Zbyt duży zbieg okoliczności. Ale nie wierzyłem, że Agnieszka mogłaby coś takiego zrobić. Ona wtedy chodziła swoimi ścieżkami, nie byłem w stanie cały czas za nią podążać. Wymykała mi się. Po kilku dniach wróciliśmy. Nie wydawała się odprężona, wątpię, żeby ten wyjazd w czymkolwiek pomógł. Wróciliśmy do szarej rzeczywistości w naszym mieście. Coraz bardziej się wahałem, czy na pewno chcę zostawiać Agnieszkę. Czy w ogóle mogę ją porzucić w takim stanie, bo wiadomo było, że sobie nie poradzi. Wtedy Beata chyba po raz pierwszy wpadła w szal.

– Czemu?

– Bo zacząłem się przy niej zastanawiać, czy jednak nie zostać z Agnieszką. Najpierw tylko się roześmiała, bo myślała, że żartuję. Ale potem, gdy zacząłem mówić, że się martwię, że mimo wszystko Agnieszka nie zasłużyła na taki los, Beata wpadła w furję. Zaczęła krzyczeć, bić, rzucać najpierw poduszkami, aż w pewnym momencie chwyciła za krzesło. Nie wiedziałem, czy chce nim cisnąć we mnie, czy może w okno. Rafał zaczął płakać i dopiero to sprawiło, że się opanowała. Zaczęła coś do niego mówić, potem mówiła też do mnie. Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło.

– A myślałam, że to Agnieszka ma problemy psychiczne.

– No widzisz... – Tomasz westchnął. – Przy Rafale stawała się nagle najwspanialszą osobą na świecie. Zawsze była nieco wybuchowa, ale starała się panować nad sobą. Na początku nawet mi się to podobało, ta jej energiczność, nieustępliwość i... – Zawahał się, chcąc nawiązać do tego, jaka była w łóżku, ale ostatecznie zrezygnował. – Wiedziała, jak uwieść faceta. To trzeba jej przyznać. Potrafiła doskonale manipulować zarówno mną, jak i Agnieszką. Wmówiła nam wcześniej, że dziecko uratuje nasz związek, że albo rozwód, albo ono. To trwało jakieś dwa lata, aż w końcu Agnieszka zaszła w ciążę. Przyznaję, że uległem namowom Beaty. Agnieszka nie stosowała antykoncepcji. A ja zmusiłem ją... – urwał.

– Boże! – zirytowała się Malwina, domyślając się ciągu dalszego. – Przecież to pieprzony gwałt! – wykrzyknęła.

– Daj spokój.

– Zgwałciłeś własną żonę – powiedziała dobitniej. – To chore.

– Nawet nie wiesz, co zrobiłem.

– Powiedziałeś jej, że się zabezpieczyłeś, ale tego nie zrobiłeś. Albo w trakcie seksu – Tomasz dziwnie się skrzywił – pozbyłeś się prezerwatywy. Mam rację?

Tomasz nie odpowiedział. Malwina go rozszyfrowała.

Agnieszka patrzyła na cień samej siebie i nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że ją zaatakował.

– Przestań! – krzyknęła, lecz nie miała pewności, czy słowa w ogóle wydobyły się z jej ust. Sama słyszała tylko pisk w uszach i pulsowanie krwi w skroniach. Widziała natomiast, jak jej cień dzierży w dłoni coś długiego i ciężkiego. Metalowy pręt albo rurkę, która rozcięła Agnieszce skórę na głowie. Czuła, że z rany sączy się krew. Spływała po karku, na ramiona i plecy.

Postać ubrana była w ciemne spodnie, ciemny długi płaszcz i ciemnozielony szalik, który pierwotnie zasłaniał jej połowę twarzy, ale teraz zsunął się na szyję.

– Sama tu przylazłaś, suko! – warknął cień, zamachując się kolejny raz. Tym razem jednak Agnieszce udało się uniknąć ciosu. Przeturlała się na drugi bok, a metal uderzył w szlam.

Spojrzała na postać i dostrzegła samą siebie. Swoje oczy, swoje usta, swoje kości policzkowe. Tylko wyraz twarzy cienia był o wiele groźniejszy, o wiele bardziej przerażający.

– Jesteś na miejscu?

– Tak, pani podkomisarz, z aspirant Gawron jesteśmy tuż przy kanale rzeki.

– Potwierdziły się twoje przypuszczenia – powiedziała szybko. – Jasień jest najprawdopodobniej ścieżką mordercy, którą prznosił zwłoki. Trzeba ustalić, w którą stronę należy iść. Na wschód, na zachód?

– Dam znać, jak tylko będę cokolwiek wiedział.

Rozłączył się.

– Dobrze, że tu przyjechałem – powiedział Bednarski do Gawron. – Pamiętam, jak Ciesielski mówił o strzelaniu z ambony. Gdy ktoś go zdenerwował, szczególnie matka, gdy słyszał ujadającego psa albo po prostu się nudził, szedł z wiatrówką do lasu, wchodził na swoją ulubioną zaniedbaną ambonę i siedział w niej, dopóki czegoś nie ustrzelił. Czasem udawało mu się po pięciu minutach, czasem po pięciu godzinach.

– Myślisz, że Lipińska robi to samo?

– Te pofabryczne tereny są na wzniesieniu. Jeszcze wyżej niż nasyp kolejowy – odpowiedział wymijająco, bo trudno było w tym momencie coś jednoznacznie stwierdzić. – Jest tam sporo budynków, na których dachy można swobodnie wejść.

– Ale ciała by się stamtąd przenieść nie dało – zauważyła. – Przez kilkaset metrów ciągnie się nieuszkodzone ogrodzenie, a kamery przy wjazdach niczego nie zarejestrowały.

– Dlatego sądzę, że porusza się pod ziemią.

Przeszli nasypem w okolice kanału, którym płynęła rzeczka Jasień. Po prawej mieli głęboki rów, a dalej staw. Po lewej natomiast spust, z którego spływała deszczówka.

– To tu.

– Idziemy tam?

– Wręcz przeciwnie. Czekamy.

W komendzie wrzało. Szolc wpatrywała się w zdjęcia satelitarne i z mocno bijącym sercem czekała na telefon od Bednarskiego. Należało znaleźć jeden punkt. Szukano ceglanej zabudowy na odpowiedniej wysokości, którą z miejscami zdarzeń łączyła rzeka Jasień.

– Teren jest zbyt rozległy, żeby mogli go teraz sprawdzić na piechotę – zauważył Morawiec, wpatrując się w zdjęcia. – Tym bardziej że mamy dwa podobne tereny w odległości... – Zastanowił się chwilę. – Półtora kilometra? Dwóch?

– Mniej więcej – potwierdziła Szolc. – Ile punktów możemy wstępnie wyróżnić?

Do gabinetu Szolc został ściągnięty Przemysław Stępień, technik, który miał dość dużą wiedzę o tamtych terenach. Pochodził z nich, hobbistycznie studiował włókienniczą historię miasta, ale przede wszystkim jako czynny urban explorer wiedział sporo na temat opuszczonych pofabrycznych terenów, które teraz były ich celem.

– Myślę, że trzy – odparł po chwili namysłu. Już wcześniej się z nim konsultowano, ale dopiero teraz miał zabrać oficjalnie głos w tej sprawie. – Stawiałbym na dawny zakład przemysłowy Uniontex, który został zbudowany bezpośrednio nad rzeką Jasień.

– Zrzucali tam ścieki? – zainteresował się Morawiec.

– Dokładnie tak – odparł niechętnie. – Drugie miejsce to tereny dawnego zakładu Anilana, znajdującego się w sąsiedztwie parku i ogródków działkowych. Mamy tam jakieś piętnaście hektarów ziemi, pod nią płynie rzeka, a w południowej części ma swój początek kanał ściekowy fabryki.

– Tyle dobrego, że nie spuszczali wszystkiego do rzeki.

Stępień zaśmiał się w duchu, wiedział, że Anilana była swego czasu bombą ekologiczną, która zasmrodziła pół Łodzi.

– Trzecim miejscem mogą być ruiny fabryki Ossera przy skrzyżowaniu Przybyszewskiego z Kilińskiego.

– To dość daleko – zauważyła Szolc.

– Część budynku ma siedem albo osiem kondygnacji. To bardzo dobry punkt obserwacyjny.

– Najbardziej prawdopodobnym miejscem kryjówki Lipińskiej wydaje się Anilana. Dałoby się przejść niepostrzeżenie kanałem między pierwszym a drugim punktem?

Stępień się zamyślił.

– Po drodze są dwa stawy. Spust przy Przędzalnianej jest dość dobrze ukryty. Nie wiem, czy da się swobodnie przejść od tamtego punktu do Kilińskiego, aż pod fabrykę. Odwiedzanie starych kanałów jest skrajnie niebezpieczne, wolałbym tam nie wchodzić.

– Mogą się zawalić? – zainteresował się Morawiec.

– Podobno cały czas gromadzą się tam trujące gazy. Można wejść i już nigdy nie wyjść.

Szolc wiedziała, że Bednarski pojechał sprawdzić miejsce, które jej samej wydało się najlepszą kryjówką. Nie do końca zrozumiała, co właściwie odkrył na mapie. Mówił o biegu rzeki, głębokim korycie i możliwym wejściu na teren Anilany. Nie było tego widać na mapach satelitarnych, informacje o kanale mówiły, że teren jest zamknięty. Otaczał go wysoki mur z drutem kolczastym. Pofabryczne budynki były w większości wynajmowane przez różne firmy, tworzyły więc kolejny, oświetlony i monitorowany mur. Już wcześniej sprawdzono monitoring, przeszukano teren, ale nie znaleziono żadnych śladów. Nie wierzyła, że technicy mogli się pomylić, i teraz nie wiedziała, czy zaufać Bednarskiemu i czekać, czy od razu rozdysonować zadania dotyczące pozostałych terenów. Ich sprawdzenie zajęłoby całą noc, a z pewnością nie mieli tyle czasu. Znaleźli kolejne ciało. Jedno z dzieci miało wciąż status zaginionego, a w każdej chwili mogło pojawić się następne.

– Trzeba obstawić wszystkie trzy miejsca – zdecydowała Szolc.

– Nie mamy tylu ludzi – odparł szybko policjant odpowiedzialny za rozdzielanie zadań funkcjonariuszom. – Dostaliśmy wsparcie ze stolicy, ale większość jednostek ma już konkretne polecenia.

– To czas je zmienić.

– Mam je odwołać?

Szolc zagryzła dolną wargę. Zabezpieczenie wcześniejszych terenów było równie ważne. Nie mogli pozwolić, żeby ktokolwiek niepostrzeżenie się tamtędy przemknął.

Spojrzała na telefon. Bednarski wciąż się nie odzywał.

– A dwa miejsca damy radę obstawić?

– W okrojonym składzie, ale tak.

– No to mamy plan. Trzeba wysłać kogoś do sprawdzenia najwyższych kondygnacji punktu widokowego i zejścia do kanału w fabryce.

Funkcjonariusz stuknął obcasami i wyszedł, żeby przekazać wolnym patrolom ich zadania. Chwilę później zadzwonił Bednarski.

– Pomyliłem się – przyznał ze smutkiem.

Szolc zakłęła pod nosem, zanim wysłuchała Bednarskiego do końca.

Malwina jeszcze niedawno sądziła, że Tomasz to naprawdę porządny facet, ale z każdą chwilą zdawała sobie sprawę, że jego wyprostowana sylwetka, przenikliwe spojrzenie i inteligentny wyraz twarzy to przykrywką, której nie należało ulegać. A było to dość trudne.

– Naprawdę sądziłem, że robię dobrze.

– Tylko Beata na tym skorzystała.

– To racja. Ona zawsze chciała dziecka, ale mimo umiejętności uwodzicielskich nigdy nie nawiązała z nikim trwałej relacji. A przynajmniej od momentu, w którym ją poznałem, czyli jakieś dziesięć lat temu. Jest dominującą, wybuchową, arogancką i cyniczną kobietą.

– Na którą polecałeś.

Tomasz westchnął głęboko.

– Sam nie do końca potrafię wytłumaczyć, jak to się stało. Byłem w kropce. Agnieszka przestała ze mną rozmawiać, sypialiśmy osobno. Zaczęła brać leki, które ją otępiały, chodziła cały czas przybita, łatwo się denerwowała, a jej złość przechodziła albo w histerię, albo w apatię. Nie mogłem tego znieść. A Beata nagle stała się miłą, nagle zaczęła się mną interesować bardziej niż zwykle, a ja właśnie wtedy najbardziej potrzebowałem... Uczuć? Pozytywnych emocji? Sam nie wiem.

Malwina poniekąd go rozumiała. Wiele zdążyła się dowiedzieć w życiu na temat toksycznych związków.

Wyszli z mieszkania. Psy zostawili, nie mogli ich teraz ze sobą zabrać. Nie do końca wiedzieli, co właściwie mają teraz zrobić. W pobliżu cały czas kręcili się policjanci. Część z nich na pewno szukała Tomasza, zdawał sobie z tego sprawę.

Malwina szła pierwsza. Sprawdzała teren. Nie wiedziała, czy robi dobrze, ale w tym momencie nie pomagała Tomaszowi, tylko Agnieszce. Wierzyła w jej historię i wiedziała, że należy jej pomóc.

– W którą stronę teraz? – spytała, gdy doszli spokojnie do rzędu starych garaży, ciągnących się wzdłuż rowu kolejowego. – Masz w ogóle pomysł, gdzie któraś z nich może teraz być? Skąd pewność, że Beata po prostu nie siedzi w mieszkaniu z Rafałem?

– Rozmawiałem dziś z opiekunką, która czasem się nim zajmuje. Od tygodnia jest u nas prawie cały czas. Beatę widuje raz dziennie. Zapłaciła jej za to, żeby zajmowała się Rafałem dłużej. Do jutra. Da mi znać, gdyby Beata wróciła. Powiedziała mi, że gdy ja jestem w pracy, Beata znika.

– Gdzie w takim razie podziewała się przez ostatnie dni?

Tomasz wyjrzał za róg ostatniego garażu. W oddali dostrzegł patrol policji. Musieli poczekać, aż przejdzie. Policjanci zatrzymali się jednak i zaczęli rozmawiać, latarkami lustrując teren.

– Obserwowała. Mnie. Agnieszkę. Tłumaczyłem jej, że siedzę w saloniku, ale ona mi nie wierzyła. Wściekała się każdego dnia coraz bardziej. Musiała widzieć, że spotykam się z nią, z tobą. Dlatego...

Nie dokończył. Domyślał się, że jej złość narastała. Potem próbowała ją wyładować.

– Czyli... – Malwina z trudem przełknęła ślinę. – Mnie też mogła obserwować?

Tomasz skinął głową. Patrzył, jak funkcjonariusze z patrolu rozmawiają ze sobą, a potem jeden z nich idzie w stronę wiaduktu nad rowem. Szybkim krokiem skierował się między bloki.

– Nie mają zielonego pojęcia, co tak naprawdę się dzieje – sarknął. – Złapali najpierw Ciesielskiego, potem chcieli mnie w coś zrobić, teraz szukają haków na Agnieszkę. Jak dzieci we mgle.

– Mimo wszystko warto byłoby ich zawiadomić. Sami niewiele zrobimy.

Tomasz tego nie skomentował.

Poczekali, aż teren będzie czysty, i pobiegli w stronę nasypu kolejowego. Malwina dobrze wiedziała, że powinna zostać w mieszkaniu. Tomasz nawet nie spytał, czy chce z nim iść. Po prostu to zrobiła. Chciała słuchać dalej jego opowieści. Ale z każdym krokiem coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że powinna się zatrzymać. Odblokować telefon i zadzwonić do aspiranta Bednarskiego.

– Wydaje mi się, że to właśnie wtedy, nad morzem, Agnieszka doznała jakiegoś urazu. Zaczęła bać się wody. A potem Beata zaproponowała, żeby na wakacje zabrać ją w to samo miejsce. Teraz rozumiem, że to był jeden z elementów jej gry.

– Czy ja wiem... – mruknęła Malwina. – Ja wychowałam się w domu dziecka, a potem sama zaczęłam w nim pracować.

– A jeśli dodam do tego fakt, że Beata pojechała za nami?

– Naprawdę?

– Nie mogła spuścić z nas oka. Rafała zostawiła sąsiadce, a sama przyjechała następnym pociągiem.

– Skąd o tym wiesz?

– Kiedyś dała mi dostęp do swojej poczty mailowej. Musiała wysłać do pracy jakiś dokument, a ja miałem laptop. Rzadko korzystała z maili. Ale ostatnio sprawdziłem jej powiadomienia. Nie usuwała starych wiadomości. Dlatego trafiłem na potwierdzenie zakupu biletu na pociąg. Wyjechała zaraz po nas.

– Boże...

– Pamiętam, że jednego dnia zaczęliśmy się z Agnieszką jakoś dogadywać. Przez chwilę nawet poczułem się jak przed laty. Siedzieliśmy na plaży, piliśmy białe wino i gadaliśmy. Sądzę, że Beata nas wtedy obserwowowała i nie mogła znieść tego widoku.

Malwina pokiwała głową, choć wciąż nie rozumiała, dlaczego to miałyby stanowić o jakiegokolwiek winie Beaty. Była stalkerką, chorą obserwatorką, ale to chyba wszystko. Tak myślała.

Doszli na szczyt nasypu kolejowego, gdy nagle mrok rozdarł natarczywy dźwięk dzwonka.

– Co jest?! – zaniepokoił się Tomasz.

Malwina odebrała i z sekundy na sekundę jej twarz zaczęła dziwnie tężeć.

– Ale... – Nie rozumiała, co mówiła do niej Dorota. – Jak to? – Podniosła brwi w zdziwieniu i po chwili schowała telefon. – Muszę iść, przepraszam – powiedziała i ruszyła biegiem w stronę pobliskiej ulicy, prowadzącej do domu dziecka.

– Czeka! – zawołał za nią. – Co się stało?

Malwina zniknęła w mroku nocy. Zostawiła go bez odpowiedzi. Musiał działać sam.

Stanął nad przepustem, znajdującym się na dnie rowu głębokiego na kilka metrów. Miał teraz przed sobą początkowy odkryty odcinek rzeki. Dalej kanał nikał pod pustym ogrodzonym terenem.

Ślizgał się na kamieniach i żużlu, gdy tam schodził. Omal się nie przewrócił już przy samym korycie. Wpadłby do niego, gdyby nie udało mu się złapać lichego drzewa, które samo ledwo się trzymało ziemi. Już podszedł do otworu kanału, gdy nagle ktoś zaśmiał się za jego plecami.

– No, no! Kogo my tu mamy? – Usłyszał znajomy głos. Przeszedł go dreszcz.

Agnieszka nie mogła patrzeć na twarz swojego prześladowcy. Zamknęła oczy, a wtedy poczuła kolejne uderzenie. Pisnęła z bólu, ale nie miała już siły się ruszyć ani tym bardziej podnieść. Zasłoniła tylko głowę rękoma i przygotowała się na kolejne ciosy, lecz te nie nastąpiły.

Odczekała chwilę.

Po kilku sekundach świst w uszach odpuścił. Nastąpiła cisza. Agnieszka nie słyszała już nawet najcichszego szmeru, a tylko uderzenia serca i pulsującą w żyłach krew, która jako jedyna dawała jej znać, że jeszcze nie umarła.

Po kilku długich minutach wyciągnęła rękę i zaczęła macać nią dookoła siebie. Natrafiała jedynie na lepka maź. Czuła, jak zlepia jej włosy w ciężkie strąki, jak wciska się pod ubranie, jak zasklepia palce, stając się między nimi ciężką, zasychającą błoną.

Czołgała się. Dotarła do ściany pomieszczenia. Wyczuła nieregularną ceglaną powierzchnię. Zaczęła posuwać się powoli wzdłuż niej, lecz z każdym krokiem coraz bardziej brakowało jej sił. W końcu trafiła na coś, co mogło być metalowym prętem, podobnym do tego, który rozciął jej głowę i złamał przynajmniej jedno żebro. Chwyciła go i wtedy poczuła, że nie da rady czołgać się dalej.

Musiła chociaż na chwilę zamknąć oczy. Zasnęła i nie ocucił jej nawet odgłos zbliżających się kroków.

Aspirant Bednarski widział światło, które przemieszczało się kilkadziesiąt metrów przed nimi. Zgasił swoją latarkę, żeby nie spłoszyć tych, których śledził.

– Kojarzysz, gdzie może się teraz znajdować najbliższy patrol? – spytał Edytę Gawron.

– Na pewno nie tutaj, to nie oni – odparła, chociaż Bednarski nie to miał na myśli. – Jeszcze przez pół godziny w tej części byliśmy tylko ja i Tokarski. On jest teraz gdzieś tam. – Wskazała na pobliski zagajnik w parku, którego poszczególnych drzew nie dało się dostrzec w mroku nocy. Był w tym momencie po prostu jedną z ciemniejszych plam, malujących się w zasięgu wzroku. – Czego właściwie szukamy?

Wycofali się kilkadziesiąt metrów i czekali. Teraz podążali wzrokiem za światłem latarki, sami ukryci w mroku nocy. Ktoś szedł przed nimi wzdłuż taśmy policyjnej, rozciągniętej tuż po prawej stronie na granicy ścieżki i parku.

– Idziesz? – wyrwał ją z zamyślenia Bednarski.

Nie wiedziała, czy odpowiedział na jej pytanie. Zorientowała się natomiast, że nagle jedna z dwóch obserwowanych osób zaczęła się szybko oddalać na południe. Druga stała w miejscu.

Przystanęli, oczekując na jej ruch. Oddalili się nieco od parku, idąc wznoszącym się coraz wyżej nasypem. Otoczona drzewami ścieżka prowadziła ich w ciemne zaułki, którymi strach byłoby chodzić nawet w biały dzień.

Po prawej widziała ruiny jakiegoś domku. Na co dzień musiała tam urzędować młodzież, bo ściany wymalowano wszystkimi kolorami tęczy, teraz już nieco wyblakłymi. Napisy i rysunki nie przypominały typowych łódzkich wandalizmów, nie było tam nazw klubów piłkarskich ani wyzwisk, a jedynie różnokolorowe czaszki, powykrzywiane misie o przekrwionych oczach,

penisy tryskające kolorową spermą, a pośrodku tego wszystkiego tkwił żółty, odbijający światło napis: „W psich latach już jesteś martwy”.

Edyta dogoniła Bednarskiego i dalej szli już ramię w ramię.

Osoba, za którą podążali, zeszła do koryta rzeki. Latarkę włożyła do kieszeni, żeby móc swobodnie chwycić się gałęzi. W końcu jednak z powrotem ją wyjęła, poświeciła po pobliskim równie bogato pomalowanym murze, który otaczał koryto z obu stron, po czym podeszła do wylotu kanału. Zaczęła oglądać kraty, przez które z pewnością nikt by się nie przecisnął.

– No, no! Kogo my tu mamy? – zawołał, celując w niego latarką.

Tomasz zamarł. Zaraz potem zaczął się energicznie rozglądać, lecz szybko dostrzegł, że znalazł się w pułapce. Był otoczony. Z dwóch stron miał betonowy płot, z jednej ścianę kanału, a z drugiej nasyp, na którego szczycie stała para policjantów.

– Gdzie się wybierasz? – zawołał Bednarski, a w tym samym momencie Tomasz zgasił latarkę. Nagle zmył się z tłem i zaczął coś robić przy kratkach, które po chwili zadźwięczały głośno. – Cholera! – zezłościł się aspirant i zaczął schodzić w stronę koryta rzeki. Droga była krótka, ale śliska i nierówna. Z trudem utrzymywał się na nogach, ślizgał się w błocie. Równie źle radziła sobie Edyta Gawron, ale w końcu udało im się stanąć w miejscu, w którym dopiero co znajdował się Lipiński.

– Jak on to...? – zaczęła, ale nie dokończyła.

Krata leżała obok wejścia do kanału. Została wyjęta w całości, jakby Lipiński miał laser, którym przeciął pręty tuż przy ścianie.

Bednarski przyjrzał im się szybko, a potem ceglanemu progowi.

– No jasne... – burknął, widząc, że między cegłami, tuż obok dziur, w których tkwiły poszczególne pręty, nie ma zaprawy.

– Wystarczyło podważyć, przekreślić i wyciągnąć – zauważyła Gawron, dostrzegając rysy na ciemnopomarańczowej powierzchni. Wyraźnie widoczne były też głębokie bruzdy wytyczone przez metalowe części, co oznaczało, że kratę wyjmowano już wiele razy.

– Od zewnątrz nie widać tych żłobień. – Bednarski próbował się jakoś wytłumaczyć, bo sam jakiś czas temu oglądał to miejsce. Jednocześnie jednak doszedł do bardzo ważnego wniosku. – Mógł to zrobić tylko ktoś, kto doskonale wiedział, o co chodzi.

– Jak właściwie wpadłeś na to, że on tu będzie?

– Lipiński jest głupszy, niż przypuszczałem. Poszedł do Malwiny Król, a przecież obserwujemy ją, od momentu gdy wyszła z przesłuchania. Dostałem cynk, że się u niej pojawił, a niedługo potem, że wychodzi. Od razu przyjechałem.

Puścił do niej oko i w końcu wszedł do kanału.

– Pusto? – zdziwiła się Szolc. – Żadnego śladu? – dopytywała.

– Nic. Sprawdziliśmy dokładnie dwa najwyższe piętra, zaraz zabierzemy się za niższe, ale z tego miejsca nie ma już zbyt dobrego widoku. Co najwyżej na pobliskie budynki.

– Okej, dzięki.

Rozłączyła się, a chwilę później zadzwoniła druga ekipa. Też nic nie mieli, ale ich teren był znacznie rozleglejszy.

– Znaleźliśmy wejście do kanału. Wokół czysto. Poza tym nie dałoby się do niego wejść. Część jest zawalona. Znalazłaby się może półmetrowa szczelina, ale płynie nią szlam, więc trudno byłoby się przecisnąć.

Mieli szukać dalej, ale Szolc wiedziała, że to Bednarski miał rację. Mylił się co do punktu, w którym podejrzana mogła dostawać się na teren dawnej fabryki. Obstawiał kanał przy parku Widzewskim. Tymczasem Tomasz Lipiński, którego śledził, pojawił się bezpośrednio obok parku. Aspirant nie przypuszczał, że to mogło być aż tak proste.

– Naprawdę możemy tylko czekać? – zdziwił się wyjątkowo już zniecierpliwiony Morawiec.

– Tak będzie najlepiej.

– W Gdańsku ściągnęlibyśmy helikopter i grupę specjalną, a do tego...

– Ale to nie jest Gdańsk – odparła złowrogo, przerywając mu wyliczanie kolejnych możliwości. – Moglibyśmy to zrobić, ale trzeba działać dyskretnie. Poza tym to chora psychicznie kobieta, którą trzeba odpowiednio podejść. Inaczej znów nam ucieknie. Tak jak uciekła wam, mimo waszego helikoptera.

Morawiec otworzył usta, żeby wypowiedzieć jakąś ciętą ripostę, ale ponieważ nic nie przyszło mu do głowy, po prostu zamilkł. Wycofał się do Zalewskiej, z którą w ostatnim czasie nie tylko dobrze się poznał, ale też

chyba zaprzyjaźnił. Być może dla pani psycholog Morawiec był jakimś zawodowym wyzwaniem.

Szolc cały czas czekała na sygnał od Bednarskiego. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Nagłego wkroczenia czy pościgu. Musieli się przygotować na każdą ewentualność.

– Lipińska może cierpieć na zaburzenia dysocjacyjne – powiedziała Zalewska, gdy wcześniej rozmawiały. – Z jednej strony jest cichą, ledwie sobie radzącą kobietą, a z drugiej kobietą silną, zdeterminowaną i agresywną. Ta druga osobowość może pojawiać się w stresie lub złości. Ktoś lub coś musi być dla niej swoistym katalizatorem, który wywołuje potrzebę wyładowania emocji. Dlatego gdy już ją złapiemy, może się wszystkiego wypierać, gdyż sama nie będzie wiedziała, co tak naprawdę zrobiła. Będziemy to musieli z niej wydobyć.

Znalezienie miejsca, w którym dokonano obu zabójstw, miało być ostatecznym dowodem przeciwko niej. Na razie mieli fragment narzędzia zbrodni. Szalik znaleziony w materacu był zrobiony z materiału, którego włókna ujawniono na dwóch ciałach, w tym na ciele chłopca z Gdańska. Nie było jednak na szaliku żadnych biologicznych śladów ofiar, dlatego należało uważać, że istnieje inny, identyczny szalik albo przynajmniej jakiś jego fragment. Okazało się, że został wykonany ręcznie. Trzeba było ustalić, kto go zrobił i ile takich szalików powstało.

Równie ważny okazał się dziecięcy but wciśnięty za komodę. Należał do Michała Radlińskiego. Jeden miał na sobie, gdy go znaleziono, drugi musiał stanowić jakiegoś rodzaju trofeum. Albo spadł dziecku przypadkowo, a potem został ukryty za komodą Lipińskiej.

Na klatce z ciałem znaleziono te same odciski, które wykryto w domku na działce. Bez wątpienia były to odciski Agnieszki Lipińskiej. Żeby mieć całkowitą pewność, trzeba je było oczywiście pobrać od niej samej, lecz wszyscy wiedzieli, że to czysta formalność. Zarówno Tomasz Lipiński, jak i właściciele okolicznych działek potwierdzili, że w domku mieszkała tylko ona.

Kolejnym dowodem winy Agnieszki Lipińskiej była jej obecność w Gdańsku piętnastego sierpnia dwa tysiące osiemnastego roku.

Z zamyślenia wyrwał Szolc dzwonek telefonu. Od razu odebrała i dopiero po chwili dotarło do niej, że na wyświetlaczu widzi nie nazwisko aspiranta, lecz nieznaną numer.

– Podkomisarz Kamila Szolc, słucham? – spytała po dwóch, może trzech sekundach milczenia, podczas których musiała przypomnieć sobie, co właściwie w takiej sytuacji powinna powiedzieć. – Pan sobie żartuje, prawda?

Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

Kanał cuchnął niczym szambo, bo niewiele się od niego różnił. W Łodzi często rozchodził się podobny smród, biorący swój początek właśnie w takich miejscach. Z ulic spływały tu nie tylko woda i błoto, ale też wszystkie zanieczyszczenia z domów, z ulic, resztki jedzenia, uryna, martwe ptaki, koty rozszarpane przez psy. W tym w poszukiwaniu jedzenia buszowały szczury i myszy. A teraz w gęstym szlamie przemieszczała się para policjantów.

– Zbyt długo tu nie wytrzymam... – upредиła Gawron, z trudem opanowując odruch wymiotny.

Próbowali biec, ale było to niemożliwe nie tylko ze względu na niewielką głębokość wody, ale też śliskie dno i niski strop.

– Jak on mógł się tak szybko ulotnić? – dziwiła się Gawron.

Bednarski na wszelki wypadek oświetlał ściany kanału, szukając jakichś wnęk, w których można byłoby się schować.

Dość szybko dotarli do zwężenia kanału, który zaczął piąć się teraz stromo, zapewne pod samą powierzchnię, żeby przejść w o wiele mniejszy kanał na deszczówkę.

– Cholera... – zaklął aspirant. Wiedział już, że musieli popełnić jakiś błąd.

Cofnęli się szybko, tym razem oświetlając nie tylko ściany, ale też górną część kanału. W pewnym momencie ujrzeni kwadratową klapę, pod którą dało się dostrzec dwa zardzewiałe metalowe schodki.

– Prawie ich nie widać – stwierdził i od razu się po nich wspiął. Klapa zaskrzypiała, gdy aspirant pchnął ją z całej siły, a potem odskoczyła, z łoskotem uderzając w betonową podłogę na powierzchni.

Aspirant pierwszy wyszedł z kanału. Stał w zatęchłym, wilgotnym pomieszczeniu. Wyciągnął rękę do Gawron, ale ona poradziła sobie bez jego pomocy.

Znaleźli się w piwnicy, zawilgotniałej, zasypanej złuszczonego tynkiem i pyłem ceglanym. W wielu miejscach utworzyły się wielkie ciemnozielone kałuże.

Piwnica była rozległa. Strop podtrzymywały cztery słupy. Żadnego okna, żadnej lampy, nie było widać wyjścia.

– Tam! – zawołała Gawron, świecąc w stronę najczarniejszego punktu. Było to przejście do kolejnego pomieszczenia, równie zaniedbanego i ciemnego. Przeszukiwali je szybko, starając się nie robić hałasu.

– On musi tu gdzieś być... – mruknęła Gawron, gdy okazało się, że kolejnego przejścia nie ma.

Nagle przestrzeń rozdarł metaliczny huk. Wzdrygnęli się i szybko wrócili do pierwszego pomieszczenia.

– Kurwa! – zaklął znowu Bednarski, bo zorientował się, że uciekinier najprawdopodobniej wrócił do kanału. Dopadł do włazu, ale wtedy Edyta odkryła kolejne schodki, prowadzące do klapy w suficie.

Tomasz wiedział, że idą za nim policjanci. Musiał być krok przed nimi, żeby zawczasu ukryć Agnieszkę. Sądził, że będzie gdzieś tutaj. A wraz z nią Beata, gotowa wyrządzić im krzywdę.

Był przekonany o winie Beaty. Na pomysł, gdzie może się ukrywać, wpadł w momencie, w którym powiedziano mu o odkrytym w klatce ciele dziecka. Widział kilka klatek na działce, ale nie podejrzewał, że mają jakiegokolwiek znaczenie. Dopiero teraz okazało się, że są niezwykle istotne. Nie tylko dlatego, że w jednej z nich odkryto ciało dziecka, ale także z powodu samego ich pochodzenia. Znalazła je kiedyś Beata. Dawno temu, jeszcze jako nastolatka. Wtedy ich rodzice kupili działkę, która ostatecznie trafiła po ich zbyt wczesnej śmierci w ręce starszej córki. Za ich życia dziewczyny często się tam bawiły.

Beata lubiła się zapuszczać w nieznane rejony. Odkryła tajemne przejście, o którym powiedziała Agnieszce, a potem ona powiedziała Tomaszowi, traktując to jako nic nieznaczącą ciekawostkę. Opowiedziała o znalezionych w jednym z opuszczonych magazynów klatkach, w których potem Beata zaczęła hodować króliki na działce. Wtedy nikt się nie dziwił temu, że co jakiś czas któryś zdychał.

Te same klatki leżały później pod ogrodzeniem. Przez lata nikt ich nie ruszał.

Nie miał jednak pewności, gdzie dokładnie Beata znalazła to żelastwo.

Zamknął za sobą klapę. Wyjście z piwnicy prowadziło do zrujnowanego pomieszczenia bez dachu. Mrok nocy był o wiele przyjaźniejszy od tego piwnicznego, tłamszącego i zniewalającego. Tomasz czuł się tam jak w pułapce.

– Gdzie, do cholery, możesz być...? – powiedział sam do siebie.

Wiedział, że nie powinien zbyt długo zostawać w jednym miejscu, ale nie miał pojęcia, gdzie ma teraz iść. Teren był naprawdę rozległy, a noc

potęgowała wrażenie bezkresu.

Po lewej Tomasz miał jakieś działające wciąż magazyny, ciągnące się przy czterech równoległych ulicach. Chcąc je przemierzyć, należałoby podjąć kilkukilometrową wędrówkę slalomem.

Dlatego ci dwoje idą za mną, pomyślał. Wiem więcej od nich, ale wkroczenie tu całej brygady antyterrorystycznej od razu spłoszyłoby Beatę i uniemożliwiło szybkie odnalezienie jej kryjówki. A w tym czasie Beata mogłaby jeszcze zrobić wiele złego.

– Beata powiedziała mi kiedyś – tłumaczył wcześniej Malwinie – że dopóki Agnieszka będzie żyła, dopóki będzie mogła swobodnie się poruszać, dopóty dziecko będzie zagrożone.

– Zagrożone czym?

– Agnieszka. Jej toksycznymi emocjami. Jej patologiczną obecnością. Jej brakiem uczuć. Wiesz, co chciała mi wtedy powiedzieć, prawda?

Malwina przytaknęła, ale Tomasz mimo to dopowiedział:

– Dopóki nie pozbędzie się Agnieszki, Rafał tak naprawdę nigdy nie będzie jej. Może chciała ją zabić, ale ostatecznie stwierdziła, że wrobiecie jej w morderstwo będzie lepsze. Gdyby zabiła siostrę, prędzej czy później by wpadła. Łatwiej znaleźć tego rodzaju kozła ofiarnego. Miała plan. Myślała, że sprawa w Gdańsku wszystko załatwi. Ale zostawiła za mało śladów. Musiała chronić siebie, więc trudno jej było podsunąć policji Agnieszkę. No i próbowała dalej. Najwidoczniej bardzo jej się to spodobało. Kumulowana przez całe życie nienawiść musiała znaleźć ujście. Nienawiść do świata, do siostry. Ale też do samej siebie. Na pewno jednak nie było w niej nienawiści do tych dzieci. One były tylko narzędziem, idealnym motywem dla zabójstw jakoby dokonanych przez Agnieszkę. Tylko prawdziwy psychopata mógł wpaść na coś takiego.

Ruszył do budynku, do którego, jak mu się zdawało, prowadziła błotnista ścieżka. Minął najbliższe zabudowania i wszedł między drzewa. Szedł wpatrzony w ziemię, po niewyraźnych śladach, aż w końcu dotarł do starego, dość szerokiego komina. Tylko ten komin świadczył, że przed laty cokolwiek się tutaj znajdowało. Jego górna część się zawaliła, widać było postrzępione ścianki na górze, wokół wałało się mnóstwo pokruszonych cegieł.

Ścieżka zaprowadziła go do ruin tuż obok. Był to podłużny budynek stojący na skarpie. Miał dwie kondygnacje. Z wyższej prawie nic nie zostało.

Niżej ostała się tylko piwnica. Dało się dostrzec jej ściany wyłazące spod ziemi tuż przy stromym spadzie ogromnego dołu, zapewne pozostałego po żwirowni.

Tomasz wszedł między zrujnowane ściany. Dostrzegł wymalowane dookoła napisy informujące o groźbie zawalenia.

Po kilku krokach zobaczył zejście na niższy poziom.

Obejrzał się. Nikogo za nim nie było.

Dorota kończyła właśnie przedostatni obchód przed snem dzieci. Teraz były już w swoich pokojach i albo czytały, albo grały na komputerach lub telefonach. Część z nich poszła do świetlicy, gdzie akurat włączono telewizor.

Obserwowała chwilę dwójkę starszych podopiecznych, którzy rozmawiali, udając tylko, że oglądają program informacyjny.

– Czyżby pojawiła nam się w domku nowa para? – zagadnęła Karolinę, która siedziała przy biurku i wypełniała jakieś dokumenty.

– Czy ja wiem... – odparła Karolina. – Na razie tylko rozmawiają.

– Tak to się zaczyna.

– Zaczyna co?

– Przekonasz się, za chwilę zobaczymy Monikę z brzuchem. Wspomnisz moje słowa.

– Bo rozmawia z kolegą?! Zwariowałaś?

Monika miała siedemnaście lat, zaraz będzie pełnoletnia. Nawet gdyby zaszła w ciążę, to nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego.

Dorota powinna martwić się patologiami u młodszych, pomyślała Karolina. Gdyby wpadła czternastolatka, to rzeczywiście byłoby źle, a przecież i takie historie się zdarzają.

Wróciła do wypełniania dokumentów i więcej nie spojrzała już na Dorotę. Dalszego ciągu rozmowy nie było, więc Dorota wyszła z sali.

Biegiem minął ją Wojtek, chłopak, który mieszkał z Marcinem. Przyjrzała mu się. Podbiegł do lodówki. Zrobił szybko dwie kanapki i nalał do szklanki soku pomarańczowego.

– Nie najadłeś się na kolacji? – spytała.

– Najadłem – odparł zasapany.

Chwilę później gnał z powrotem,omal nie rozlewając soku.

– Uważaj! – rzuciła Dorota.

Zatrzymał się dwa kroki dalej.

– Psze pani, fajnie, że Marcin w końcu wrócił – zawołał z uśmiechem na ustach.

Dorota pokiwała głową.

– No fajnie – odparła i dopiero, gdy chłopak zniknął za zakrętem, dotarło do niej, co właściwie powiedział.

– Co? – zainteresowała się nagle Karolina. Aż wstała zza biurka.

– On... – Chciała powtórzyć, co powiedział, ale zamiast tego szybko za nim pobiegła. Kilkanaście sekund później dopadła do otwartych drzwi pokoju chłopaków.

– Wojtek, co ty powiedzia... – urwała, widząc, że podaje leżącemu na łóżku chłopcu szklankę z sokiem. Marcin, cały oblepiony błotem, trząsał się z zimna. Był strasznie blady, miał zapadnięte oczy i policzki i czerwone od zaschniętej krwi usta.

Dorota poczuła, że tuż za nią staje Karolina. Obie nie wiedziały, czy to, co widzą, jest prawdziwe, dopóki Marcin się nie odezwał, jęknąc i szcękając zębami.

– Posprzątam to. – Zerknął na zabłocone łóżko i brudną podłogę, a potem spojrział zażalonymi oczami na Dorotę. – Naprawdę. Niech pani nie będzie na mnie zła.

Karolina jakby ocknęła się ze snu i szybko podbiegła do chłopaka. Dorota schowała twarz w dłoniach i głośno zaszlochała, a zaraz potem zaśmiała się histerycznie i dopiero po chwili dopadła do łóżka chłopaka.

Powoli zszedł po schodach. Żałował, że nie przygotował sobie żadnej broni, choćby gazu pieprzowego. Zdawał sobie sprawę, że jeśli natknie się teraz na Beatę, to będzie zmuszony skonfrontować się z jej agresją. Obawiał się tego. Beata nie była drobną kobietą, wręcz przeciwnie, wysoka jak on, miała podobną wagę i silne dłonie. Z pewnością jest zdolna, by go skutecznie zaatakować.

Świecił sobie pod nogi latarką z telefonu, wchodząc do piwnicy. Tym razem było już czuć nie tylko wilgoć i pleśń, ale też odór krwi i odchodów. Dostrzegł jasne prześwity dochodzące do środka przez dziury w ścianach przy skarpie. Przestało padać, księżyc wyszedł zza chmur. Tomasz uznał to za dobry znak.

Od strony przepaści znajdowały się trzy pomieszczenia. Pierwsze ziało całkowitą pustką. W drugim, największym, tym z kilkoma słupami, znajdowało się wejście do wnętrza komina. Tomasz stanął bezpośrednio pod dziurą w suficie, nad którą widniał ogromny lej. Do jego wnętrza można się było dostać po stojącej obok drabinie, żeby móc wejść wyżej i stamtąd lustrować okolicę.

Stanął tak na chwilę, spoglądając w górę, i wtedy usłyszał ciche pojękiwania. Cały stężał.

Do ostatniego pomieszczenia prowadziło wąskie przejście.

– Agnieszka? – zapytał, widząc jakąś postać siedzącą pod ścianą.

Po podłodze spływały strumyczki wody, która przesączała się przez nieszczelny sufit i prowizoryczne okna o nieregularnych kształtach.

Kobieta miała zamknięte oczy. Zdawało się, że straciła przytomność.

– Co ona ci zrobiła... – jęknął, podchodząc.

W dłoni ścisnęła jakiś pręt, którym zamachnęła się nagle, gdy Tomasz podszedł.

– Spokojnie, to ja! – zawołał, odskakując.

Agnieszka otworzyła oczy i spojrzała na niego mętnym wzrokiem. Wtedy dostrzegł strużkę krwi płynącą z jej skroni w stronę niespokojnie poruszającej się piersi.

Zamarł, widząc zalany krwią, brudny, rozciągnięty szalik, którym była opleciona jej szyja. Ciemnozielony. Przypominał bardziej podziurawioną starą szmatę, którą można by zatkać jakąś rurę.

Tomasz wiedział jednak, że on wcale nie do tego służył.

– Co ci się stało? – Spróbował podejść, ale Agnieszka ponownie się zamachnęła. Nie trafiła go. Uderzyła za to samą siebie. Trafiła w bark, lecz zdawała się w ogóle nie czuć bólu. Jakby już wcześniej robiła tak raz po raz. – Była tu Beata?

– Beata? – zdziwiła się. Miała zachrypnięty głos, jakby ktoś dopiero co ją dusił.

– Wiem, że to wszystko jest jej sprawką.

– Jaka Beata?

– Twoja siostra, do cholery!

Tomasz zaczął chodzić w tę i z powrotem. Dopiero wtedy zobaczył, co znajduje się w pomieszczeniu. Było tu kilka stojących na paletach klatek, a w jednej z nich dostrzegł truchło.

– Kurwa! – krzyknął, gdy podszedł i poczuł ostrą woń zgnilizny i zakrzepłej krwi. Poświecił na ciało, ale zamiast dziecka zobaczył okaleczone, zalane posoką zwłoki psa. Domyślał się, skąd się tu wzięły.

– Zabiłaś go? – spytał. – Ty to zrobiłaś? – Dopadł do Agnieszki i spróbował jej wyrwać pręt. Była obolała, leżała bezsilna. Nie potrafiła się podnieść, lecz jej dłoń tak kurczowo ścisnęła ten kawałek żelastwa, że Tomasz nie potrafił go jej zabrać.

– Już był martwy, gdy tu przyszedłam. Nie mogłam nic zrobić.

– A gdzie ten dzieciak? – Przeszedł się jeszcze raz po całym pomieszczeniu, zajrzał do każdej z klatek, ale w żadnej nie dostrzegł zaginionego Marcina.

– Zaprowadziłam go do domu.

– Co?

– To dlatego mnie napadł.

– Kto?

– Ciebie. – Agnieszka nagle się ożywiła. – Jest tutaj? Widziałeś go?

– O czym ty mówisz?

– Poszłam dziś za nim. – Podniosła się w końcu i zaczęła ostrożnie wyglądać przez oba okna. Niewiele mogła za nimi zobaczyć poza ciemną nocą. – To go zdenerwowało.

– Kogo?

– Wynosił stąd ciało. Ale ten drugi chłopak jeszcze żył. Musiałam go czym prędzej zabrać. Strasznie płakał. Chciał do domu.

– Wiesz, że tamto ciało znaleziono na twojej działce?

– Bo on chce, żeby wszyscy myśleli, że to ja – szepnęła mu do ucha. Podeszła do Tomasza. Zadrżał, gdy znalazła się tak blisko. – Wiesz o tym? Ale ja mu na to nie pozwolę.

– Co zrobisz?

– Czekam tu na niego. Raz udało mi się go uderzyć. Zawsze mi powtarzaliście, że muszę walczyć ze swoimi demonami. Udusić je, nim one uduszą mnie. Dziś prawie mi się to udało. – Znów się nachyliła. – Wiesz?

– O czym ty, do cholery, gadasz? Od dawna już nikogo nie słuchasz. Chcieliśmy ci pomóc, dawaliśmy ci leki, a ty cały czas tylko powtarzałaś jakieś niestworzone rzeczy.

– Ale on tu jest.

– Nie ma żadnego pieprzonego cienia! – krzyknął, nagle opadając z sił. Zwątpił w to, w co wierzył. Agnieszka ścisnęła w dłoni pręt i w każdej chwili mogła zaatakować. Jego, siebie. Zdawało się, że to dla niej nie ma żadnego znaczenia. Wystarczyło, żeby zobaczyła swoje odbicie w kałuży, a zacznie okładać najpierw kałużę, a potem samą siebie. – Jesteś chora – zaczął łagodniej. – Chciałbym ci pomóc.

– Pomagasz mi – powiedziała czule. Tomasz nie potrafił znieść ciągłych zmian jej nastroju. Raz była miła, raz agresywna. Często obojętna i apatyczna, ale wciąż zdolna do nieprzewidywalnych ruchów. – A teraz pomóż mi go znaleźć. To nie będzie trudne. On jest bardzo do mnie podobny. Chodzi za mną jak cień, dlatego go tak nazywam, wiesz? – Zaśmiała się. – Pojawia się

zniecka, obserwuje i chodzi krok w krok. A potem nagle znika. Tak jak zniknął przed chwilą. Trzeba czekać.

– Musimy stąd wyjść – powiedział w końcu Tomasz, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, co teraz robić. – Oni cię szukają.

– Kto?

– Policja. Zaraz tu będą.

Czy powinien pozwolić im tu wejść, czy próbować nakłonić Agnieszkę do ucieczki? Przecież nie mogła być temu wszystkiemu winna, nie wierzył w to. Nie potrafił. Ale wiedział, że nie może zostać sama. Ktoś musiał

się nią w końcu zająć. Na poważnie. On nie potrafił. Co więcej, wszystko komplikował.

– Poczekamy tu na nich razem, dobrze?

– Nie mogę. On właśnie tego chce. Żebym się poddała.

Tomasz podszedł do niej i spróbował ją objąć.

– Chodź, usiądziemy i poczekamy.

Agnieszka otrząsnęła się niczym mokry pies.

– Zostaw mnie! – krzyknęła, gdy poczuła dotyk jego dłoni.

– Chodź... – powiedział cicho, obejmując ją mocno ramieniem.

– Zostaw!

Agnieszka zamachnęła się prętem i uderzyła Tomasza w pierś. Nagle zabrakło mu tchu. Nie miał pojęcia, skąd ta kobieta ma w sobie tyle siły.

Uderzenie odrzuciło go na ścianę. Spróbowała zaatakować jeszcze raz. Końcówka pręta rykoszetem trafiła Tomasza w skroń.

Na chwilę go zamroczyło.

– Jesteście w znowie! – ryknęła na całe gardło. – Zawsze byliście. Od samego początku. Ty i... – Tomasz czekał, aż powie „ty i Beata”, ale ostatecznie nie dokończyła myśli. – Zawsze byłeś przeciwko mnie. Zawsze liczyło się tylko to, czego chciałeś ty. Ja nigdy nie byłam ważna.

– To nieprawda – powiedział, ledwo łapiąc oddech. Pierś eksplodowała mu niesamowitym bólem, który promieniował teraz na całe ciało. Musiał go jakoś przezwyciężyć.

Dostrzegł jej złowrogą, zdeterminowaną twarz.

– Co chcesz zrobić? – spytał. Widział, że podchodzi. Nagle wzięła skądś ubrudzony krwią nóż.

Zatrzymała się na dźwięk jego słów. Nagle jakby oprzytomniała. Powiedziała coś, ale w uszach świszczało mu tak głośno, że nic nie zrozumiał.

Rozejrzała się i niespodziewanie rzuciła biegiem w stronę schodów.

– Zaczekaj! – zawołał za nią. Chwiejnym krokiem wdrapał się na górę, ale opuściły go siły i wszelkie chęci. Wybiegł za nią na powierzchnię, zrobił kilkanaście kroków, gdy ona, tchnięta dziwną siłą, pobiegła w dół zbocza.

W pewnym momencie padł na kolana. Miał dość.

– Zalewska, jedziemy! – zawołała do psycholog, która wyglądała teraz na równie skonsternowaną co ona sama. Bez słowa jednak wsiadła do radiowozu, którym w ciągu kilku minut dojechały do domu dziecka.

– Zabieramy go do komendy? – zapytała Zalewska.

– Lepiej nie – odparła.

– Też tak sędzę.

Karetka już tu była. Wezwał ją dyrektor, a zaraz potem zadzwonił do Szolc. Nie mogła uwierzyć w to, co jej powiedział. Sądziła, że to jakiś ponury żart, że to wcale nie on dzwoni, tylko jakiś idiota, który chce odciągnąć ją od pracy. Ostatecznie musiała przyjąć do wiadomości, że Marcin naprawdę wrócił.

– Przecież to znakomita wiadomość! – zawołała Zalewska, gdy Szolc się skrzywiła, skonsternowana.

– No oczywiście, ale to wydaje mi się zbyt absurdalne.

– Będziemy mieli naocznego świadka.

– Oby cokolwiek wiedział.

– Najważniejsze, że Marcin żyje i będzie nam mógł cokolwiek powiedzieć.

– Oby – westchnęła.

Jedna z wychowawczyń zaprowadziła je do pokoju, gdzie lekarz oglądał Marcina. Doprowadzono go do porządku, umyto i nakarmiono. Był wygłodniały, ale jego żołądek nie przyjmował pokarmu. Chłopak wymiotował jeszcze w pokoju, po kilku gryzach kanapki, którą przyniósł mu kolega.

Wojtek myślał, że wszyscy o wszystkim wiedzą, bo nie sądził, żeby Marcin tak po prostu wszedł do budynku i położył się do łóżka. Tymczasem on sam nie miał pojęcia, jak to się stało.

– Jest w szoku – wyjaśnił dyrektor, który od razu wyszedł do podkomisarz.

– Na razie niewiele nam powiedział. Tyle tylko, że jest mu zimno i że

przyszedł tu prosto z jakiejś kryjówki. Jeszcze pół godziny temu tam był. – Dyrektor zadrzał na tę myśl. – Powiedział, że chce jeść, ale niestety większość jedzenia zwrócił.

– Trzeba go zabrać na obserwację i dać mu kroplówkę – wyjaśnił ratownik.

– Czy mogę mu zadać chociaż jedno pytanie? – poprosiła lekarza, który zaczął się zbierać.

– Jedno – odparł oschle.

Szolc podeszła do Marcina. Patrzył uporczywie w sufit, usta mu drżały. Kulił się, zapewne wciąż nie czuł się bezpiecznie.

– Marcin? – odezwała się po kilku sekundach, obawiała się, że wystraszy go jeszcze bardziej. – Jestem Kamila Szolc z policji. Mamy do ciebie jedno pytanie. – Chciała powiedzieć „kilka”, ale wiedziała, że lekarz słucha i jak najprędzej chce zabrać chłopca do karetki. Wiedziała, że jest to konieczne, ale równie ważne były jakiegokolwiek, nawet szczątkowe informacje. – Czy wiesz, co się stało cztery dni temu? – Cisza. – Czy ktoś cię porwał? – Na to pytanie także nie odpowiedział. Spojrzał raz na Szolc, ale w jego oczach była dziwna pustka. – Pamiętasz, gdzie byłeś?

– Z Gandalfem... – powiedział w końcu łamiącym się głosem. Szolc nie zrozumiała.

– To nasz pies – wyjaśnił dyrektor, widząc wyraz twarzy podkomisarz.

– Pobiegłeś za nim cztery dni temu. Dokąd?

– Nie pamiętam.

– Musimy już iść – odezwał się lekarz, ale Szolc go zignorowała.

– A co się stało dzisiaj? Jak tu wróciłeś?

– Ona mnie wypuściła – odparł od razu.

– Kto?

– Ta pani...

– Jaka?

– Widziałem ją kilka razy w parku.

– Mówisz o Agnieszce Lipińskiej?

– Ona... mnie teraz znalazła. – Nie odpowiedział na poprzednie pytanie, zapewne nie miał pojęcia, jak ta kobieta się nazywała. – Otworzyła klatkę

i kazała uciekać. Wyprowadziła mnie stamtąd i powiedziała, żebym się schował i nigdzie nie wychodził.

– Ona cię skrzywdziła?

– Nie wiem.

– Tam, gdzie była klatka, pojawiała się jeszcze jakaś osoba?

– Chyba tak.

– Wiesz, kto to był?

– Ona mówiła, że to jej cień.

Szolc nie zrozumiała. Spojrzała na Zalewską, która stała obok i wszystkiego uważnie słuchała. Potem przeniosła wzrok na dyrektora, a w końcu na Malwinę Król, która właśnie stanęła tuż obok niego. Była zasapana. Szolc wiedziała, że zaledwie przed chwilą była w parku, a wcześniej pomogła Lipińskiemu się ukryć.

– Proszę nigdzie nie odchodzić, pani zaraz pojedzie z nami – rzuciła do niej, po czym znów zwróciła się do Marcina: – Czyli były tam dwie osoby?

– Nie wiem.

– Pani podkomisarz... – ponaglił ją dyrektor.

– Ostatnie pytanie – powiedziała. Popatrzyła Marcinowi głęboko w oczy. – Teraz zastanów się dobrze. Powiedz mi, czy osoba, która cię więziła, znajdowała się teraz w swojej kryjówce, tam, gdzie cię więziła?

– Chyba tak.

– Wiesz, gdzie to było?

Pokręcił głową.

– Ona mnie prowadziła. Ja... Ja nie wiem...

– Widziałeś jej twarz? Rozpoznasz ją?

Nie odpowiedział. Szolc musiała się już wycofać.

Marcina zabrała karetka, a podkomisarz z Malwiną Król i Zalewską skierowały się do radiowozu.

– Szukacie niewłaściwej osoby – powiedziała Malwina, gdy były już w środku. – Agnieszka Lipińska go uratowała. Wyprowadziła go stamtąd.

– Jej zaburzenia osobowości pozwalają raz być oprawcą, a raz wyzwolicielem – odparła Zalewska, gdy Szolc odpaliła silnik.

– Za tym wszystkim nie stoi Agnieszka, tylko Beata Cieślak. Musicie w końcu to dostrzec.

– Kto? – zdziwiła się Szolc.

Malwina opowiedziała im to, co przekazał jej Tomasz.

– Agnieszka jest marionetką.

– Tylko po co Cieślak zabija? Po co miałyby zrzucać winę na żonę Lipińskiego?

– Żeby mieć go wyłącznie dla siebie.

– Ale czemu jej tak na tym zależy? – Szolc nie rozumiała.

– To mógłby być przykład kompensacji – odezwała się Zalewska, która próbowała w jakiś logiczny sposób wytłumaczyć to, co właśnie sugerowała im Malwina Król. – Beata Cieślak może chcieć podporządkować sobie Tomasza, bo nigdy nie udało jej się zbudować właściwego związku – wyjaśniła. – Ale potrafi zrobić to tylko za pomocą mechanizmu zniewolenia. Uprawdzała dziecko, bo nigdy nie mogła mieć własnego. Jednocześnie próbuje pozbyć się siostry, żeby nie mieć konkurentki. Wykorzystuje dwa sposoby działania. Własne defekty wynagradza sobie zdobywaniem siłą tego, czego potrzebuje. – Na bieżąco wysnuwała wnioski. – A z drugiej strony każde niepowodzenie wywołuje u niej złość, którą przekłada na swoje ofiary. A jednocześnie...

– Jednocześnie buduje profil nie swój, ale swojej siostry. Nie zostawia swoich śladów, lecz jej ślady.

– Tomasz potrafi zestawić napady jej złości z dniami, w których zabito te dzieci i psy. Za każdym razem Beata wpadała w furję, bo Tomasz wracał do żony, bo zapowiadał, że chce się nią opiekować, że trzeba jej pomóc.

– Tylko czy Lipiński ma jakiegokolwiek dowody na to, że to nie Agnieszka, ale jej siostra? Sama teoria spiskowa nie wystarczy.

Malwina nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć. Obawiała się, że Tomasz także miałby z tym problem. Dlatego musiał odnaleźć kryjówkę osoby odpowiedzialnej za to wszystko.

Bednarski czuł, jak z każdym krokiem grunt coraz bardziej się podnosi. Był przekonany, że zagajnik, w którym zniknął Tomasz, rośnie na najwyższym poziomie tego terenu.

– Po prawej niedaleko mamy mur – wytłumaczył Edycie. – Nie da się tędy przejść, dlatego nie skupiliśmy się za bardzo na tym punkcie. Gdybyśmy tylko wiedzieli, że kanał nas może tutaj doprowadzić... – Westchnął. – Tam dalej powinien być lej po małej żwirowni, kojarzę go z mapy. Niedługo potem ogrodzenie zakręca i dochodzi aż do ulicy Niciarnianej. Przy bramie jest już Szolc z obstawą.

Od razu próbował ją wywołać, żeby podać swoje położenie, ale Szolc nie odpowiadała.

– Stąd zapewne doskonale widać blok, w którym mieszkają rodzice pierwszej ofiary. Niedaleko jest też supermarket. Dziecko musiało odejść jakiś kawałek. Morderca widział je, a gdy pojawił się na miejscu, dziecko było już dość daleko od sklepu, więc je uprowadził.

– Co z domem dziecka? – zainteresowała się Gawron.

– Jest nieco dalej. Marcin pobiegł za psem. Jeszcze dalej jest kamienica tej dziewczynki od sznaucera.

– Ale ona poszła z nim na spacer, a morderca zaatakował dopiero, gdy wracała do domu.

– Więc należy sądzić, że inne wyjście, z którego korzystał sprawca, znajduje się najbliżej bloku.

Bednarski wybrał prywatny numer do podkomisarz. Tym razem odebrała. Podał jej swoje położenie i przekazał najważniejsze wieści. Zaraz potem Szolc poinformowała go, że jedna z domniemanych ofiar została odnaleziona. Bardzo go to zdziwiło.

– Jak najszybciej sprawdźcie, kto znajduje się w okolicy i czy jest stamtąd inne wyjście. Wtedy wkroczymy.

– Tak jest! – odparł, po czym się rozłączył. W tej samej chwili usłyszeli jakieś podniesione głosy, dochodzące z za drzew. Wypadli na pustą przestrzeń przed skarpą i zrujnowanym kominem. Dostrzegli, że z piwnicy ruin wybiega jakaś ciemna postać. Słaniała się na nogach i zataczała jak pijana. Albo ranna.

– Proszę się zatrzymać! – zawołał za nią aspirant Bednarski, ale nie zareagowała. Po chwili z piwnicy wyłonił się ktoś jeszcze. Tym razem byli bliżej i rozpoznali, że to Tomasz Lipiński.

– Stój! – krzyknęli jednocześnie i rzucili się biegiem w ich stronę. Lipiński ruszył chwiejnie za podejrzaną, która biegła stromym zboczem. Bednarski był przekonany, że zaraz się potknie, przewróci i skręci sobie kark, ale udało jej się dotrzeć na dno wykopu. Lipiński nie był jednak aż tak głupi i nie ruszył jej śladem. Wiedział, czym to grozi. Zatrzymał się po kilku krokach i padł na kolana.

– Skuj go! – krzyknął Bednarski do Gawron. – Czy to Agnieszka Lipińska? – spytał, zanim pobiegł dalej. Tomasz skinął głową. W jego oczach aspirant dostrzegł łzy.

Ruszył w pościg.

Kilka razy stracił równowagę na piaszczystym zboczu, przypominającym nieco klif albo wydnię, ale w porę udawało mu się ją odzyskać. Dotarł na dno o wiele wolniej niż Lipińska. W mokrym piasku były jednak na tyle wyraźne ślady, że nietrudno było ją śledzić.

Wywołał Szolc przez krótkofalówkę. Podkomisarz już wróciła na pozycję.

– Podejrzana ucieka na południowy wschód – zawołał głośno. – Jest uzbrojona w metalowy pręt albo rurkę. Nie mam pojęcia, gdzie jest wyjście z tego terenu, ale wyraźnie chce go opuścić nieznanym nam sposobem.

– Jednak mogliśmy ściągnąć ten helikopter... – stwierdziła z żalem Szolc. – Albo chociaż dron.

W tym deszczu i tak niewiele by zdziałał, pomyślał Bednarski, bo znów zaczęło padać. Świat przed nim momentalnie się rozmył. Ślady w piasku na szczęście były dość trwałe.

Pochylił się.

– Ona krwawi – powiedział do Szolc. – Straciłem ją z oczu, ale z pewnością zaraz doprowadzi mnie do pofabrycznego kanału ściekowego.

Rozłączył się.

Gawron przykuła Lipińskiego do wystającej z ziemi rurki, wezwała wsparcie i dopiero wtedy zeszła do piwnicy. Minęła komin i zagłębiła się w cuchnącym pomieszczeniu.

– Wprowadziła tutaj dużego, żywego psa – odezwała się przez krótkofalówkę do Bednarskiego, zupełnie jakby porozumiewali się telepatycznie. Weszła już do piwnicy i zobaczyła, co się w niej znajduje. – Nie mogła z nim przejść żadnym kanałem. Nie dałaby rady. Cholera... – zaklęła, widząc, że to najprawdopodobniej tutaj przetrzymywano obu chłopców. Pod ścianą stało kilka klatek. Część z nich podmyły odchody. Jedna cuchnąca kałuża ciągnęła się spod martwego truchła psa, druga spod pustej klatki, w której zapewne przez cały czas siedział Marcin.

Wszędzie wokół porozsypywano suchą karmę dla psów. Na jednym z okien stało zardzewiałe wiadro zbierające deszczówkę, którą zapewne Lipińska poila swojego więźnia.

– Mamy miejsce zbrodni – powiedziała do podkomisarz, która odetchnęła z ulgą. Nie złapali jeszcze sprawcy, ale to była już tylko kwestia kilku minut.

Bednarski poczuł, że grunt powoli zaczyna się podnosić. Docierał do ściany dołu. Środkiem cały czas biegły ślady Agnieszki Lipińskiej. Wiedział, że tuż obok znajduje się wysoki betonowy mur, który odgradzał pofabryczny teren od reszty świata. Sprawdzali wcześniej, że nie można go po prostu przeskoczyć.

Dotarł na drugi brzeg leja, idąc jakby przejściem przez wydnięcie. Widział przed sobą mur. Dopadł do niego i dopiero wtedy zobaczył wykopaną pod nim dziurę. Szeroką na jakieś dwa metry, wysoką na metr. Można ją było dostrzec, wyłącznie idąc tą stroną, po zboczu. Była osłonięta zwałami ziemi z obu stron, dlatego z odległości kilkunastu metrów nie dało się jej zauważyć.

– Kurwa! – zaklął, kucając. Przeczłogał się pod ogrodzeniem i znalazł się w gęstych zaroślach. Można je było obejść tuż przy łuszczącej się ścianie. Krzaki doskonale zasłaniały dziurę, która od tej strony była jeszcze mniejsza, wręcz niedostrzegalna.

Ślady nagle się urwały, gdyż piasek zastąpiło porośnięte trawą pobocze. Dalej ciągnął się stary, podziurawiony asfalt. Naprzeciwko rosły gęste zagajniki, a za nimi było osiedle domków jednorodzinnych. Idąc w lewo,

można było dotrzeć do sklepu, sprzed którego uprowadzono dziecko. W prawo szło się do domu dziecka, w którym pracowała Malwina Król.

– Gdzie jesteś, do cholery? – powiedział sam do siebie, po czym przez krótkofalówkę wywołał podkomisarz Szolc. – Podejrzana... – zaczął i w tym samym momencie ją dostrzegł. – Stój! – krzyknął, ale ona nie słuchała. Gnała dalej, w stronę punktu zabezpieczonego już przez Szolc. – Biegnie w waszą stronę.

– Jest uzbrojona?

– Tak – odparł. Cały czas widział w jej dłoni pręt. Nie wiadomo, czy zechce nim zaatakować, ale nie można było tego wykluczyć.

Szolc najpierw dostrzegła Bednarskiego. Fragmenty jego munduru odbijały światło reflektora wymierzonego w stronę, z której miała nadejść podejrzana. Dostrzegła ją dopiero po chwili. Biegła ile sił w nogach.

Nie miała szans się przedostać. Ustawili w poprzek drogi dwa radiowozy, dwa kolejne stały kilkadziesiąt metrów dalej. Na pierwszej linii była Szolc i czterech innych funkcjonariuszy, którzy trzymali broń w pogotowiu.

– Proszę się zatrzymać! – krzyknęła podkomisarz, gdy Lipińska nie zwolniła, nawet gdy dostrzegła blokadę. – Stać, bo otworzymy ogień! – krzyknęła jeszcze raz, widząc w jej dłoni metalowy pręt. Trzymała go w górze, jakby chciała zaatakować każdego, kto zastąpi jej drogę.

Bednarski szedł teraz wzdłuż pasa zieleni. Nie chciał znaleźć się na linii strzału. Wiedział, że w końcu strzały muszą paść, ale wzdrygnął się, gdy nocną ciszę przerwał huk. Dostrzegł, że mimo to podejrzana nadal biegnie. To musiał być strzał ostrzegawczy, ale Lipińska zdawała się go w ogóle nie słyszeć.

– Stój! – Szolc krzyknęła po raz kolejny. Tym razem mierzyła do podejrzanej.

Malwinę zostawiono w radiowozie z jakimś przypadkowym funkcjonariuszem. Miała czekać. Marcina zabrano do szpitala. Pojechała z nim Dorota. W domu dziecka wszyscy długo jeszcze rozmawiali o tym, co się właściwie stało, i o tym, jakim cudem Marcin przeżył. Każdy widział już w myślach jedynie bezwładne ciało z pręgą na szyi.

Malwina także nie mogła wprost uwierzyć, że Marcin jest cały i zdrowy.

Nie miała pojęcia, co się teraz dzieje z Tomaszem, ale wtedy, gdy tylko dostała wiadomość o Marcinie, on musiał zejść na dalszy plan.

To był też pretekst, którego potrzebowała. Już dawno chciała uciec, a tymczasem wydarzenia lgnęły do niej same. Musiała się od tego uwolnić, nawet jeśli równało się to z rozstaniem z Tomaszem.

Radiowóz czekał przy drodze, która prowadziła w stronę domniemanej kryjówki Agnieszki. Cieszyła się, że tam nie poszła. Tak naprawdę nie miała ze sprawą nic wspólnego i wolałaby, żeby tak już zostało.

W chwili, gdy o tym pomyślała, daleko przed radiowozem dostrzegła błysk. Zaraz po nim rozległ się huk. Za nic nie chciała wiedzieć, jaka była tego przyczyna.

Tokarski czuł się z jakiegoś powodu ukarany. Obok parku rozgrywała się jedna z najważniejszych akcji, w jakich miał okazję brać udział, a tymczasem podkomisarz wysłała go do mieszkania Beaty Cieślak. Bo Malwina Król z sobie tylko znanej przyczyny nie wierzyła w winę Agnieszki Lipińskiej. A przecież nie była dla nich żadnym ważnym informatorem. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Sprawdź, czy jest u siebie. Potem pójdz do sąsiadki, która zwykle pilnuje dziecka. W razie najmniejszych podejrzeń albo komplikacji zgarnij obie i przywieź na komisariat.

Do dyspozycji miał tylko funkcjonariusza, z którym nigdy nie pracował, ale trudno. To nie miało większego znaczenia.

– Co to właściwie da? – spytał Adamczyk, który wcześniej wydawał się w ogóle niezainteresowany całą sprawą.

– Wiemy, że jeszcze przed chwilą oprawca tego chłopaka był w okolicach miejsca zdarzenia.

– No i co? – Policjant czekał na dalsze wyjaśnienia.

Tokarski westchnął.

– Jeśli sprawcą miałyby być Beata Cieślak, to nie zdążyłaby wrócić do mieszkania. A dziewczyna, która opiekuje się dzieckiem, powie nam, czy w ostatnim czasie sąsiadka poprosiła ją o opiekę nad Rafałem.

– To marny dowód, czy człowiek jest winny, czy niewinny.

– Dlatego cała ta nasza akcja wydaje mi się głupia.

Adamczyk przyjął do wiadomości wszystkie informacje, lecz już po chwili znów stał się obojętny.

Weszli do bloku i po chwili zadzwonili do drzwi. Stali przed nimi dość długo. W pewnym momencie kobiecy głos zapytał: „Kto tam?”, a gdy Tokarski powiedział, że policja, poprosiła o chwilę cierpliwości.

– Akurat chciałam wziąć prysznic, mam na twarzy maseczkę, zaraz otworzę.

– Maseczka w niczym nie przeszkadza, chcemy zadać tylko jedno pytanie.

Kobieta, słysząc to, od razu otworzyła drzwi. Czuła, że dalsze ociąganie się będzie podejrzone.

– Coś się stało? – spytała, wyglądając przez szparę w drzwiach.

– Pani Beata Cieślak?

– Tak.

– Możemy wejść na chwilę? – zapytał aspirant, a kobieta niechętnie uchyliła szerzej drzwi. Miała na sobie czarną koszulkę i ciemne dresy. Czuć było od niej dziwny zapach.

– Przepraszam za ten smród, to jakaś nowa nietypowa maseczka, chyba nigdy więcej już jej nie kupię.

Miała na twarzy mnóstwo ciemnych plam. Wyglądało to tak, jakby przed chwilą próbowała je zetrzeć. Miała na policzkach, czole i szyi rozmazane tłuste ślady. Policjant dostrzegł je także na dłoniach, chyba też na spodniach, które były jednak zbyt ciemne, żeby można było dokładnie to stwierdzić.

– Gdzie pani przebywała w ciągu ostatnich kilku godzin? – spytał, stając w progu.

– Tutaj – odparła.

Tokarski dostrzegł ciemne, dość niewyraźne plamy błota na podłodze.

– Chociaż nie, przepraszam – odezwała się, widząc, że policjant przygląda się podłodze. – Byłam jakieś dwie godziny temu w pobliskim sklepie. Złapał mnie straszny deszcz. To było dosłownie pięć minut. Poza tym spędziłam cały dzień w domu.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Moja sąsiadka – odparła szybko. Wskazała na drzwi kilka kroków dalej.

– To studentka, dzisiaj widziałyśmy się kilka razy. Rano, potem, jak szłam do sklepu i jak wynosiłam śmieci.

– Rozumiem. Dziękuję i przepraszamy za najście.

Cieślak zamknęła szybko drzwi. Teraz poszli do sąsiadki. Otworzyła im znacznie szybciej, jakby już wcześniej stała przy wizjerze i tylko czekała, aż będzie mogła nacisnąć klamkę.

Miała zaczerwienione oczy, jakby dopiero co płakała. Tokarski dostrzegł ciemny ślad na jej twarzy, zupełnie jakby ktoś ją spoliczkował.

– Czy wszystko w porządku? – spytał, gdy ustalili już jej tożsamość.

– Tak, ja... – Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Wiedziała natomiast, co zauważyli. – To nic takiego.

– Czy jest coś, co chciałaby nam pani powiedzieć?

Tokarski usłyszał jakiś odgłos z mieszkania Cieślak. Uśmiechnął się krzywo, domyślając się, że podsłuchuje przy drzwiach.

– Nie, nie. Nic się nie stało. Naprawdę.

– Proszę pamiętać, że przemoc domowa to przestępstwo, które może pani zgłosić.

– Jasne, rozumiem, ale nie mam co zgłaszać. Naprawdę.

– Oczywiście. – Tokarski uśmiechnął się, po czym zaczął wypytywać o sprawy, dla których tu przyszli. Dziewczyna potwierdziła słowa Beaty Cieślak, zapewniła, że sąsiadka była cały dzień w domu.

– Często zajmuje się pani jej dzieckiem?

Dziewczyna miała dziwne spojrzenie, patrzyła na policjantów jakoś niespokojnie, jakby chciała, żeby jak najszybciej sobie poszli. Tokarski domyślał się, że gdzieś tam w mieszkaniu jest jej agresywny partner, dlatego starał się nie przedłużać tej rozmowy. Nie wiedział, że dziewczyna mieszka sama, a osoba, która jej grozi, wcale nie jest jej partnerem.

– Bardzo rzadko – odparła po chwili namysłu. – Czasem, gdy pani Beata chce pójść do sklepu. Ale zawsze wraca szybko.

– Jak często opiekowała się pani jej dzieckiem w ostatnim tygodniu?

– W tym tygodniu? – Zaczęła liczyć w pamięci. – W tym tygodniu raz, ale dosłownie przez chwilę.

– Rozumiem. Dziękuję bardzo i życzę spokojnej nocy.

Wrócili do radiowozu. Tam poinformowali podkomisarz o tym, czego się dowiedzieli, po czym wrócili w o wiele ciekawsze miejsce, mając nadzieję, że jeszcze będą świadkami czegoś naprawdę interesującego.

– Tam musiała być też Beata – łkał Lipiński, siedząc na mokrym piasku. – Nie ma innej możliwości.

– Ale jej tam nie ma. I zapewne w ogóle nie było.

– To niemożliwe...

– Przed chwilą dostałam informację, że Beata Cieślak jest w swoim mieszkaniu. A to, że nie wychodziła, potwierdziła jej sąsiadka.

– Ona sama dopiero co mówiła mi, że ciągle opiekuje się Rafałem. Że Beaty praktycznie nie ma w domu.

– Przykro mi, panie Tomaszu, ale wierzy pan w złą wersję wydarzeń. – Odwróciła się od niego i wezwała Bednarskiego przez krótkofalówkę.

– Ona musiała tu być... – mówił dalej Tomasz. – Miała dwa wyjścia. Kanałem i pod ogrodzeniem. Zabezpieczyliście cały teren, prawda? – zapytał. – Prawda?! – krzyknął głośniej, żeby policjantka mu odpowiedziała.

– Tak. Cała południowa część jest zabezpieczona. Lipińska się nie wymknie.

– A co z wyjściem z tego kanału? – Wskazał na drzewa, za którymi znajdowało się zejście do piwnicy, a z niej – do Jasienia.

– Przecież my tamtędy weszliśmy.

– Beata mogła zaczekać, aż ją miniemy, i dopiero wtedy uciekła. Ktoś tam w ogóle jest po drugiej stronie?

Denerwował ją coraz bardziej.

– Cały czas chodzą tam patrole, poza tym... – Chciała powiedzieć, że przy nasypie czuwa Tokarski, ale wiedziała, że Szolc przed chwilą wysłała go do mieszkania Cieślak. Razem z innym funkcjonariuszem, który prowadził patrol tuż obok. To oznaczało, że wejście do kanału nie było zabezpieczone. – Nikt by się tamtędy nie przemknął – powiedziała bez przekonania.

Tomasz wyczuł fałsz i niepewność w jej słowach.

Zacząła machać do wsparcia, które pojawiło się na horyzoncie. Wjechali tu od wschodu. Zaparkowali przy pobliskim magazynie i resztę drogi przeszli pieszo.

– Gdzie wejście? – spytał mężczyzna, który dowodził ekipą techników. Chwilę później zabrali się za zabezpieczenie miejsca zbrodni.

Gawron podeszła do Tomasza, żeby go odpiąć i przekazać w ręce dwóch funkcjonariuszy. Klęczał bezsilnie na piasku. Gawron coś do niego mówiła, lecz nie chciał słuchać. Postanowił milczeć do momentu, aż zostaną mu postawione jakiegokolwiek zarzuty. A domyślał się, że prokuratura z pewnością znajdzie coś przeciwko niemu. Nie po to się tak napracowali, żeby dać mu się teraz wywinąć.

Sięgnęła w jego stronę, gdy nagle zamarła. Usłyszała strzał.

– Co jest?! – krzyknął Tomasz, domyślając się, co to za odgłos. Gawron była odwrócona do niego bokiem i patrzyła gdzieś w dal. – Ej! – zawołał. – Co tam się dzieje?

– Wiem tyle samo co ty – odparła, a zaraz potem usłyszeli kolejny huk. Tym razem jakby głośniejszy, o wiele bardziej bolesny.

Tomasz podkurczył nogi. Trzeci strzał nie padł, lecz wiedział, że dwa z pewnością wystarczyły.

Podkomisarz Szolc podeszła do leżącej na asfalcie kobiety. Kopnęła metalowy pręt, który wypadł jej z ręki, i zapatrzyła się w czerwoną kałużę, która brała swój początek z ramienia Lipińskiej i z każdą sekundą się powiększała.

Ktoś zabezpieczył pręt, a po kilku sekundach do Lipińskiej dotarło dwóch ratowników. Chwilę później jeden z radiowozów przepuścił karetkę, która zaparkowała tuż obok Szolc.

– Niezły strzał, pani podkomisarz – przyznał Morawiec. W jego głosie nie słyszała uznania, ale też nie była to drwina. Mówił beznamyślnie. Wiedział, że udało jej się coś, co nie udało się jemu.

– Dziękuję – odparła równie wypranym z emocji głosem. Nie sądziła, że będzie musiała nacisnąć na spust. Wierzyła, że kobieta w końcu się zatrzyma. Ale nie zrobiła tego.

Wsunęła z powrotem broń do kabury i spojrzała na kobietę. Miała otwarte oczy. Cały czas patrzyła na Szolc.

W końcu położono ją na noszach. Podkomisarz przypięła jej dłoń do metalowego stelaża i także poszła do karetki. Zanim zamknęły się za nią drzwi, dostrzegła jeszcze prokuratora, który właśnie wysiadał z samochodu. Miał na twarzy radosny uśmiech. Pomachał do Szolc, jakby byli dobrymi znajomymi, którzy przypadkowo spotkali się na ulicy.

Nie odpowiedziała mu. Spojrzała na wykrzywioną z bólu twarz Agnieszki Lipińskiej. Nie zdradzała żadnych emocji. Były głęboko ukryte.

– Wiesz, dlaczego na ciebie czekaliśmy? – spytała ją, gdy ruszyli na sygnale.

Agnieszka Lipińska odpływała. Miała przymknięte oczy, coraz płytszy oddech. Została przypięta do noszy czarnymi pasami, więc nie mogła się poruszyć, lecz podkomisarz widziała, że jest kompletnie pozbawiona siły.

Mimo to skinęła głową.

– Ty to zrobiłaś? – spytała, a lekarz spojrział wyczekująco. Także był ciekaw odpowiedzi.

– Chciałabym to wiedzieć – odparła tylko i straciła przytomność.

19 października

W małej sali szpitalnej wieczorem następnego dnia pojawiły się podkomisarz Szolc i Weronika Matuszak z Prokuratury Regionalnej w Gdańsku.

– Czy przyznaje się pani do zabójstwa Artura Bielawskiego, Michała Radlińskiego, Tomasza Piechowiaka, uprowadzenia Marcina Tokarzewskiego i uśmiercenia ośmiu psów? – spytał prokurator.

Agnieszka Lipińska patrzyła na nich tępym wzrokiem.

– Nie – odparła po namyśle. Z trudem wypowiadała słowa. Z jednej strony była nad wyraz trzeźwa, lecz z drugiej okazywało się, że bez leków już nie potrafi normalnie funkcjonować. Wczoraj podano jej tylko środki przeciwbólowe, gdy po operacji dochodziła do siebie. Dziś miała zostać przesłuchana, bo jej życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo. Najgorsze, co mogło ją wczoraj spotkać, to wykrwawienie się. Ale raną zajęto się

od razu, więc już niedługo będzie mogła odpowiedzieć za swoje czyny.

– Znaleźliśmy piwnicę, w której przebywał wspomniany porwany chłopiec. Tam znalazł panią Tomasz Lipiński.

Cały czas nie mogli zrozumieć, czemu Marcin nie został zabity tak jak pozostałe ofiary. Tomasz twierdził, że stał się przynętą. Sądził, że Beata Cieślak zamknęła go i zwabiła do kryjówki Agnieszkę, żeby Marcin ją rozpoznał. Naoczny świadek był najmocniejszym dowodem.

– Jak już wiemy, w tej samej piwnicy przechowywano ciała dwóch zabitych chłopców – ciągnął dalej prokurator. – Chłopcy zostali uduszeni szalikiem, którego włókna znaleźliśmy na ich ciałach. Włókna zaś pochodziły z szalika znalezionego na pani szyi. Odkryto na nim naskórek i włosy ostatniej ofiary. Czy ten szalik należy do pani?

– Sama go zrobiłam – przyznała. – Ale od lat nie używałam.

– Został podzielony na dwie części. Drugą znaleźliśmy w budynku na terenie Rodzinnych Ogródków Działkowych, gdzie w ostatnim czasie pani

mieszkała. Nieopodal odkryliśmy ciało Tomasza Piechowiaka. Umieszczono je w metalowej klatce. Na jej prętach znaleźliśmy pani odciski palców. Tak jak na klatkach z samej działki i na klatkach z piwnicy znajdującej się przy zwirowni. W piwnicy zabezpieczyliśmy także należące do pani ślady biologiczne, głównie ślinę, włosy i krew.

– Byłam tam tylko raz, wczoraj – wytłumaczyła.

– Jak się tam pani znalazła?

– Nie wiem – przyznała. – Obudziłam się w tej piwnicy. Ktoś mnie tam musiał zaprowadzić. Biorę leki... One... Czasem urywa mi się po nich film.

Zarówno lekarz, jak i Zalewska od razu coś zanotowali.

– Podczas zatrzymania była pani wręcz nafaszerowana lekami antydepresyjnymi, do tego doszedł jeszcze alkohol – odezwał się lekarz. – Jak rozumiem, nie zażywa pani leków zgodnie z zaleceniami?

Agnieszka prychnęła, jakby te słowa ją rozbawiły.

– Biorę je, gdy czuję taką potrzebę.

– To tak nie działa.

– Alkoholu nie piję.

– Więc jak pani wytłumaczy te półtora promila we krwi?

Agnieszka zaśmiała się, kręcąc głową z niedowierzania.

– To już chyba nie ma żadnego znaczenia, czy sama go wypiałam, czy ktoś mi go podał. Siłą czy może do czegoś dolał. Pewnie tego nie sprawdzicie, co?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie.

– Na pani ciele znajdowało się wiele śladów po uderzeniu metalowym prętem. Tym samym, który trzymała pani w dłoni podczas ucieczki z miejsca zdarzenia. Czy te obrażenia zadała sobie pani sama?

– Nie, to on.

– Kto?

– Cień. To on mnie bił. Chciałam go potem dopaść. Ale nie mogłam go nigdzie znaleźć.

Zapadła cisza, podczas której słyhać było tylko odgłos zapisywania w notatnikach słów Agnieszki Lipińskiej.

– Wiele razy wcześniej się pani okaleczała? – spytała psycholog.

– Czy ty nie słyszałaś, co ja właśnie do ciebie powiedziałam?! – wybuchła, jakby to pytanie najbardziej ją dotknęło. Nie pytanie o morderstwa, o porwanie, lecz o samookaleczanie się.

– Pani lekarz potwierdził, że już wcześniej zdarzało się pani ranić samą siebie.

Agnieszka zacisnęła usta. Nie skomentowała tego.

– Marcin Tokarzewski opowiedział nam, że wyprowadziła go pani z piwnicy, ale nie może wykluczyć tego, że to pani go w niej zamknęła. Nie widział wtedy całej twarzy. Zakrywała ją pani szalikiem.

Szolc aż wzdrygnęła się na myśl o tym, że Lipińska oddychała powietrzem filtrowanym przez materiał, którym uduszono dwie osoby i kilka psów. Nie potrafiła zrozumieć, jak można coś takiego zrobić.

– Znaleźliśmy nóż, którym zabito należącego do domu dziecka psa Gandalfa. Na jego rękojeści znaleziono pani odciski palców. Czy to pani zabiła tego psa?

– Nie – zaprzeczyła po raz kolejny, lecz ton jej głosu nikogo nie mógł przekonać.

– Czy potrafi nam pani wytłumaczyć, w jaki sposób pozostawiła pani swoje ślady w tych wszystkich miejscach?

Pokręciła głową. Nie miała żadnego alibi. Poza tym została częściowo rozpoznana przez pokrzywdzonego. Marcin powiedział, że złapała Gandalfa i obiecała chłopcu, że odda psa, jeśli pójdzie z nią w pewne miejsce. Poprowadziła ich odciętą od świata ulicą, przeszli pod ogrodzeniem, a potem wkroczyli do piwnicy. Tam wepchnęła chłopaka do klatki. Było ciemno, nie wiedział, co się dzieje, nie potrafił się obronić. Myślał, że kobieta sobie z niego żartuje, lecz ona nie otworzyła klatki przez kilka kolejnych dni.

Niedługo potem Marcin dostrzegł, że w piwnicy pojawił się inny chłopiec, ale tamten od razu był martwy. Najprawdopodobniej został uduszony na ulicy. Pierwsza ofiara została uduszona na plaży, po tym jak Agnieszka pokłóciła się z mężem, a druga także po kolejnej ostrej wymianie zdań. Tomasz Lipiński przyznał, że owszem, kłócił się z żoną, lecz przekonywał, że ich spotkania nie wyzwały w niej aż tak wielkiej złości. Chciał jej pomóc, przekonywał ją, żeby odstawiła leki, poszła na normalną terapię, żeby pozwoliła mu się sobą opiekować. Ale

ona nigdy mu na to nie pozwalała.

– Zdradziłeś mnie wtedy i zostawiłeś – powtarzała tylko. – Zostaw i teraz. Mnie już nie zależy na niczym. Tak samo jak tobie.

Malwina wodziła wzrokiem za Tomaszem, który chodził w tę i z powrotem po szpitalnym korytarzu. Obiecano mu spotkanie z Agnieszką, ale tylko w obecności lekarza, policji i prokuratora. Musiał się dowiedzieć, w jakim stanie jest Agnieszka. To on sprowadził na nią policję, to przez niego ją postrzelono. Szukał Beaty, lecz sprawy wymknęły się spod kontroli. Choć teraz już wiedział, że od samego początku żadnej kontroli nad nimi nie miał.

– Możesz przestać tak chodzić? – syknęła Malwina, którą stukot jego kroków coraz bardziej irytował.

– Według opinii psychologa to ja wyzwaliałem w niej takie skrajne emocje. To ja byłem katalizatorem jej złości i agresji – powiedział. Malwina słyszała to już kilka razy. – Odwiedzałem ją, a potem zostawiałem roztrzęsioną, a ona, zamiast się uspokoić, wychodziła i szukała... – urwał.

– To nie twoja wina.

– Naprawdę tak uważasz?

– To nie ty zabijałeś, tylko... – Nie mogła powiedzieć „ona”, bo też nie potrafiła w to uwierzyć. – Dojdą do prawdy, wierz mi. To nie może się tak skończyć.

Malwina nie wiedziała, po co właściwie tu przyszła. Tomasz ją o to poprosił, a ona nie umiała mu odmówić. Sam nie potrafił poradzić sobie z całą sytuacją, gryzły go wyrzuty sumienia, rozumiała to.

W pewnym momencie drzwi do sali, przed którą stał policjant, otworzyły się i część osób wyszła. Zostali tylko ci, którzy mieli nadzorować spotkanie Tomasza z żoną.

– Można? – spytał, podchodząc. Wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie. Nie postawiono mu żadnych zarzutów. Wykluczono jego udział w sprawie. Wy tłumaczył, skąd znał tamto miejsce. Siostra Lipińskiej potwierdziła te słowa, zaznaczając jednak, że to nie ona wykradła klatki, lecz Agnieszka. Tego nikt już nie mógł sprawdzić. Udział Tomasza wykluczyły też nagrania z monitoringu pobliskiego bloku. Okazało się, że obraz jednej z kamer umieszczonych nad wejściem sięga do fragmentu okna saloniku prasowego. Tomasz pojawił się na nagraniu w czasie, gdy dokonano dwóch morderstw.

Tomasz twierdził, że to go uratowało.

– Ale gdybym był wtedy w mieszkaniu z Beatą, to może do niczego by nie doszło.

– Nie rozumiem – przyznała Malwina.

– Beata chodziła za mną. Kontrolowała każdy mój ruch, gdy ja byłem pewien, że siedzi w domu z Rafałem. A gdy tylko zaczynałem się zbliżać do Agnieszki, gdy próbowałem ratować nasz związek, gdy chciałem sprawić, żeby znów stanęła na nogi, Beata nie potrafiła tego znieść. Ta pieprzona psycholog dobrze rozgryzła powody, dla których te dzieciaki i psy zginęły. Tylko na miejscu Agnieszki powinna być Beata.

– Gdyby były na to dowody... – bąknęła Malwina, ale nie miała już pewności, czy ta teoria była naprawdę słuszna.

Tomasz wszedł do sali. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

Już wczoraj opowiedział im wszystko, co wiedział. Postawił na szczerość. Przedstawił im historię życia, ale oni nie uwierzyli w winę Beaty. Nie pasowała im do portretu psychologicznego sprawcy. Kochająca opiekunka dziecka, które zostało porzucone przez matkę i poniekąd także przez ojca. Miała alibi, choć Tomasz starał

się je podważyć.

– Rozmawiałem z tą dziewczyną – tłumaczył im. – Ona opiekowała się Rafałem przez długi czas, powiedziała mi, że ostatnio Beaty praktycznie nie było w domu. Zapewne wychodziła chwilę po mnie i wracała chwilę przede mną.

– Sprawdziliśmy monitoringi z ulic, którymi musiałaby się przemieszczać, chcąc chociażby wejść do parku. Nie ma jej na żadnym nagraniu.

– Ona chodziła tym pierdolonym kanałem, ile razy mam to wam powtarzać?! – Nie skomentowali tego. – Sprawdziliście nagrania z kamer w pobliżu bloku, w którym mieszka?

– Niestety w bezpośredniej okolicy nie ma żadnej. Musielibyśmy sprawdzić nagrania ze wszystkich okolicznych monitoringów w promieniu kilometra, a to w sumie kilkaset kamer, jeśli nie więcej. Na pewno domyśla się pan, że samo przejrzanie takiej ilości materiału zajęłoby zbyt wiele czasu, którego strata byłaby niewspółmierna do tego, czego właściwie byśmy szukali.

– Uzyskalibyście...

– Potwierdzenie, że Beata Cieślak wychodziła z mieszkania. Co, jak być może pan wie, ludzie czasem robią – odparł ironicznie prokurator Hybel, który miał już dość pokrętnych teorii Lipińskiego.

Tomasz stanął dwa kroki od łóżka, do którego Agnieszka była przykuta kajdankami. Spojrzał na nią, choć ona nie chciała patrzeć na niego. Zanim tu wszedł, odwróciła głowę. Zapowiedziano jej, kto chce się z nią spotkać. Zrobiono dla niego wyjątek, bo to była szansa, żeby usłyszeć coś nowego. Tomasz tylko otworzył usta. Poczuł, jak po policzku spływa mu łza. Widział, że broda Agnieszki drży, podobnie jak ramiona, lecz trudno było stwierdzić, czy kobieta szlocha, czy może ogarnia ją złość.

– Ja... – zaczął, ale nie potrafił wydusić z siebie słowa. Wszedł, rozczarowując wszystkich zebranych. Przede wszystkim jednak rozczarował samego siebie, a tego,

że nie wypowiedział cisnącego mu się na usta słowa „przepraszam”, miał żałować do końca życia.

Rok później

Pokój odwiedzin w ośrodku psychiatrycznym w Gostyninie nie wyglądał reprezentacyjnie. Nie sprawiał też wrażenia, że mieszkający tu pacjenci mogą czuć się komfortowo. Ale chyba nie o to przede wszystkim dbano, lecz o zapewnienie odpowiedniej terapii osadzonym z takimi zaburzeniami psychicznymi, które stwarzają zagrożenie dla zdrowia i życia innych osób.

W oczy rzucały się różowy i fioletowy kolor farby, którymi pomalowano podłogę i ściany obwieszane obrazami. Były to w większości krajobrazy, które osadzeni przebywający w ośrodku ostatni raz widzieli zapewne przed wieloma latami i zdawali sobie sprawę, że być może już nigdy więcej ich nie zobaczą.

Pod jednym z okien stała kanapa, naprzeciwko niej niski stolik, a tuż obok biurko, przy którym siedziała czterdziestoletnia, dość postawna kobieta. Przed sobą miała stary komputer, a pod ręką telefon. W oczach brak emocji, a w ustach gumę do żucia.

Tomasza przyprowadziło tutaj dwóch ochroniarzy. Jeden otworzył bramę, drugi zaprowadził go do drzwi wejściowych. Teraz miał spotkać się z Agnieszką, ale w obecności pracownicy i pod czujnym okiem kamery. Kolejny ochroniarz był tuż obok, więc w razie czego mógł od razu interweniować.

– Tomasz Lipiński, tak? – spytała kobieta, choć doskonale to wiedziała. Możliwość odwiedzin w ośrodku była dokładnie weryfikowana i monitorowana.

Agnieszkę przyprowadzono szerokim, również różowym korytarzem. Zdawało się, że na ten kolor ona sama nie może już patrzeć. Przyglądała się swoim powłóczącym stopom, jakby wcale nie były częścią jej ciała, lecz jakimiś obcymi obiektami.

– Cześć – rzucił do niej, ale nie zareagowała.

Zaprowadzono ją na drugi koniec kanapy. Tomasz siedział niespokojnie na rogu i czekał, aż Agnieszka w końcu podniesie wzrok. Gdy to zrobiła, serce

zabiło mu szybciej. Ona zaś zamarła i wpatrzyła się w chłopca, który ścisnął kurczowo ramię Tomasza i nie do końca wiedział, co się dzieje.

Agnieszka spojrzała na niego. Miał krótkie ciemne włosy, w identycznym kolorze jak włosy jego matki. Do tego niebieskie oczy po Tomaszu, miał jego nos i usta. Agnieszka wpatrywała się w Rafała, a on nie miał pojęcia, co zrobić. Tomasz wytłumaczył mu wcześniej, kim jest Agnieszka i dlaczego tutaj przebywa. Widział ją tylko w pierwszych miesiącach swojego życia. Wtedy też ona widziała go ostatni raz.

Cały czas sądziła, że Rafał nigdy się nie odnalazł. Nie dało się jej przekonać, choć próbowano tego w ramach terapii. Cały czas powtarzała, że jego już nie ma i nigdy nie będzie.

– Przepraszam, że nie odzywałem się przez ostatni rok – zaczął w końcu Tomasz, cały czas obserwując, jak Agnieszka przygląda się chłopcu. Ani drgnęła. Siedziała niczym pogrążona w transie. W chwili, gdy po policzku pociekły jej łzy, spuściła wzrok. – Musiałem ułożyć nam życie na nowo.

Dopiero gdy to powiedział, zrozumiał, jak głupio zabrzmiały te słowa. Ułożył życie sobie i Rafałowi. Agnieszka natomiast nie miała już na to szans.

Tomasz wiele już razy przez ostatnie miesiące układał w myślach słowa, które chciałby wypowiedzieć. Odkąd dowiedział się, że Agnieszka prawomocnym wyrokiem sądu została skazana za potrójne morderstwo, postanowił, że nigdy więcej się z nią nie zobaczy. Gdy jednak została skierowana do ośrodka i przekazano mu, że jednym z czynników, który może pomóc w leczeniu jej dyssocjalnej osobowości, jest obecność syna, stwierdził, że mimo wszystko chociaż te jedne odwiedziny jest jej winien.

Był pewien, że podejdzie do Rafała i go przytuli. Mimo jego zdziwienia przycisnie go do piersi tak mocno, jak jeszcze nigdy tego nie robiła. Że obserwująca ich pracownica zaprotestuje, żeby nie dochodziło do tego typu kontaktów między osadzoną a odwiedzającym. Tymczasem po policzku Agnieszki popłynęły dwie łzy i na tym się skończyło.

Czemu właściwie oczekiwałem czegokolwiek więcej?

Znów nie potrafił wydusić z siebie słowa.

Siedzieli tak w milczeniu jakiś czas. Tomasz obserwował ją, lecz Agnieszka nie reagowała na to w żaden sposób.

– Nie przychodź tu nigdy więcej – powiedziała w pewnym momencie, po czym ruszyła w stronę korytarza. Tam czekał na nią opiekun, który

zaprowadził ją do jej pokoju. Tomasz siedział jeszcze przez chwilę, zdezorientowany, po czym mocno przytulił Rafała.

– Idziemy? – spytał chłopiec.

Po chwili byli z powrotem w samochodzie, tam niecierpliwie czekała na nich Malwina. Zdziwiła się, czemu tak szybko wrócili.

– Jak poszło? – spytała, a Tomasz tylko pokręcił bezradnie głową.

Półtorej godziny później byli z powrotem w Łodzi. Ściemniało się już, gdy weszli do wynajmowanego od dwóch miesięcy mieszkania. Nie było zbyt duże. Trzy malutkie pokoje, w tym salon, sypialnia i pokój Rafała. Wszędzie dostęp miały Qui-Gon i Fibi. Psy dogadywały się na tyle dobrze, że można je było zostawiać same. Mimo to Malwina wciąż zabierała Fibi do pracy, żeby pobawiła się z Frodem, małym psem przygarniętym przez dzieci z domu dziecka. Podobnie Qui-Gon chodził z Tomaszem do jego nowego saloniku prasowego, który Tomasz otworzył z dala od parku i traumatycznych wspomnień.

– Chyba sobie żartujesz – skomentowała jego decyzję Beata, gdy oznajmił, że ją zostawia. – Przecież ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego!

Starał się już nie wchodzić z nią w żadną interakcję. Spakował rzeczy swoje i Rafała, po czym szybko się wyniósł.

Powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć. Obawiał się, co zrobi, gdy ją opuści. Z jednej strony nie mógł zostać, a z drugiej chciałby, żeby popełniła choć jeden błąd, który mógłby potwierdzić jego teorię. Lecz ona się wycofała. Opuściła i pozwoliła im odejść.

Niepokoilo go to.

Stanął teraz przy oknie. Zapatrzył się w szarzejącą przestrzeń. Odprowadził wzrokiem kilka lecących pomiędzy budynkami ptaków, gdy nagle dostrzegł w dole znajomą postać, opierającą się o ścianę jednego z pobliskich bloków.

Patrzyła wprost na niego.

Zaklął głośno.

– Co się stało? – zawołała Malwina, lecz Tomasz nie odpowiedział.

Rzucił się w stronę drzwi wyjściowych. Zbiegł po schodach i w ciągu paru sekund wypadł na zewnątrz. Dotarł do pobliskiego bloku, lecz tam już nikogo nie było.

Dostrzegł tylko swój padający na ścianę cień, który szedł krok w krok za nim. Tak samo jak tajemnicza postać, najpierw śledząca Agnieszkę, a teraz najwyraźniej także jego. Miał jednak nadzieję, że Beata popełni kiedyś błąd lub ujawni się i pozwoli wszystkim zrozumieć, że Tomasz miał rację. Zanim on sam uwierzy, że się mylił.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz